Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 30 (1374) ROK XXVII 28 LIPCA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

■ Chłopi, inteligenci i drobnomieszczanie...
■ Dla kogo studia?
■ Taniec w tunelu
■ Staruszka i bestie

Powtórka z wyborów

ROMAN KUBIAK

W niedzielę 17 czerwca 1984 r. nie wybrano Gminnej Rady Narodowej w Dłutowie.

W trzech okręgach głosowało mniej niż 50 proc. uprawnionych obywateli, co zgodnie z ordynacją wyborczą oznacza powtórzenie wyborów.

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Piotrkowie Trybunalskim wyznaczyło datę ponownych wyborów w gminie Dłutów na dzień 15 lipca 1984 r.

DŁUTÓW CHCE DO ŁODZI

Przyczyn nieudanych wyborów jest wiele, ale na pierwszy plan wysuwa się jedna, która geneza tkwi głęboko w latach siedemdziesiątych — nowy terytorialny podział kraju.

Przez ostatnie dziesięciolecia był Dłutów ściśle związany z aglomeracją łódzką. Do stolicy starego województwa — Łodzi można było dojechać szybko i wygodnie dzięki dobrze rozwiniętej komunikacji autobusowej. W Łodzi rolnik nieźle orientował się, jak dotrzeć do władz, do central zaopatrzenia, do banku, do Agromy. Nie chodzi tu bynajmniej o przyzwyczajenia lecz o oszczędność czasu i naturalne więzi jakie na przestrzeni lat wytworzyły się w tym regionie.

Ledwie 12 kilometrów dzieli Dłutów od Pabianic. Młodzież dojeżdża codziennie do pabianickich szkół średnich i zawodowych. Gospodynie chwalą sobie zakupy w łódzkich domach towarowych. Nie ma chyba takiej rodziny w Dłutowie, której bliscy nie osiedliliby się w Łodzi lub w Pabianicach.

Do Pabianic trafia dłutowskie mleko, zboże i mięso. Z Pabianic przywożony jest chleb, nabiał, napoje. W gminnym ośrodku zdrowia pracują pabianiccy lekarze. Z kolei nierolnicza ludność osady znalazła zatrudnienie, głównie w przemyśle i handlu osiemdziesięciotysięcznego miasta.

1 czerwca 1975 roku wprowadzono nowy administracyjny podział kraju. Powstały 32 nowe województwa. W połowie drogi między Pabianicami i Dłutowem wytyczono granicę województw piotrkowskiego i miejskiego łódzkiego. Tak gmina Dłutów znalazła się na „kresach" województwa piotrkowskiego.

5

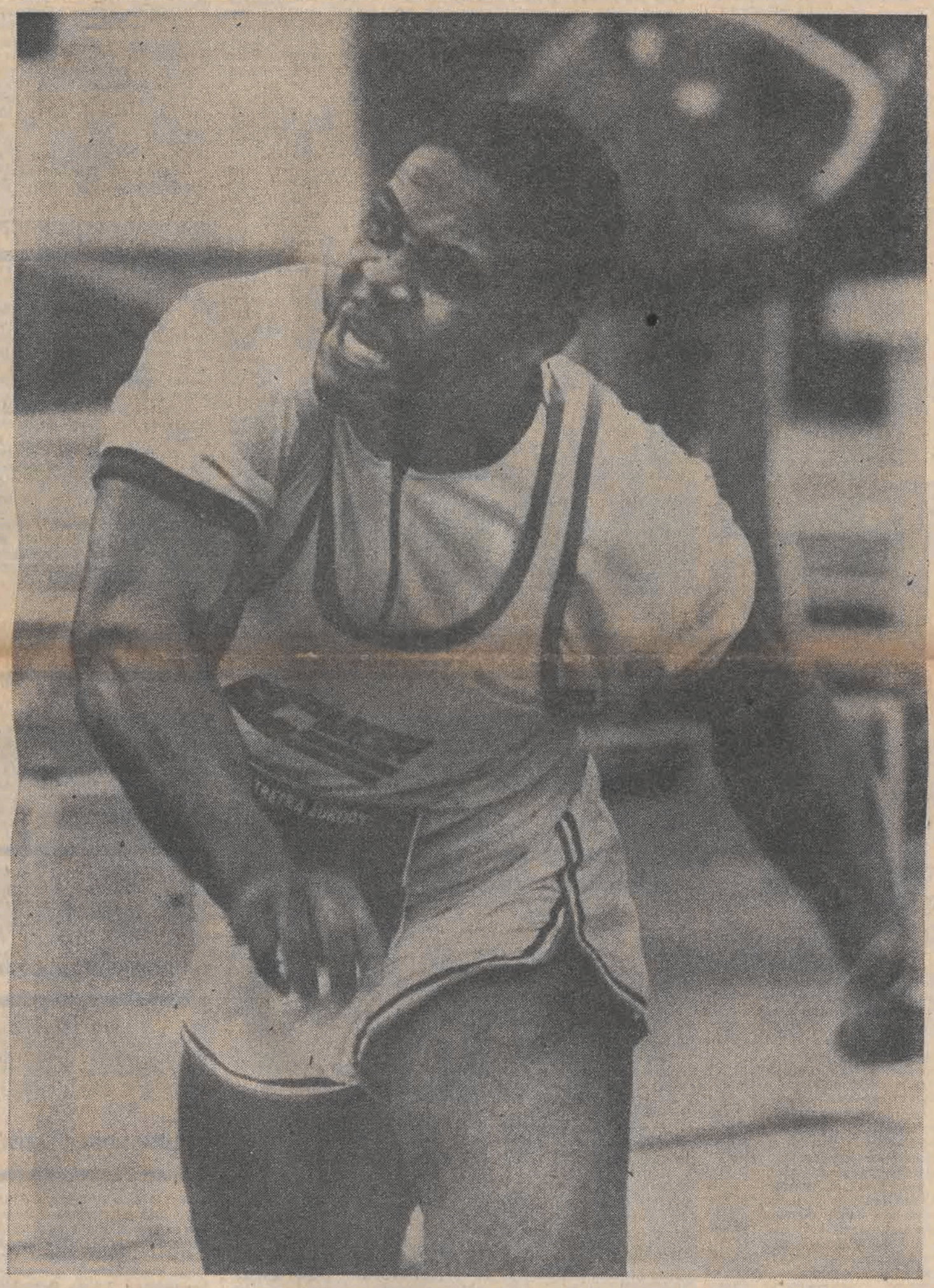

Na peryferiach zdrowego rozsądku

BOGDA MADEJ

Ostatnio dwa pisma zwróciły się do ministra zdrowia i opieki społecznej Tadeusza Szelachowskiego z prośbą o udzielenie im odpowiedzi.

7 czerwca 1984 roku Krzysztof Dębek w artykule pt. „Klechistan tryumfuje" napisał w tygodniku „Sprawy i Ludzie": — „I co Pan na to, Panie Ministrze?"

11 lipca 1984 roku numer 315 w „Tu i Teraz" w notce zatytułowanej „Co na to Ministerstwo Zdrowia?" napisał:

„Nie stawiając kropki nad „i" czekam teraz na jakieś wyjaśnienie Ministerstwa Zdrowia".

O co chodzi? Skąd to nagłe zainteresowanie opinią Ministerstwa Zdrowia?

Spróbuję rzecz całą przedstawić chronologicznie. Na początku był

LIST OTWARTY

adresowany do ministra zdrowia. Napisała go w „Tygodniku Powszechnym" Józefa Hennelowa. List ten dotyczył budującego się w Łodzi Pomnika Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki. List ukazał się 30 października 1983 roku. Józefa Hennelowa napisała wówczas:

„Chcę prosić Pana Ministra o zapewnienie, że modelowy szpital-pomnik nie będzie miejscem, w którym dzieciom odbierano by życie. Że nie będzie tam gabinetu, w którym realizowano by tzw. „zabieg" przerywania ciąży na każde życzenie kobiety".

Autorka sugerowała, że szpital pomnik powinien służyć „wyłącznie życiu". Pisała:

„Byłoby absurdem i ponurą groteską, gdyby w szpitalu stawianym jako pomnik macierzyństwa i mającym służyć ochronie matki — dokonywała się ustawicznie praktyka, która jest powołania matki brutalnym i całkowitym niszczeniem".

Józefa Hennelowa nie kryje, że jest przeciwniczką przerywania ciąży w ogóle.

Minęło sporo czasu. Budowa Centrum Zdrowia Matki w Łodzi postępowała naprzód. Obradowały różne komisje. Budowlani borykali się z trudnościami. Kształtował się program medyczny przyszłego szpitala. A niektórzy lekarze zaczynali już nawet marzyć o pracy w tym szpitalu. Zaczęły nawet do Łodzi napływać dary dla CZM. I oto

7

Jak to dawniej bywało z olimpiadami

WITOLD LEWANDOWSKI

Idea wskrzeszenia igrzysk olimpijskich powstawała w wielu umysłach XIX stulecia, a także znacznie wcześniej, bo już w czasach Renesansu. W 1952 r. historyk niemiecki Ernest Curtius wygłosił odczyt na temat organizacji współczesnych igrzysk olimpijskich. Ten sam Curtius prowadził prace wykopaliskowe w Olimpii, a jego referat na temat tych prac wygłoszony w 1887 r. w Berlinie odbił się szerokim echem w całym świecie. Francuz Pascal Grousset podał projekt organizacji igrzysk z udziałem sportowców z całego świata. Ale ideę tę wcielił w życie dopiero jego rodak baron Pierre de Coubertin.

Coubertin urodził się 1 stycznia 1863 r. w Paryżu. Studiował historię i pedagogikę. W 1892 r. w Sorbonie, podczas uroczystego zebrania zorganizowanego z okazji 5-lecia Unii Francuskich Towarzystw Sportów Atletycznych, de Coubertin zaproponował wskrzeszenie igrzysk olimpijskich. Jego wniosek o zwołaniu w tej sprawie międzynarodowego kongresu spotkał się z powszechnym poparciem. Dzięki ofiarnej działalności barona doszło w czerwcu 1894 r. w Paryżu do „Kongresu dla Wskrzeszenia Igrzysk".

23 czerwca 1894 r. na wniosek de Coubertina

„Czynić igrzyska olimpijskie coraz bardziej godnymi ich chwalebnej historii i szlachetnego ideału którym baron Pierre de Coubertin i jego współpracownicy kierowali się przy ich odrodzeniu".

(Art. 11 „Statutu Olimpijskiego")

12

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego. Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji: Andrzej Karolczak.
Zastępca sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach. Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2106. E-2.

Odgłosy

Przegląd prasy

Żyjemy w epoce reform. Mają one pomóc nam nie tylko szybciej wyjść z kryzysu, ale też stworzyć takie warunki, aby w przyszłości żyło się nam lepiej i już nie dochodziło do kryzysów, aby trudniej było popełniać błędy. Dlatego interesujemy się bardzo tym,

JAK TO ROBIĄ INNI

Na przykład Węgrzy. Odpowiedź na to pytanie przynosi nr 6 krakowskiego miesięcznika „ZDANIE" z czerwca 1984 roku. W cyklu: *„Trzech na jednego"* Krzysztof W Kasprzyk, Jerzy Robert Nowak i Tadeusz Olszański przepytali przewodniczącego Patriotycznego Frontu Ludowego Węgier — Imre Pozsgaya. Rozmowa odbyła w grudniu 1983 roku. Nadano jej tytuł: *„Prawo wyboru"*.

Zaczyna się oczywiście od wspomnień osobistych, od tragicznych wydarzeń jesieni 1956 roku i tego, co było dalej. Ale główne zainteresowanie rozmówców Imre Pozsgaya skupia się na sposobach rozwiązywania wielu węgierskich problemów dziś. I nas to najbardziej interesuje.

— *„Właśnie my w Patriotycznym Froncie Narodowym* — mówi Imre Pozsgay — *głosimy zasadę niezbędnych uzgodnień społecznych:*

— *po pierwsze — uznajemy, że socjalizm w tym kraju wyraża naszą tożsamość narodową,*

— *po drugie — że system polityczny opiera się na władzy klasy robotniczej i przewodniej roli partii,*

— *po trzecie — że w naszych stosunkach międzynarodowych za pierwszorzędny uznajemy system sojuszy z krajami socjalistycznymi.*

Na gruncie tych ustaleń jesteśmy otwarci na wszelkie oferty krajowe i międzynarodowe"

Czy te ustalenia należy traktować jako nienaruszalne dogmaty?

— *„...te trzy płaszczyzny społecznych uzgodnień* — odpowiada Imre Pozsgay — *rozpatrujemy w sposób dynamiczny, zawsze w zależności od sytuacji. Oczywiście, jeśli mówimy, że na Węgrzech istnieje socjalizm, to jest to dogmat, ale przyjrzyjmy się tylko jak zmienił się obraz socjalizmu na Węgrzech. Wtedy mamy już do czynienia nie z dogmatem, a z żywym procesem. Podobnie jeśli będziemy mówić o władzy klasy robotniczej bez rozpatrywania socjalnego składu tej klasy, to wówczas mamy do czynienia z dogmatem. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę analizę składu socjalnego tej klasy i rozwój jej poglądów politycznych, to wówczas stykamy się z żywym ruchem".*

Jest to tylko przypomnienie, że zjawisk społecznych nie wolno traktować statycznie, jako raz na zawsze ustanowionych, skostniałych w swoim kształcie. Przeciwnie wszelkie zjawiska społeczne podlegają ciągłym zmianom, przeobrażeniom. Jest to proces dialektyczny. Kto tych zmian w porę nie dostrzeże, ten może popełnić błąd, znaleźć się w krytycznej sytuacji. Na Węgrzech proces dialektycznych przemian dokonuje się nie tylko w obrębie trzech podstawowych zasad wymienionych przez Imre Pozsgaya, co jest zjawiskiem naturalnym, ale i również wokół nich.

W latach 1979—1980 powstała na Węgrzech opozycja, *„która wychodząc z pozycji mieszczańsko-demokratycznych próbowała oceniać i krytykować cały nasz system polityczny, i która potrafi sobie wyobrazić funkcjonowanie tego systemu tylko w duchu pluralizmu politycznego"*. Opozycja ta szybko zorientowała się, że nie ma żadnych szans działania wśród robotników, gdyż ci nie zareagowali na jej hasła i usiłowania zdobycia popularności wśród klasy robotniczej. Wówczas zwrócili swoje zainteresowanie ku grupom ludzi najmniej zarabiających, co ograniczyło się do skromnego działania w ramach utworzonego Funduszu Pomagania Biednym.

Od 1979 roku rząd węgierski zmuszony został do wprowadzenia szeregu mało popularnych zarządzeń, które niezbędne były dla podtrzymania sprawności gospodarki, ale wpłynęły ujemnie na warunki życia Węgrów. Z tego powodu — jak mówi Imre Pozsgay — *„zaostrza się krytyka mechanizmów i instytucji sprawowania władzy"*. Jakie zatem jest wyjście?

— *„Ponieważ pole manewru gospodarczego zostało zawężone* — powiada Imre Pozsgay — *przeto za jedyną słuszną metodę uważam poszerzenie demokracji, dalsze demokratyzowanie politycznych instytucji. Jest to zresztą opinia nie tylko moja, również kierownictwo jest tego zdania. Trwają natomiast dyskusje co do metod i zakresu"*.

Otóż zdaniem Imre Pozsgaya do spraw najważniejszych należy wprowadzenie nowego prawa wyborczego, wykorzystanie tych możliwości, jakie na Węgrzech dają parlament i rady narodowe oraz dokonanie niezbędnych zmian w działaniu partii, przezwyciężenie starych metod i nawyków. Na Węgrzech nowe prawo o stowarzyszeniach daje dużą możliwość działania społecznego, co wzbudziło szerokie zainteresowanie ludzi, ale niektóre instytucje polityczne nie potrafią z tego skorzystać. W Gödöllo parlament młodzieży studenckiej odrzucił program reform szkoły wyższej przedłożony przez Ministerstwo Kultury i Oświaty, co dla niektórych ludzi stało się tragicznym przeżyciem. A przecież — powiada Imre Pozsgay — *„jeżeli młodzież nie zaakceptuje jakiejś propozycji względnie decyzji organów rządu lub resortu, to nie należy tego traktować jako porażki całej władzy"*.

I choć Węgrzy sporo osiągnęli w reformowaniu gospodarki i systemu sprawowania władzy, to przecież — jak widać z przebiegu rozmowy — sporo też mają jeszcze kłopotów i spraw do rozwiązania. *„Wciąż realizujemy hasło* — powiada na zakończenie Imre Pozsgay — *które niegdyś sformułował Janos Kadar, „Kto nie jest przeciw nam, ten jest z nami" Przekonaliśmy społeczeństwo, że komuniści to tacy ludzie, którzy mają wyraźnie sformułowane cele i wiedzą, że idąc zdecydowanie do przodu, trzeba od czasu do czasu spojrzeć do tyłu, czy podążają za nimi inni"*.

My też szukamy różnych rozwiązań. Oto toczą się dyskusje o przyszłym kształcie Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej oraz o systemie przyjmowania na studia. Jeśli chodzi o mającą powstać Inspekcję Robotniczo-Chłopską, to trzeba odpowiedzieć przede wszystkim na pytanie, czy ma ona działać

ZGODNIE Z PRAWEM, CZY PONAD PRAWEM?

— *„Chodzi o to* — odpowiada w „TRYBUNIE LUDU" dr Józef Oleksy, kierownik biura Centralnej Komisji Rewizyjnej PZPR w rozmowie z Jerzym Weberem (nr 170 z 18 lipca 1984 r.) — *by stworzyć konkretne możliwości robotnikom i chłopom bezpośredniego ingerowania w sytuacje i zjawiska godzące w interesy ludzi pracy, bądź ograniczające zaspokajanie ich racjonalnych potrzeb. Odpowiada to klasowemu charakterowi naszego państwa i trudno byłoby dopatrywać się w tym czegoś nadzwyczajnego"*.

Ale też posiadamy w państwie sporo niejako zawodowych instytucji zajmujących się kontrolowaniem. *„Kontrola ta* — powiada Józef Oleksy — *zajmuje się sprawdzaniem zgodności działania osób i instytucji z przepisami prawa"*. Natomiast nie udało się stworzyć do tej pory skutecznego systemu kontroli społecznej. Wszelkie próby zawiodły. I właśnie *„inspekcja ma być formą kontroli społecznej, która będzie wspierała działalność kontroli zawodowej i sama z tego wsparcia korzystała. Ma ona działać praworządnie i sprawiedliwie"*. Musi zatem korzystać z systemu kontroli zawodowej. Ma wypełnić lukę, jaka powstała w tym systemie po *„załamaniu się komitetów kontroli społecznej"*. Przygotowuje się więc projekt działania Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej, co wymaga *„opracowania bardzo precyzyjnych przepisów prawnych"*. Józef Oleksy zapewnił, że *„respektowana jest zasada, aby inspekcja nie stała ponad prawem, ale działała w jego ramach"*. Przygotowywany projekt będzie zresztą konsultowany, a jednocześnie w 6 województwach *„planowane jest uruchomienie grup pilotażowych"*, aby można było zebrać niezbędne doświadczenia z ich kontrolnej działalności.

Dyskutuje się też powszechnie — bo przedstawione zostały pod dyskusję założenia — o nowym systemie przyjmowania na studia wyższe.

KOMU DAWAĆ PUNKTY PREFERENCYJNE I CZY W OGÓLE JE DAWAĆ?

Piotr Rządca w „TRYBUNIE LUDU" relacjonuje dyskusję (nr 172 z 20 lipca 1984 r.), która odbyła się w ZPB im. Armii Ludowej w Łodzi. Ogólnie rzecz biorąc dyskusja toczy się utartym szlakiem: jedni są przeciw punktom, inni za punktami, jedni uważają, że trzeba pomagać zdolnym, inni, że preferować należy tych z małych miasteczek i wsi, bo tam są trudniejsze warunki nauki. Jerzy Chrzanowski *„sugeruje, aby w miejsce punktów preferencyjnych organizować dłuższe kursy przygotowawcze dla młodzieży, która miała trudniejszą drogę do studiów"*. Natomiast Leszek Maliński przypomniał, że *„zawód inżyniera przestał być atrakcyjny w środowisku robotniczym"*.

Zbyt słaby ciągle jest głos tych, którzy uparcie przypominają, że cała sprawa nie w punktach, a w wadliwym systemie płac. System ten bowiem nie jest oparty na zasadzie, że od każdego wymaga się wedle jego możliwości, a każdemu płaci się wedle jego pracy. Do sprawy tej wraca w „PRZEGLĄDZIE TECHNICZNYM" (nr 29 z 15 lipca 1984 r.) w artykule *„Liga zawodów"* Leon Podkaminer. Pisze on słusznie, że *„nie pomogą ani apele, ani ponaglenia. Pozostaje tylko i wyłącznie właściwa polityka wynagradzania pracy według niezawodnej formuły: każdemu według zasług"*.

Leon Podkamider przytacza też interesujące dane o stosunku płac pracowników umysłowych różnych grup do średniej płacy w przemyśle przyjętej jako 1. Otóż jeśli w 1978 roku płaca pracowników umysłowych przemysłu wynosiła 1,14, to w 1982 — 1,06. Dyrektorów w 1979 roku — 3,10, w 1982 — 2,25. Profesora szkoły wyższej w 1980 — 2,10, w 1982 — 1,13. Płaca lekarza w stosunku do płacy średniej robotnika przemysłowego w 1979 r. wynosiła 1,54, w 1982 — 1,26. Płaca bankowca w 1970 roku — 0,92, w 1979 — 0,80, w 1982 — 0,74. A robotnika PGR w 1979 — 0,97, w 1981 r. — 1,05, w 1982 roku — 0,99.

Są to dane niebywale interesujące i warte rzetelnej dyskusji.

Ciekawie na sprawę dyskusji o systemie przyjmowania na studia spojrzał felietonista „ŻYCIA LITERACKIEGO" Bogumił Drozdowski (nr 30 z 22 lipca 1984 r.) i napisał felieton pod znamiennym tytułem: *„O niebezpieczeństwie wtórnego rozbicia klasowego z powodu systemu preferencji"*. Występuje on w tym felietonie

PRZECIW MITOM

jakie utarły się o różnych klasach i warstwach w Polsce. Zdenerwowała go wypowiedź wysokokwalifikowanego robotnika, który w „Expressie Wieczornym" powiedział, że *„w robotniczej rodzinie nie zawsze jest dość czasu na naukę"*. Jest to pogląd rodem z takich mitów pochodzący, według tych mitów robotnik musi być prymitywny, profesor zagrzebany w książkach, nauczyciel biedny i niedouczony, a rolnik śpiący na pieniądzach. A przecież świat wcale nie jest tak schematycznie skonstruowany. Wiadomo, że w różnych klasach i grupach różni są ludzie.

Tu wrócę do cytowanej wcześniej dyskusji z „Trybuny Ludu", o przyjmowaniu na studia. Romuald Kaźmierczak powiedział tam:

„Kiedy pracowałem i uczyłem się zarazem, byłem chwalony za postawę. Teraz, kiedy już jestem inżynierem, mam być „podejrzany" za to, iż stałem się inteligentem".

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

OBCHODY CZTERDZIESTOLECIA

były najważniejszymi wydarzeniami w minionym tygodniu. Sejm PRL uchwalił ustawę o amnestii oraz odbył uroczyste posiedzenie, na którym przemówienie wygłosił gen. **Wojciech Jaruzelski**. W uroczystych obradach Sejmu wzięli udział goście z krajów socjalistycznych.

Odbyła się odprawa warty przy Grobie Nieznanego Żołnierza, delegacje zagraniczne i przedstawiciele ambasad akredytowanych w Polsce złożyli wieńce. Wieńce złożono też w miejscach upamiętnionych walką żołnierzy radzieckich i polskich o wyzwolenie Polski.

Na Stadionie Dziesięciolecia pokazano przepiękne widowisko plenerowe, w którym udział wzięły orkiestry wojskowe, żołnierze, zespoły ludowe oraz młodzież.

Wręczono odznaczenia państwowe, nagrody i Medale Czterdziestolecia. Order Sztandaru Pracy I klasy otrzymały **ZPW 9 Maja**, a Order Sztandaru Pracy II klasy **ZAE „Ema-Elester"**.

Wśród nagrodzonych Orderem Budowniczego Polski Ludowej znaleźli się między innymi: **Janina Kalinowska-Góralska** — dyrektor „Fako" oraz **Edward Król** — brygadzista w Przedsiębiorstwie Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych.

Wśród tych którzy otrzymali Medal 40-lecia PRL są między innymi **Tadeusz Chróścielewski** — pisarz, poeta, publicysta oraz **Mieczysław Jagoszewski** — dziennikarz „Dziennika Łódzkiego".

NAGRODY I ODZNACZENIA

otrzymali też dziennikarze oraz pracownicy RSW „Prasa — Książka — Ruch"..

— Wśród nagrodzonych przez prezesa ZG RSW byli między innymi: redaktor naczelny „Głosu Robotniczego" **Krzysztof Pogorzelec**, kierownik działu wydawniczego w Łódzkim Wydawnictwie Prasowym RSW **Jerzy Kałużka**, a także **Jerzy Hübner** z Prasowych Zakładów Graficznych w Łodzi oraz **Feliksa Brzezińska** i **Stefan Nawrocki**, pracownicy Ruchu w Łowiczu i Piotrkowie Trybunalskim.

— Nagrodę prezesa ZG RSW otrzymało **kolegium „Expressu Ilustrowanego"** i zespół Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki w Płocku.

— Nagrodę dyrektora Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego za rok 1983 otrzymali: **Stanisław Bąkowicz** (Głos Robotniczy), **Andrzej Makowiecki** (Odgłosy), **Edmund Tulko** (Dziennik Łódzki), **Bożena Rudnicka** (Express Ilustrowany), **Marian Misa i Zdzisław Skonieczko** (ŁWP).

— W czasie rozdawania nagród w Klubie Dziennikarza odznaczenia państwowe otrzymali: **Mieczysław Wójcicki** z „Głosu Robotniczego", Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, **Jadwiga Rybicka** z „Życia Pabianic" i **Andrzej Giełdowski** z ŁWP Srebrny Krzyż Zasługi.

Wszystkim odznaczonym i nagrodzonym składamy serdeczne gratulacje!

POLSKA AGENCJA PRASOWA TEŻ MA 40 LAT

Zatrudnia obecnie 850 osób, w tym 260 dziennikarzy. Każdego dnia redaguje, odbiera, tłumaczy i nadaje milion słów. Wysyła za granicę informacje o Polsce w 4 językach. Dostarcza prasie polskiej informacje z kraju i ze świata.

Z okazji 40-lecia PAP premier, gen **Wojciech Jaruzelski** przesłał list gratulacyjny. Listy gratulacyjne przesłał PAP minister spraw zagranicznych **Stefan Olszowski**.

DESZCZOWY LIPIEC

brak słonecznej pogody utrudnia żniwa. Kilka dni ciepła pozwoliło rolnikom rozpocząć zbiór rzepaku i jęczmienia ozimego. Powrót pogody deszczowej zahamował prace w polu. Rolnicy niektórych rejonów kraju oceniają, że zbiory w tym roku mogą być wyższe niż w ubiegłym, ale żniwa będą późne i bardzo trudne.

KRUPÓWKI W ZAKOPANEM

uznano za zabytek. Swego czasu ulica ta — niebywale oryginalna pod względem architektonicznym — miała być zburzona, a na jej miejscu planowano wybudowanie nowoczesnych domów. Na szczęście pomysł ten odrzucono. W Pracowni Regionalnej Politechniki Krakowskiej powstał projekt rewaloryzacji zakopiańskich Krupówek.

ŁÓDZKI NUMER „SZPILEK"

Z niejakim opóźnieniem donosimy, iż nr 28 „Szpilek" z datą 12 lipca 1984 roku poświęcony został w znacznej części Łodzi. W numerze tym ukazało się wspomnienie **Jana Koprowskiego** „Słońce wschodzi koło Łodzi", wywiad **Romana Gorzelskiego** z **Igorem Sikiryckim**, fraszki **Adama Ochockiego, Igora Sikiryckiego** i **Romana Gorzelskiego**, wiersze i inne utwory satyryczne **Eugeniusza Iwanickiego, Adama Ochockiego, Romana Gorzelskiego, Tadeusza Chróścielewskiego, Ryszarda Doroby** i **Jerzego Wilmańskiego**. Przedrukowano też „List Tuwima do prezydenta miasta Łodzi". Rysunki **Karol Baraniecki, Stanisław Gratkowski** i **Józef Skonieczny**.

„MISCELLANEA ŁÓDZKIE"

— zeszyt trzeci — już się ukazały. W numerze: **Antoni Szram** pisze o inicjatywach budowlanych J. K. Poznańskiego, **Jacek Antoni Ojrzyński** wspomina Mariana Minicha, a **Wanda Nowakowska** o latach pracy w muzeum, **Jerzy Tynecki** pisze o mitach łódzkich w literaturze, a **Janusz Dunin** o historii ludowego i robotniczego czytelnictwa.

PASAŻERÓW PKP OSTRZEGAMY

za „Kurierem Polskim", iż na trasie Warszawa — Lublin kursują pociągi bez wagonów I klasy, a na stacjach w Warszawie i Lublinie kasy sprzedają pasażerom bilety I klasy jak gdyby nigdy nic.

A. B. SEKATOR

Dwa manifesty

ZENON JANUSZ MICHALSKI

Czterdzieści lat temu Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego proklamował Rzeczpospolitą ludu pracującego miast i wsi. Dwadzieścia pięć lat wcześniej uchwalony w Lublinie Manifest postulował podobny kształt odradzającego się państwa polskiego. Może więc warto w czterdziestą rocznicę Polski Ludowej wrócić i do tamtych wcześniejszych lat i szukać w obu historycznych dokumentach prawdy o ludzkich aspiracjach i nadziejach, refleksji nad rolą mas ludowych w procesie dziejowym

U ŹRÓDEŁ MOTYWÓW DEKLARACJI POLITYCZNYCH

„...Do ludu polskiego! Robotnicy, włościanie i żołnierze polscy! Nad skrwawioną i umęczoną ludzkością wschodzi zorza pokoju i wolności. W gruzy walą się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarnego ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy... Ludu Polski! Polski chłopie i robotniku! Jeżeli chcesz zająć należne ci miejsce w rodzinie wolnych narodów, jeśli chcesz sam być gospodarzem na swojej własnej ziemi, to musisz w swoje ręce ująć władzę w Polsce, musisz sam budować gmach niepodległej i zjednoczonej Ludowej Rzeczypospolitej Polskiej..."

Nie, — Szanowny Czytelniku — to nie Manifest PKWN. Tymi słowami rozpoczynał się uchwalony 7 listopada 1918 roku Manifest Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej. Jego niewątpliwie rewolucyjne treści wyraźnie kolidowały ze składem osobowym rządu, który — przypomnieć tu warto — pod przewodnictwem Ignacego Daszyńskiego tworzyli: Tomasz Arciszewski, Medard Downarowicz, Gabryel Dubiel Marian Malinowski, Jędrzej Moraczewski, Tomasz Nocznicki, Julian Poniatowski, Edward Rydz-Śmigły, Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarski, Stanisław Thugutt, Wincenty Witos i Bronisław Ziemięcki.

Zrodził się Manifest Lubelski w określonej sytuacji społeczno-politycznej na ziemiach polskich i poza nimi. Poprzedziła jego powstanie odbyta w Warszawie w nocy z 3 na 4 listopada 1918 r. narada polityków partii demokratycznych, której przewodniczył komendant Polskiej Organizacji Wojskowej, pułkownik Edward Rydz-Śmigły. Stwierdzono na niej, że *„...potrzeba utworzenia rządu płynie z konieczności utrzymania porządku, niedopuszczenia do anarchii i zabezpieczenia powstającego państwa przed nadciągającymi ze wschodu i zachodu burzami..."*.

Jeszcze wymowniej ujął to w swoich Pamiętnikach Ignacy Daszyński:

„...Dookoła Polski panowała zwycięska rewolucja — pisał — *Rosja i Ukraina miały już od roku rząd bolszewicki w Niemczech doszli do władzy najskrajniejsi socjaliści lewicowi (wraz z prawicowymi), na Węgrzech gotowali się do objęcia rządów komuniści. Polskie klasy posiadające skostniały w „pasywiźmie"; chłopi, robotnicy i patriotyczna inteligencja znajdowali się w stanie silnego podniecenia rewolucyjnego. Objęcie rządu przez kapitalistów miejskich czy wiejskich wywołałoby tak silne fermenty w masach, że rozumiały to nawet konserwatywne społeczne sfery w Królestwie i Galicji i nie szły do rządu..."*.

I relacjonując przebieg wstępnej narady w Lublinie stwierdzał: *„...oświadczyłem, że przyłączam się do akcji tworzenia rządu z zastrzeżeniem, że nie można pozwolić na tworzenie drugiego rządu w Polsce i że poruszymy cały lud robotniczy i chłopski. Pan Witos stawiał jako warunek zgodną opinię ludu, bo inaczej grozi nam przejście podobne, jakie rząd Kiereńskiego miał z bolszewikami. Przegrana byłaby nieszczęściem..."*.

Co do tego, jaki będzie skutek odcięcia się od sił rewolucyjnych Daszyński nie miał złudzeń. *„...Wojna z Ukraińcami i grożące bliskie konflikty z Rosją i Czechami wymagały znów ofiar krwi masy ludowej. Burżuazja zaś nie dawała Polsce ani krwi, ani pieniędzy, lecz czekała tylko na chwilę, gdy przy pomocy koalicji obejmie sama władzę..."*.

Stanowił więc Manifest Rządu Lubelskiego odbicie nie tyle poglądów i przekonań jego członków, co dążeń i tęsknot mas ludowych, których to dążeń zresztą lubelski gabinet w pełni sobie nie uświadamiał. A bieg wydarzeń był nieubłagany. Polskie klasy posiadające powoli, lecz skutecznie usuwały przeszkody na drodze do objęcia władzy. Obiektywnie sprzyjały temu stanowiska partii klasy robotniczej. Komunistyczna Partia Robotnicza Polski zapatrzona była w utopijną wizję Federacji Socjalistycznych Republik Europy. Polska Partia Socjalistyczna konsekwentnie trzymała się wytycznych programowych Paryskiego Zjazdu, zakładających utworzenie burżuazyjno-demokratycznego państwa jako etapu na drodze do socjalizmu, a masy ludowe, zdezorientowane, dawały posłuch patriotycznym hasłom burżuazji, za którymi kryły się klasowe, obce im treści.

Ćwierć wieku później, ponownie w warunkach utraty niepodległego bytu i ponownie na ziemi lubelskiej, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego wydał 22 lipca 1944 roku Manifest do narodu polskiego. Wychodził ten manifest, tak jak jego poprzednik naprzeciw dążeniom i nadziejom ludu pracującego miast i wsi. Konstruując program zawarty w Manifeście Lipcowym miała lewica polska w pamięci gorycz porażki sprzed dwudziestu pięciu lat. Uwidoczniło się to już wcześniej w pierwszej (marcowej) deklaracji Polskiej Partii Robotniczej, „O co walczymy", gdzie stawiano pytanie *„Co należy robić by Polska była prawdziwie wolną i niepodległą, by nie powtórzył się rok 1918 ani 1939."*.

Czy okres dwudziestu pięciu lat zawarty między dwoma manifestami zmienił w sposób istotny dążenia i nadzieje mas — na to pytanie szukać by można odpowiedzi porównując treści obu dokumentów, kreślących obraz przyszłej Polski.

WIZJA NIEPODLEGŁEJ I ROBOTNICZO-CHŁOPSKIEJ

To co w obu manifestach podstawowe i wspólne — to proklamacja odrodzenia Państwa Polskiego.

„...Państwo polskie obejmujące sobą wszystkie ziemie zamieszkałe przez lud polski, z własnym wybrzeżem morskim, stanowić ma po wszystkie czasy Polską Republikę Ludową, której pierwszego prezydenta wybierze Sejm ustawodawczy..." — zapisano w Manifeście Rządu Lubelskiego

„...W imieniu Krajowej Rady Narodowej Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego obejmuje władzę na wyzwolonych terenach Polski..." — głosił Manifest Lipcowy, przy czym różnice sformułowań brały się z zasadniczo odmiennych warunków odradzania się państwowości polskiej w obu przypadkach. W 1918 roku rząd lubelski wydawał swój manifest właściwie po zakończeniu działań wojennych, przy pełnym rozkładzie organizmów państw zaborczych. PKWN funkcjonował na skrawku wyzwolonej ziemi polskiej, na rok prawie przed zakończeniem wojny, stąd w Manifeście Lipcowym znalazło się sformułowanie nie mające odpowiednika w Lubelskim, że *„...Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego za naczelne swe zadanie uważa wzmożenie udziału narodu polskiego w walce o zmiażdżenie Niemiec hitlerowskich..."*.

W zbliżony sposób ujmowały oba manifesty sprawę przyszłych granic Polski.

„...Państwo polskie obejmujące sobą wszystkie ziemie zamieszkałe przez lud polski, z własnym wybrzeżem polskim..." i dalej *„...Polaków zamieszkałych na ziemiach byłego Królestwa Litewskiego wzywamy, aby w braterskiej zgodzie z narodami litewskim i białoruskim dążyli do odbudowania państwa litewskiego w dawnych jego historycznych granicach, Polaków zaś ze wschodniej Galicji i na Ukrainie do pokojowego załatwienia kwestii spornych z narodem ukraińskim, aż do ostatecznego ich uregulowania przez miarodajne czynniki obu narodów..."* — postulował Manifest Lubelski.

„...Stawajcie do walki o wolność Polski, o powrót do Matki-Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą..." — wzywano w Manifeście Lipcowym i dalej stwierdzano, że *„...Granica wschodnia powinna być linią przyjaznego sąsiedztwa, a nie przegrodą między nami a naszymi sąsiadami i powinna być uregulowana zgodnie z zasadą: ziemie polskie — Polsce, ziemie ukraińskie, białoruskie i litewskie — radzieckiej Ukrainie, Białorusi i Litwie..."*

Akcentowano w obu dokumentach ludowy charakter tworzonego wojska. *„...Wierzymy* — stwierdzał Manifest Lubelski — *że młodzież wiejska i robotnicza z radością stanie w szeregach rewolucyjnej armii polskiej, z ludu wyszłej, politycznych i społecznych praw ludu pracującego broniącej. Rządowi ludowemu wiernie i całkowicie oddanej jedynie jego rozkazom podległej..."*.

„...Zjednoczeni ku chwale Ojczyzny w jednym Wojsku Polskim — pod wspólnym dowództwem — głosił Manifest Lipcowy *— wszyscy żołnierze polscy pójdą obok zwycięskiej Czerwonej Armii do dalszych walk o wyzwolenie kraju... Spieszcie do szeregów Wojska Polskiego, które pomści klęskę wrześniową i razem z armiami narodów sprzymierzonych zgotuje Niemcom nowy Grunwald!... Stawajcie do walki o Polskę... w której zapewniony będzie trwały pokój i możność twórczej pracy, rozkwit kraju!..."*.

Zapowiadały Manifesty Lubelski i Lipcowy przejęcie władzy przez lud pracujący miast i wsi.

„...Ogłaszamy się za Tymczasowy Rząd Ludowy Polski i do chwili zwołania Sejmu ustawodawczego władzę całkowicie i niepodzielnie obejmujemy ślubując sprawować ją sprawiedliwie ku dobru i pożytkowi ludu i państwa polskiego, nie cofając się jednak przed surową i bezwzględną karą wobec tych, którzy nie chcą uznać w Polsce władzy demokracji polskiej... Rada Regencyjna działająca na szkodę narodu polskiego z dniem dzisiejszym z woli ludu polskiego przestaje istnieć... Istniejącemu obecnie w Warszawie prowizorycznemu rządowi urzędniczemu rozkazujemy niniejszym natychmiast podporządkować się nam i sprawować swe funkcje aż do chwili otrzymania od nas bliższych instrukcji, w przeciwnym razie będą postawieni w stan oskarżenia przed trybunałem ludowym..." — stwierdzał Manifest Rządu Ludowego.

W Manifeście PKWN zapisano, że *„...Krajowa Rada Narodowa, powołana przez walczący naród jest jedynym legalnym źródłem władzy w Polsce... Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego jest legalną tymczasową władzą wykonawczą dla kierowania walką wyzwoleńczą narodu, zdobycia niepodległości i odbudowy państwa polskiego..."*. Stwierdzono także, iż *„...Emigracyjny „rząd" w Londynie i jego Delegatura w kraju jest władzą samozwańczą, władzą nielegalną..."*

Przystępując do odbudowy państwowości polskiej zapowiadano w obu manifestach przywrócenie swobód demokratycznych, zapewnienie praw i wolności obywatelskich.

„...Z dniem dzisiejszym — zapisano w Manifeście Lubelskim — *ogłaszamy w Polsce całkowite polityczne i obywatelskie równouprawnienie wszystkich obywateli bez różnicy pochodzenia, wiary i narodowości, wolność sumienia, druku, słowa, zgromadzeń, pochodów, zrzeszeń, związków zawodowych i strajków..."*.

Natomiast w Manifeście Lipcowym Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego deklarował *„...przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli bez różnicy rasy, wyznania i narodowości, wolności organizacji politycznych, zawodowych, pracy, sumienia..."* Stwierdzano jednocześnie, że *„...demokratyczne swobody nie mogą służyć wrogom demokracji..."*.

Zawierały oba manifesty wizję przyszłej Polski — program przeobrażeń gospodarczych i społecznych.

„...Na Sejm ustawodawczy — oświadczali twórcy Manifestu Lubelskiego — *wzniesiemy projekty następujących reform społecznych.*

a) przymusowe wywłaszczenie i zniesienie wielkiej i średniej własności ziemskiej i oddanie jej w ręce ludu pracującego pod kontrolę państwową;

b) upaństwowienie kopalni, salin, przemysłu naftowego, dróg komunikacyjnych oraz innych działów przemysłu, gdzie się to da od razu uczynić;

c) udział robotników w administracji tych zakładów przemysłowych, które nie zostaną od razu upaństwowione;

d) prawo o ochronie pracy, ubezpieczenia od bezrobocia, chorób i na starość;

e) konfiskaty kapitałów, powstałych w czasie wojny ze zbrodniczej spekulacji artykułami pierwszej potrzeby i dostaw dla wojska;

f) wprowadzenie powszechnego, obowiązkowego i bezpłatnego świeckiego nauczania szkolnego...".

„...Aby przyspieszyć odbudowę kraju i zaspokoić odwieczny pęd chłopstwa polskiego do ziemi — czytamy w Manifeście Lipcowym — *Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego przystąpi natychmiast do urzeczywistnienia na ziemiach wyzwolonych szerokiej reformy rolnej..."*.

I dalej zapowiedź przejęcia gospodarki, upowszechnienie ubezpieczeń społecznych, ochrona socjalna ludzi pracy, powszechna bezpłatna oświata i służba zdrowia.

JAKIE WNIOSKI?

Porównanie obu manifestów w tych podstawowych kwestiach jednoznacznie nasuwa refleksje o niezmienności podstawowych aspiracji i pragnień mas ludowych. Ale rodzi się także refleksja inna — o zasadniczej odmienności warunków dochodzenia do niepodległości w 1918 i w 1944 roku.

Słusznie stwierdzał, cytowany już wyżej, Ignacy Daszyński że *„...burżuazja nie dawała Polsce ani krwi, ani pieniędzy, lecz czekała tylko na chwilę, gdy przy pomocy Koalicji obejmie sama władzę..."*. Doczekała się jej, w dużym właśnie stopniu dzięki pomocy ponoszących główny ciężar wojennych zmagań burżuazyjnych mocarstw zachodnich, które w swojej konstrukcji powojennego świata precyzyjnie zaprogramowały istnienie Polski w określonym kształcie ustrojowym i terytorialnym. *„...Nie zapominajcie* — stwierdził pod adresem polskich delegatów na posiedzeniu Rady Najwyższej w dniu 2 czerwca 1919 roku brytyski minister Lloyd George — *że wasza wolność zdobyta została za cenę miliona pięciuset tysięcy Francuzów, którzy polegli w tej wojnie, ośmiuset tysięcy zabitych żołnierzy Imperium Brytyjskiego, pięciuset tysięcy żołnierzy włoskich. Wolność wasza okupiona została krwią innych narodów..."* — i dalej — *„...jeżeli Polska zbuntuje się przeciwko naszym decyzjom, da dowód, że jest czymś innym, niż myśmy przyjmowali..."*.

Stwierdzał wprawdzie Daszyński, że *„...klasę robotniczą wyniszczoną przez długą wojnę, ogarnął w tych dniach pamiętnych święty zapał i poryw tak wspaniałego, tak czystego patriotyzmu, że zasługuje ona na podziw i podziękowanie..."*, ale biegu wydarzeń zmienić to nie mogło.

Co się zmieniło po dwudziestu pięciu latach? Nowy pretendent do władzy — klasa robotnicza pieniędzy w przeciwieństwie do klas posiadających — nie miała, ale nie czekała tylko na chwilę, gdy przy pomocy Armii Czerwonej obejmie władzę lecz sama krwi i trudu nie szczędząc do walki o tę władzę przystąpiła. Dlatego także Manifest PKWN nie odkładał — jak to miało miejsce w przypadku Manifestu Lubelskiego — działań na rzecz przeobrażeń społeczno-ustrojowych do decyzji przyszłego Sejmu ustawodawczego, lecz swym zapisem uruchamiał proces ich urzeczywistnienia. I nikt z przywódców Kraju Rad nie wypominał Polakom, ilu to żołnierzy radzieckich krwią okupiło niepodległość Polski.

Jeszcze niosły się od zachodnich rubieży Odrodzonej Rzeczypospolitej ostatnie wystrzały w dogasającej wielkiej wojnie, a już robotniczo-żołnierskie ekipy wytyczały w pańskiej ziemi zarys przyszłych chłopskich działek, już organizowały się w opustoszałych zdewastowanych fabrykach robotnicze komitety, już z zabużańskich obszarów ciągnęły na zachód repatriancie eszelony.

„...Nad umęczoną Polską — jak zapisano we wstępie do Manifestu Lipcowego — *powiały znów biało-czerwone sztandary..."*.

Czterdzieści lat minęło od tamtej historycznej proklamacji — lat lepszych, gorszych, bywało że i bardzo niedobrych. Jedno w nich jednak jest niekwestionowane — uporczywe realizowanie manifestowych zobowiązań. Czas jest nieubłagany. Wielu z tych, którzy tworzyli manifest i z tych, którzy stawali na jego apel, odeszło na zawsze. Wielu wiek wyłączył z aktywnej zawodowej działalności. Dla młodych Manifest Lipcowy to już historia — ale i świadomość, że wytyczył on dzisiejszy kształt ustrojowy Rzeczypospolitej. Naukowcy toczą spory o te czy inne sformułowania manifestu, politycy szukają w nim inspiracji dla swych decyzji i działań.

„...A wokoło — jak pisał Melchior Wańkowicz — *Polska szumi..."*.

Kto stanowi władzę, rada czy administracja?

Rozmawiamy z przewodniczącym Rady Narodowej m. Łodzi, prof. dr. MIECZYSŁAWEM SERWIŃSKIM.

Zdaję sobie sprawę, że za wcześnie byłoby mówić teraz o konkretnych zamierzeniach i planach Rady Narodowej m. Łodzi, z którymi jeszcze nie zdążyła się zmierzyć w praktycznej działalności. Stale jednak, jak mi się wydaje, nie dość rozmów na temat oczekiwań społeczeństwa, adresowanych do rad i na temat możliwości spełniania tychże oczekiwań przez rady. Wprawdzie mówiło się i pisało o tym sporo w okresie kampanii wyborczej, odbywały się przecież dość liczne spotkania kandydatów na radnych z potencjalnymi wyborcami, ale ciągle obserwuję nikłą znajomość kompetencji i prerogatyw rad. Czy nie bierze się to stąd, że zbyt wiele było w ciągu czterdziestolecia ustaw o radach narodowych i jeszcze liczniejszych nowelizacji, aż doszło do osłabienia zainteresowania społeczeństwa możliwościami udziału obywateli we współrządzeniu państwem, ponadto słyszy się jeszcze nieraz wątpliwości, czy obecna ustawa wnosi jakieś istotniejsze innowacje, a jeśli nawet tak, to czy późniejsza praktyka nie sprawi, iż znów działalność rad sformalizuje się i stanie się po części pozorna.

— Ustawa wnosi wiele nowego, o czym już szeroko informowano społeczeństwo, choć oczywiście nowe rady są kontynuacja dawnych i po prostu nie da się całkiem zerwać z przeszłością...

— Nawet jeśli byłoby to konieczne?

— Nie jest to konieczne w tym przypadku. Poprzednia ustawa określała rady jako terenowe organy władzy państwowej i podstawowe organy samorządu społecznego, dodając też, iż są one organami przedstawicielskimi. Różnica jest taka, że w określaniu charakteru rad narodowych kładzie się silniejszy akcent na samorządzie terytorialnym, który jest zresztą jedną z form samorządu społecznego. Ale myślę, że nie w tych, dość ogólnikowych zresztą, sformułowaniach należy szukać różnic w sytuacji rad narodowych dawniej i teraz.

— Zatrzymajmy się więc, jeśli można, na sytuacji poprzedniej. Na czym, pańskim zdaniem, opierał się popularny pogląd, że „rady są bezradne", czy przyczyną ich niedostatecznej działalności był niedostatek uprawnień czy środków?

— Sądzę, że istota sprawy polega na tym, iż sama ustawa nie była wcale zła, stwarzała im bowiem — przynajmniej teoretycznie — spore możliwości działania, choć rzeczywiście samodzielność rad i ich aktywność okazywały się w praktyce często niezadowalające. Przyczyna tego stanu rzeczy wydaje się dziś oczywista: po prostu administrację państwową wszystkich szczebli charakteryzowała niechęć do dzielenia się władzą, toteż ograniczała ona, jak mogła, działalność rad. Było to odbiciem nadmiernej centralizacji władzy, minister nie chciał dzielić się władzą z wojewodą, wojewoda ze starostą itd.

— Ale mówi pan o zależnościach różnych szczebli władzy państwowej, a ściśle administracyjnej, a przecież owa niechęć do dzielenia się władzą nie występowała tylko w pionie administracji, lecz chyba przede wszystkim pomiędzy administracją państwową i gospodarczą a wszelkiego rodzaju reprezentacjami społecznymi.

— Oczywiście, ale uwidoczniało się to najpierw na płaszczyźnie rząd-sejm, a model centralizacyjny sprawiał, że ten wzorzec stosunków niejako automatycznie przenosił się niżej.

— A w jakiej sferze działań administracja może czuć się najsilniej zagrożona przez ciała przedstawicielskie?

— Oczywiście uchwałodawczej i kontrolnej. I w tej właśnie dziedzinie obecna pozycja rad narodowych jest nieporównywalna z dawniejszą. Ale trzeba sobie uświadomić, że administracja państwowa jako władza wykonawcza, a w tym konkretnym przypadku władze wojewódzkie są dla nas przede wszystkim partnerem o szerokich określonych prerogatywach, leży to zresztą w interesie społeczeństwa i państwa, żeby zarówno ciała przedstawicielskie, jak i administracja państwowa były silne i współdziałały jak najsprawniej.

— Któż więc teraz jest dla rad władzą?

— Rady wyższych szczebli, a więc dla naszej, wojewódzkiej rady narodowej władzą nadrzędną jest Rada Państwa i Sejm, które sprawują nad nami tzw. pieczę ustawową, co nie oznacza ograniczenia naszej samodzielności.

— Jak wobec tego wyglądałaby dzisiaj taka sytuacja z którą się przed laty zetknąłem jako dziennikarz. Otóż Komisja Sejmowa Kultury i Sztuki uznała zasadność roszczeń pewnego terenowego muzeum wobec Muzeum Narodowego w Warszawie o zwrot cennych waz, przeniesionych dość podstępnie do zbiorów centralnych przez dyrektora tegoż muzeum, człowieka bardzo w kraju popularnego i zasłużonego dla kultury. Dyrektor kategorycznie odmówił wydania waz, oznajmiając przewodniczącemu komisji, że uchwałę sejmową ma w nosie. Przewodniczący zwrócił się z interwencją do ówczesnego premiera, ten jednak oświadczył, że nie zamierza sobie szarpać nerwów wojną ze znanym z uporu dyrektorem. Sytuacja pozostała bez zmian.

— Dzisiaj przewodniczący komisji kultury nie chodziłby z interwencją do premiera czy resortowego ministra, lecz ewentualnie zwróciłby się do marszałka sejmu, a ponadto komisja kultury zapewne zgłosiłaby wotum nieufności wobec ministra co musiałoby pociągnąć za sobą personalne skutki. Przyznaj pan, że różnice pomiędzy dawniej a teraz w sytuacji ciał przedstawicielskich wobec administracji państwowej są zasadnicze i szkoda, jeśli jeszcze niecałe społeczeństwo sobie to uświadamia.

— Mimo iż dotyczy to bezpośrednio interesów każdego z nas... Ale, Panie Przewodniczący. Podkreśla się często, że radzie narodowej przypada rola gospodarza swojego terenu. Ludzie na to powiadają: „A przedtem czy rady nie miały być „gospodarzem"? Jednak nie tak znów wiele miały do powiedzenia."

— Dzisiaj nie jest to już stwierdzenie gołosłowne, bo jeśli dawniej ten instrument ludowładztwa, jakim są i powinny być rady był przez radnych niedostatecznie wykorzystywany, to nie tylko z powodu takich czy innych ograniczeń formalnych, lecz w znacznej mierze z braku dostatecznych środków materialnych. Budżet rad zapewniał tylko 30 procent środków własnych na pokrycie ustalonych potrzeb. Dzisiaj rady rozporządzają już środkami na pokrycie 80 proc. swoich wydatków, a mówi się nawet o wyższym udziale środków własnych w postaci rozmaitego rodzaju podatków, opłat i udziałów. Ponadto, co bardzo dla nas ważne, Sejm będzie uchwalał budżet dla rad na całe pięciolecie, co nie będzie ich zmuszać do corocznego wydawania całych sum, lecz umożliwi oszczędzanie i odkładanie środków do właściwszego momentu.

— W jakich dziedzinach życia gospodarczego i społecznego swojego terenu jesteście jedynymi gospodarzami? Bo chyba nie we wszystkich...

— W handlu, usługach, gospodarce komunalnej, komunikacji, budownictwie mieszkaniowym, ochronie zdrowia, szkolnictwie bez szkolnictwa wyższego, kulturze, sporcie, rekreacji itp. Nie zapominajmy jednak, że na terenie działania Rady mamy jeszcze przedsiębiorstwa gospodarki uspołecznionej, mamy spółdzielczość, a te jednostki są samodzielne i samorządne, toteż nasza rada może tylko w drodze dyskusji, przez odpowiednią argumentację, wpływać na ich działalność w interesie województwa jako całości, oczywiście szanując ich autonomię zgodnie z zasadami reformy gospodarczej. Istotną sprawą jest dla nas i to, że obecnie władze centralne, np. przed podjęciem decyzji inwestycyjnej na danym terenie, mają obowiązek przeprowadzenia z radą konsultacji ekonomicznej i społecznej.

— W sumie ogrom zadań i wielka też odpowiedzialność spadają na barki radnych i wyobrażam sobie, że dla niejednego będzie to niezwykle ciężki egzamin.

— Staramy się udoskonalać nasze decyzje przez udział w nich dwunastu specjalistycznych komisji, do których powołaliśmy również osoby z zewnątrz. Ale radni z pewnością stają przed trudnymi zadaniami.

— Czy sądzi Pan, że większość potrafi skorzystać z możliwości, jakimi rozporządza rada i status radnego. Ponadto czy wolno ufać, że administracja państwowa już szczerze chce się dzielić z wami władzą? Czy nie byłoby to trochę wbrew jej naturze?

— Nie jest to kwestia złych lub dobrych chęci, lecz ta nowa sytuacja ma swoje źródło w ustawie która podporządkowuje terenowe organy administracji państwowej radom narodowym, traktując je jako organ zarządzająco-wykonawczy rad narodowych. Ta współzależność nie oznacza zresztą jakiejś rywalizacji o władzę. Istotne jest też, że rady mają prerogatywy kontrolne w stosunku do władz administracyjnych i mogą im nie udzielić absolutorium.

— Wynika z tego niezbicie, że demokracja socjalistyczna, którą usiłujemy wprowadzać w życie nie jest — według znanego powiedzenia — aktem łaski władzy wobec społeczeństwa, lecz dążeniem do zaspokajania potrzeb i aspiracji społecznych, choć ciągle jeszcze towarzyszą temu obawy, że ustawa sobie a życie sobie. Ale zgodzi się ze mną Pan profesor, że jeżeli tak jeszcze po części jest, to winni są temu po trosze także ci, którzy po latach niedobrych doświadczeń nie potrafią się przestawić na nowy sposób myślenia o ludowładztwie. Dam przykład sprzed kilku lat. W jednym z miast wojewódzkich dziennikarz gazety codziennej, obecny na posiedzeniu rady miejskiej dotrwał tylko do przedostatniego punktu, kiedy to wysoki przedstawiciel lokalnych władz administracyjnych zgłosił do zatwierdzenia wniosek o podwyżkę opłat za coś tam i to dosłownie „od jutra". Dziennikarz poprosił do swojej redakcji, żeby wyprzedzić z wiadomością kolegów z innych gazet, którzy na posiedzeniu nie byli obecni. Wiadomość następnego dnia wydrukowano, ale okazała się nieprawdziwa, ponieważ któryś z radnych przekonał większość, że byłaby to decyzja nie na czasie ze względu na społeczne napięcia. Czyli i wtedy niejedno zależało od postawy ludzi zasiadających w ciałach przedstawicielskich.

— Morał ten można rozwinąć, że mianowicie błędne przeświadczenie o tym, iż władze administracyjne mogą radom narodowym narzucić co chcą jest głęboko zakorzenione w myśleniu wszystkich kół i kręgów społeczeństwa, w tym także wśród części radnych, którzy najlepiej powinni zdawać sobie sprawę z władzy, która im powierzono. Niech mi z kolei wolno będzie zrewanżować się panu wymownym przykładem. Otóż na I sesji obecnej kadencji Rady, która jak wiadomo, odbyła się w dwa tygodnie po wyborach, jedna z radnych zażądała od prezydenta, żeby się zobowiązał na piśmie, kiedy w jej gminie rozpocznie się budowa szkoły. Na to prezydent, że jeśli rada uchwali wprowadzenie inwestycji do planu i przeznaczy na ten cel wymagane środki, będzie to stanowić dla władzy gminy zobowiązanie do realizacji. Dopiero, jeśli sprawa nie nabierze właściwego biegu, to on, prezydent, wycągnie wobec podległych mu władz właściwe konsekwencje. W ten sposób prezydent uświadomił radną, że to ona powinna wpływać na podejmowanie odpowiednich uchwał przez radę, natomiast kierowanie tego rodzaju pytań do władzy administracyjnej czyli wykonawczej jest niewłaściwe. Swoją działalnością radni będą dopiero krystalizować treść nowej ustawy w granicach posiadanych przez rady uprawnień i środków, z czym może im być nieraz trudno, bo niektórzy z nich będą te funkcje pełnić dopiero po raz pierwszy. Wielu jest zapewne takich, którzy czują się jeszcze „rozgrzani" niedawnymi spotkaniami z wyborcami i zobowiązaniami, które wobec nich zaciągnęli, należy przyjąć, że w najlepszej wierze. Cała sztuka teraz w tym, żeby nauczyli się znajdować rozwiązania optymalne, najlepsze z możliwych.

— Panie profesorze. Wspomniał pan na początku rozmowy o potrzebie kontynuacji, zapytam w związku z tym, jakie doświadczenia — dobre czy złe — i jakie wnioski z działalności „starych" rad należy uznać za przydatne lub warte przemyślenia.

— Na podstawie doświadczeń ostatnich kilku lat za najważniejszą sprawę uważam prawidłowy mechanizm tworzenia rocznych i wieloletnich planów społeczno-gospodarczych. Dotychczas było tak, że radni otrzymywali gotowy projekt planu, który następnie akceptowali bez poprawek, ponieważ głównym i nieraz jedynym autorem planu była wojewódzka komisja planowania, bez współudziału radnych, którzy nie mieli w tej sytuacji wyrobionego zdania na temat poszczególnych pozycji planu, jakże więc mogli wnosić poprawki. Według mnie, realizować plan można tylko wtedy dobrze, kiedy radni są faktycznie jego współtwórcami od samego początku. Współudział w wykonywaniu planu, planu *zrozumiałego* wciąga radnych do stałego kontaktu z wyborcami, uczy też szerszego spojrzenia na sprawy *ludzkie i realistycznego ich zaspokajania*, tj. w granicach posiadanych środków, natomiast formalna akceptacja nie ma tego merytorycznego i emocjonalnego znaczenia. Bo wówczas radni stają się bierni i rzeczywiście bez-

Główne kierunki przeobrażeń społecznych 2

ZMIANY W KLASIE CHŁOPSKIEJ

Równie głębokie zmiany dokonały się w klasie chłopskiej. Należy w nich wyodrębnić te, które miały znamiona rozwoju — postępu oraz te, które miały znamiona regresu.

Zmiany w klasie chłopskiej spowodowane były przede wszystkim reformą rolną, na której 3 zakresy i kierunki oddziaływania zwracają uwagę badacze:

„1) Istotne wzmocnienie pozycji chłopstwa średniorolnego w strukturze agrarnej ludności chłopskiej, które skorzystało z reformy rolnej w największym stopniu:

2) Stworzenie liczącej blisko 350 tys. gospodarstw, nowej kategorii chłopów, która następnie stała się główną bazą społeczną ruchu rolniczej spółdzielczości produkcyjnej i z której uformowała się w głównej mierze grupa chłopów-spółdzielców;

3) Niedostateczne powiększenie obszaru gospodarstw poprzednio karłowatych bądź małorolnych, w wyniku czego zaznaczyła się w tej grupie silna tendencja do odchodzenia z klasy chłopskiej w formie migracji utajonej tj. poprzez osiąganie statusu robotnika-chłopa".

Ponadto reforma rolna zniosła zadłużenie wsi. Ludność wiejska z terenów dawnych ziem polskich z reformy rolnej otrzymała 2.384,4 tys. ha ziemi, co oznacza, że co czwarte gospodarstwo korzystało z reformy rolnej. Ponadto ludność wiejska uzyskiwała gospodarstwa na ziemiach odzyskanych.

O ile jeszcze w połowie lat 50. wielu robotników, dzieliło obsiewaną ziemię na swoją i z reformy, to lata następne zatarły w świadomości i w geografii ten podział.

Klasa chłopska — przebyła w czasie 40-lecia więcej pozytywnych zmian niż jakakolwiek inna klasa społeczna w Polsce. Jedynie chłopi otrzymali w ustroju socjalistycznym środki produkcji na własność i jakiekolwiek byłyby skomplikowane sprawy związane z tzw. rozkułaczaniem wsi, organizowaniem spółdzielczości rolniczej, państwowych gospodarstw rolnych, u progu 40-lecia uzyskała potwierdzenie w Konstytucji trwałości prywatnego gospodarstwa rolnego.

Klasa chłopska przebyła długą drogę do oświaty i kultury, drogę nie zakończoną tak, jak nigdy nie jest zakończony rozwój kulturalny społeczeństwa. Przede wszystkim nastąpiła likwidacja analfabetyzmu. W roku 1921 — 39,8 proc. ludności wsi było analfabetami, w 1931 — odsetek analfabetów wyniósł — 26,9 proc., ale na terenach wschodnich Polski analfabeci stanowili około połowy ludności wiejskiej. Podjęta po wojnie wielka praca likwidacji analfabetyzmu spowodowała, że w 1960 roku analfabeci stanowili 3,9 proc ludności w wieku 7 lat i więcej i jakkolwiek wykształcenie wyższe ciągle jest udziałem jednostek, to przecież młodzież chłopska, podobnie jak robotnicza, korzystała z możliwości awansu poprzez wykształcenie, w oparciu o Studia Przygotowawcze i Kursy Przygotowawcze do studiów wyższych umożliwiające po 2 latach nauki z wyjściowym poziomem 7 klas szkoły podstawowej wstąpić na wybrane wyższe uczelnie lub uczyć się w technikach dla robotników. Ludzie ci, wyszli ze wsi, ze swoich gospodarstw, stali się inteligentami, dlatego nie podnoszą nikłego ciągle w statystykach odsetka osób z wyższym wykształceniem pracujących i mieszkających na wsi.

Jakkolwiek różnice w poziomie wykształcenia pomiędzy mieszkańcami wsi i miast są ciągle bardzo znaczące, to należy zwrócić uwagę na pewne ich ograniczenie.

Młodzież chłopska ma wiele szans życiowych — dogodne warunki do wyboru drogi życiowej i przynależności klasowej, a ta jej część, która odchodzi ze wsi do miasta, zasilając klasę robotniczą, drobnomieszczańską lub warstwę inteligencji nie traci kontaktu ze wsią, z rodziną, z własnością gospodarstwa, korzystając z najrozmaitszych świadczeń i usług wsi na swoją korzyść. Spłaty rodzinne, zaopatrzenie w produkty rolne, miejsca spędzania czasu wolnego, wakacji dla dzieci, nawet przy pomocy w czasie pilnych prac polowych nie zmienia pewnego uprzywilejowania, zwłaszcza w okresach „kryzysów" gospodarczych, ludzi pochodzących ze wsi.

Życie na wsi ulega systematycznie zmianie. Elektryfikacja wsi, była pierwszym, ale bardzo ważnym krokiem. Sposób życia ludności wiejskiej coraz bardziej zbliża się do stylu miejskiego. Wyposażenie mieszkań, ubranie, sposób żywienia, korzystanie ze środków masowego przekazu, czyni życie na wsi łatwiejsze, choć różnice są i będą znaczące. Nie da się bowiem nigdy znieść wszystkich różnic między życiem w mieście a na wsi. Pozostaną te wszystkie, które wynikają ze specyfiki produkcji rolnej. To przyroda narzuca rytm i organizację pracy i te różnice zawsze pozostaną, choć wiele już uległo zatarciu, a inne, przy udziale samej ludności rolniczej, jej dążeniu do naśladowania miejskiego stylu życia i urbanizacji wsi ulegną zmianie.

Wpływy miejskości, miejskiego stylu życia na wieś są silne, trudno jednak nie wspomnieć o tych wpływach, które są wynikiem przenoszenia się ludności wiejskiej do miast na klasę robotniczą i warstwę inteligencji, o silnym przywiązaniu już nie do ziemi, ale do prywatnej własności środków produkcji, do majątku trwałego, dającego podstawę egzystencji, będącą źródłem dorabiania, bogacenia i wywierania nacisku na wszystkie klasy społeczne.

Klasa chłopska jest „czysta", jeżeli chodzi o swoje pochodzenie, czego nie zmieniają nawet zaobserwowane niedawno powroty dawnych wychodźców ze wsi.

Systematyczny spadek liczby ludności rolniczej oraz starzenie się i feminizowanie, to negatywne skutki przemian społeczno-politycznych, to negatywny wynik uprzemysłowienia. Wieś starzała się systematycznie, co nie mogło nie być dostrzegane, i nie sposób przypuszczać, że nie brano pod uwagę w zarządzaniu krajem negatywnych konsekwencji tego od lat postępującego procesu. Zatrzymanie niekorzystnych tendencji nie będzie mimo wszystko łatwe, a przecież z punktu widzenia interesów każdego Polaka po prostu konieczne. Nierówności pogłębiały się, ale kierunek tych nierówności nie jest do końca zbadany. O ile nierówności pod względem poziomu wykształcenia ludności miejskiej i wiejskiej, robotniczej i chłopskiej pogłębiały się w sensie negatywnym, dla klasy chłopskiej, to nierówności w poziomie wartości majątku, zamożności pogłębiają się w sensie negatywnym dla klasy robotniczej i inteligenckiej. Wszyscy badacze warunków życia ludności wiejskiej wskazują na jej niedożywienie w okresie międzywojennym, na niskie spożycie mięsa, mleka, cukru, tłuszczów roślinnych i zwierzęcych. Sytuacja ta uległa zmianie, choć jej rozmiary możemy raczej szacować aniżeli obliczać, a reglamentacja artykułów żywnościowych może być jakimś punktem wyjścia do obliczeń i ustaleń kierunków zmian.

ROLA INTELIGENCJI

Kiedy w roku 1945 prof. Józef Chałasiński w swim wykładzie inaugurującym rok akademicki Łódzkiego Uniwersytetu, mówił o genealogii inteligencji polskiej, słuchacze zapewne nie zdawali sobie w pełni sprawy z ważności problemu inteligencji w Polsce Ludowej, z tego, że nie tylko przeszłość była trudna, skomplikowana,

Chłopi, inteligenci,

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA

ale że będzie równie trudna i skomplikowana droga jej 40-letniego rozwoju. W swej wypowiedzi chciałbym skupić uwagę na inteligencji w węższym rozumieniu tego pojęcia, a więc nie na wszystkich ludziach wykonujących pracę urzędniczą, a na klasyfikacji Jana Szczepańskiego — ekspertach i intelektualistach.

W okresie powojennym obserwujemy tendencję wzrostu liczebnego pracowników umysłowych i inteligencji. O ile wzrost liczby pracowników umysłowych wynikał bezpośrednio z industrializacji, rozbudowy systemu zarządzania wszystkimi dziedzinami życia społecznego i w jego efekcie nastąpiła często krytykowana biurokratyzacja wielu sfer życia społecznego, o tyle inteligencja rosła w wyniku konieczności uzupełnienia strat wojennych, oraz w drugiej kolejności rozwoju społecznego.

W czasie II wojny światowej Polska straciła więcej niż połowę ogółu kadr z wyższym wykształceniem. Zginęło między innymi 7,5 tys. lekarzy, ponad 6 tys naukowców, profesorów i nauczycieli, przeszło 5,5 tys. adwokatów i sędziów". Na skutek polityki „niedowierzania", część inteligencji i intelektualisów opuściła Polskę już po zakończeniu wojny. Lata 1956, 68, 70, 1980—81 były okresami odpływu inteligencji i intelektualistów.

Pierwszy okres powojenny charakteryzuje się dwoma tendencjami:

1) bezpośredniego awansowania na stanowiska kierownicze i administracyjne ludzi bezpośrednio z klasy robotniczej i chłopskiej, powierzanie zadań ludziom bez przygotowania szkolnego, ale zaangażowanym, pracowitym i pewnym politycznie;

2) kształcenie kadr poprzez kursy zawodowe, szkoły średnie, studia dwustopniowe 3-letnie podstawowe i 5-letnie magisterskie. Do szkół wszelkiego typu przyjmowano młodzież robotniczą i chłopską bez ukończenia 7-letniej szkoły podstawowej, lub bez matury na studia uniwersyteckie.

Na mocy dekretu z 24 maja 1945 roku zorganizowano Wstępny Rok Studiów do szkół wyższych, a następnie zorganizowano Kursy Przygotowawcze do wstąpienia na Wstępny Rok Akademicki. Na kursy przygotowawcze przyjmowano młodzież robotniczą i chłopską w wieku 18—30 lat, a dolna granica wykształcenia wynosiła 7 klas szkoły podstawowej.

radni. Pragnąłbym, aby odtąd działo się tak, jak sobie wyobrażam.

— Panie przewodniczący. W nowej ustawie stwierdza się, że oparciem terenowym pracy rad są samorządy mieszkańców. Czy chodzi o te same samorządy, które istnieją od dawna? Wiele z nich, jak podejrzewam, figuruje tylko na papierze i chyba niewiele można sobie po nich obiecywać.

— Tak, są to te same samorządy, o których może zbyt mało ostatnio się słyszało, ponieważ ich działalność bardzo osłabła, a niekiedy musi być po prostu reaktywowana. Istotne novum stanowi pozycja prawna samorządu mieszkańców, jak również spore kompetencje, wśród nich — stanowiące, np. w zakresie remontów domów mieszkalnych, pielęgnacji terenu zamieszkania, urządzania placów zabaw dla dzieci czy świetlic dla młodzieży itp., na co samorząd ma pewne środki własne. Samorządy mieszkańców są podstawowym ogniwem władzy terenowej rad, a naszym pragnieniem jest ich aktywizacja, zwłaszcza samorządów wiejskich. Dodajmy, że samorząd mieszkańców w wielkich miastach może obejmować kilkanaście tysięcy mieszkańców czy nawet więcej. Ważne jest, aby dzielnicowe rady narodowe były koordynatorem sprzecznych często interesów poszczególnych samorządów, np. w sprawie lokalizacji [illegible], szkół czy innych placówek.

— Mieliśmy tym dziś nie rozmawiać, chciałem tylko zapytać, czy Rada Narodowa m. Łodzi ma już konkretny, opracowany na całą kadencję program zadań?

— Naturalnie, mamy taki plan zadań niemal w całości, a jego zasadniczym fundamentem jest program wyborczy, przedstawiony społeczeństwu przez Łódzką Radę PRON, a uzupełniony przez setki spotkań z wyborcami, wzbogaca go ponadto dodatkowe inicjatywy radnych, jakie mogą się pojawić w toku kadencji. Ale to byłby rzeczywiście osobny temat, potrzebniejszy może wtedy, kiedy nasza rada trochę okrzepnie i nazbiera doświadczeń.

— Być może odbędziemy wobec tego za jakiś czas, jeśli Pan profesor się zgodzi, rozmowę na temat, co już zostało zrobione, a co nie i dlaczego...

— Z wielką przyjemnością

— Serdecznie dziękuję Panu za rozmowę.

Rozmawiał: JERZY KWIECIŃSKI

Dokończenie ze strony 1

Rzecz jasna nowa administracja przejść musiała okres adaptacyjny. Rolnicy powiadają że było wiele bałaganu i nieporozumień. — „Stare" ścierało się z „nowym", krzyżowały się kompetencje. W ważnych sprawach, których nie udało się załatwić w gminie, trzeba było jechać do Piotrkowa Trybunalskiego. A Piotrków był, i w pewnym stopniu nadal jest, miastem dla dłutowian obcym. Niektórzy rolnicy wspominają jeszcze, jak błądzili po piotrkowskich urzędach i instytucjach, jak na własną rękę i z konieczności poznawali miasto. Były i są kłopoty z dojazdem do Piotrkowa. Tylko cztery autobusy dziennie obsługują tę trasę.

Zmianie uległy kierunki zaopatrzenia — głównie w artykuły do produkcji rolnej.

— Tego nigdy u nas nie było — mówią chłopi. — *Nie było komu przywieźć węgla, nagle zabrakło nawozów sztucznych, a parniki, które kiedyś leżały na podwórzu GS, zniknęły jak kamfora...*

Ludzie narzekali na jakość przetworów mięsnych bo zdarzały się przypadki dostarczania do miejscowego sklepu zepsutych wędlin.

Toczą się wieloletnie spory wokół kwestii dla rolników zasadniczej — niedostatku wody. Ta sprawa dotyczy nie tylko gminy Dłutów, ale całego pierścienia gmin i miast, które znalazły się w tzw. bełchatowskim leju, czyli w obszarze obniżonego poziomu wód gruntowych — skutek uboczny eksploatacji złóż węgla brunatnego metodą odkrywkową. Dziś, koszt pozyskania jednego metra sześciennego wody na tym terenie wynosi 18 złotych! Kiedy zaczęto odczuwać niedostatek wody, dawne władze wojewódzkie włączyły większe wsie do programu budowy wodociągów. Z podobnych programów województwa piotrkowskiego niektóre z nich zwyczajnie „wypadły". *Obecna sytuacja jest w wielu przypadkach taka, że chłopi stoją w kolejce po wodę, kilka bowiem głębinowych ujęć nie jest w stanie sprostać zapotrzebowaniu wsi. Dwa odwierty wymagają natychmiastowej rekonstrukcji.* Kilkoma innymi zarządzają jednostki uspołecznione, a te preferują zaopatrzenie na własne potrzeby. W efekcie, rolnicy krążą beczkowozami od studni do studni z nadzieją napełnienia zbiorników „wyżebraną" wodą.

Władze wojewódzkie desygnowały środki pieniężne na budowę zbiorowego wodociągu dla gminy Dłutów, ale nie są w stanie zagwarantować wykonawcy tej inwestycji. Wygląda na to, że chłopi podejmą się orzeprowadzenia większości prac w czynie społecznym.

Mimo że gmina leży w odległości kilkudziesięciu kilometrów od potężnej elektrowni, to jednak 3-4 razy w tygodniu dochodzi do nieplanowanych wyłączeń energii elektrycznej. Największe straty z tego tytułu notuje zlewnia mleka, w której brak prądu do zasilania urządzeń schładzających praktycznie decyduje o zmarnowaniu cennego płynu. 8000 litrów mleka kwaśnieje... Należałoby zapytać: czy można zapobiec stratom? Teoretycznie tak. Teoretycznie, w nagłej potrzebie należy zatelefonować do pabianickiej mleczarni, poprosić o niezwłoczne skierowanie do Dłutowa samochodu — cysterny z własną pompą, przetoczenie mleka do zbiorników na kołach i odesłanie go do przetwórni. Jest tylko jedno drobne „ale". Otóż gminne telefony podłączono niedawno do piotrkowskiej centrali — to znaczy planowano tak zrobić, bo póki co „międzymiastowa milczy. Przy tej okazji „zapomniano" o awaryjnym zasilaniu aparatów z akumulatorów, więc brak energii elektrycznej w sieci czyni telefony nieużytecznymi.

W tych warunkach nie pozostaje nic innego jak posyłać **umyślnych na rowerach** do mleczarni i do zakładu energetycznego. Tylko czy zdążą na czas?

Teraz wreszcie wiadomo, jakie metody treningowe stosował Krzysztof Sujka — tu, w Dłutowie rozpoczynający swoją wielką kolarską karierę. Ale żarty na bok, bo mieszkańcom gminy nie jest z tego powodu wesoło.

Rolnicy, jeśli już chcą mówić o powodach wyborczego veta, nie ukrywają swojego przywiązania do dawnego podziału administracyjnego. Mają żal do Piotrkowa, że traktuje ich po macoszemu. Wyliczają, że w sąsiedniej gminie Tuszyn wybudowano sieć nowych dróg, a u nich są wertepy, po których pogotowie ratunkowe nie może dojechać do zagród. W tym samym Tuszynie stoją latarnie oświetlające drogi, podczas gdy w wioskach należących do gminy Dłutów, nie ma ponoć ani jednej „publicznej" żarówki.

— Już lepiej być ostatnim w łodzkim niż ostatnim w piotrkowskim — powiedział rolnik przed urzędem gminnym. — *Człowiek jedzie do Piotrkowa z musu, a do Łodzi w potrzebie. Źle było pomyślane z tymi granicami...*

Trochę z przekory, a trochę dla zamanifestowania niechęci wobec stolicy województwa, 17 czerwca część mieszkańców gminy nie stawiła się w siedzibach macierzystych okręgów wyborczych. Ale były też inne powody.

Z SOŁTYSAMI MOŻNA SZCZERZE

Rolników, owszem można zapytać o powody niskiej frekwencji wyborczej, lecz palają także odpowiedzi zgoła wymijające:

— W niedzielę wyszło słońce, tośmy poszli do siana i tak jakoś zeszło. Co z tego, że wybiorę radnych, jak zmarnieje pasza i nie będzie czym karmić zwierząt...

Na spotkaniu z przedstawicielami władz wojewódzkich, 19 sołtysów reprezentowało mieszkańców gminy. Nikt nie wątpił, że spotkanie to było pilnie potrzebne. Dłutów znajduje się w trudnym okresie przejściowym. Nie wybrano rady narodowej, a obowiązki naczelnika pełni czasowo I sekretarz Komitetu Gminnego PZPR.

Głównym tematem rozmów były sprawy gospodarcze, ze szczególnym uwzględnieniem przygotowań do sprawnego przeprowadzenia tegorocznych żniw. Przy okazji podsumowano wyniki ostatniego spisu rolnego. Dane statystyczne lokują Dłutów w grupie gmin o najniższym w województwie stanie pogłowia zwierząt hodowlanych. Jednakże nie jest tajemnicą, że o ile w przeszłości dane do spisu bywały zawyżane, o tyle obecnie rolnicy ukrywają przed ankieterami faktyczną liczbę posiadanych świń, krów i cieląt. Szacuje się, iż nie ujawniono ok. 20 proc. posiadanego inwentarza. Dlaczego? Ano wróble, nie tylko w Dłutowie ćwierkają, że ubój gospodarczy jest drugim źródłem zaopatrzenia wsi i miast w mięso i jego przetwory. W ciągu 6 miesięcy br. punkt skupu bydła rzeźnego w gminie Dłutów, zanotował pod pozycją „cieleta", dostawy o łącznej masie ...160 kg. Nic dziwnego, że rolnicze skądinąd województwo piotrkowskie, wykazuje się deficytem mięsa na potrzeby własne.

Rolnicy zabiegają o większe dostawy pasz i od tego uzależniają powiększenie hodowli. A tymczasem przydział pasz uzależnia się od wyników spisu rolnego, więc obie strony — chłopi i władza, przyjmują pozycje wyczekujące.

Mówiono także o wielu innych problemach wsi — o odwiecznych kłopotach ze szurkiem do snopowiązałek, o niszczeniu zasiewów przez grasujące dziki, o brakach części zamiennych do maszyn rolniczych. Na koniec spotkania zostawiono „gorący" temat — wybory.

— Nie chcemy kandydatów przynoszonych w teczce — zaczął któryś z sołtysów. — *Ludzie nie pójdą głosować na urzędników z gminy. Chcą mieć radnych ze swojej wioski...*

Podawano konkretne przykłady kandydowania do rady narodowej osób nie cieszących się społecznym zaufaniem — ludzi z innych wsi, starców niezdolnych do wykonywania odpowiedzialnych funkcji, bliżej nie znanych pracowników urzędu gminnego.

Sołtysi mówili o podważaniu ich autorytetu, ponieważ w kilku przypadkach, nazwiska osób przez nich do rady rekomendowanych nie znalazły się na wyborczej liście.

Było też wiele nieporozumień wynikłych z niedoinformowania. I tak, ciągle pokutuje przekonanie, że radnym zostaje ten, kogo nazwisko umieszczone jest na pierwszej pozycji listy a pozostali automatycznie przegrywają wybory.

Na kilka dni przed drugą turą wyborów do Gminnej Rady Narodowej w Dłutowie, przedwyborcze tematy nie schodziły z ust rolników. Nawet w pekaesowskim autobusie podjeżdżającym na przystanek obok szkoły, mąż objaśniał żonie:

— To ten Dłutów, co nie poszedł na wybory...

WYBORY PO RAZ DRUGI

Dłutów, 15 lipca 1984 r. W trzech okręgach wyborczych nr 4, 6, 7, przeprowadzono ponowne wybory do Gminnej Rady Narodowej. O 9 mandatów radnego ubiegało się 18 kandydatów. Swoje głosy oddawali mieszkańcy wsi: Piętków, Lesieniec, Redociny, Stoczki — Porąbki, Okrz, Łaziska, Borkowice, Dłutówek, Leszczyny Małe, Łążewy.

W okresie poprzedzającym dzień ponownych wyborów odbywały się konsultacje środowiskowe w wyżej wymienionych wsiach. Efektem tych konsultacji było wprowadzenie zmian na listach kandydatów do rady. Na nowych listach znalazły się nazwiska 15 rolników, 1 leśnika, 1 nauczyciela i jednej urzędniczki.

Do dyspozycji komisji wyborczej oddano transport osobowy jednostek uspołecznionych z terenu gminy. W godzinach od 6.00 do 20.00, samochody dowoziły mieszkańców gminy do lokalu wyborczego, a następnie, po spełnieniu obywatelskiego obowiązku, odwoziły ich do miejsca zamieszkania. Jeszcze przed godziną szesnastą koperty do urn wrzuciło ponad 50 proc. osób do tego uprawnionych.

Tym razem nie dopisała pogoda — dzień był pochmurny, chwilami padał deszcz.

Po miesięcznej zwłoce, w Dłutowie wybrano Gminną Radę Narodową.

ROMAN KUBIAK

Powtórka z wyborów

i drobnomieszczanie...

W roku 1949 utworzono dwuletnie studia przygotowawcze do szkół wyższych. Łącznie w latach 1946/47—1956/57 kursy ukończyły 14.842 osoby spośród 21.841 przyjętych. Kursy takie istniały także w Łodzi, a ich absolwenci być może są także wśród nas.

Inną drogą awansu społecznego jednostek należących do klasy chłopskiej i robotniczej realizowano w oparciu o technika dla robotników przodujących, a obecnie przez technika zaoczne. Centrum Szkolenia Ustawicznego, studia zaoczne.

Powoływano i powoływane są nowe wyższe uczelnie, filie wyższych uczelni, kształcące młodzież we wszystkich dyscyplinach wiedzy, we wszystkich zawodach wymagających przygotowania akademickiego. W roku 1981 w Polsce było 91 szkół wyższych, na których studiowało 426,5 tys. studentów w tym na studiach dziennych 294,4 tys. osób.

Aby wykształcić takie rzesze pracowników, w roku akademickim 1970 szkoły wyższe zatrudniały 25.643 nauczycieli akademickich, a w 1980 r. — 46.999 — w tym 2.905 profesorów, 5.627 docentów i 38.519 adiunktów i asystentów — specjalistów wszystkich dyscyplin naukowych.

Rosły kadry z wyższym wykształceniem, szybko osiągając względny poziom zaspokojenia potrzeb gospodarki, nauki, oświaty. Jakkolwiek państwo realizowało politykę planowego naboru na studia i planowego zatrudnienia, to jednak wielu ludzi nie wykonywało pracy zgodnie z kierunkiem wykształcenia, szczególnie dotyczy to tych specjalności, na które czeka praca, na wsi lub w małych miastach, zbyt często praca bez mieszkania, a niekiedy bez akceptacji niżej wykształconych członków środowiska.

Okres 40-lecia charakteryzuje się znacznymi sprzecznościami w stosunku administracji państwowej i gremiów politycznych do inteligencji. Awans na inteligentów osiągany przez wielu przy pomocy studiów nierzadko łączonych z pracą, w warunkach powojennej biedy, braku podręczników, trudnych warunkach lokalowych uczelni, nie zawsze owocuje wysokim prestiżem społecznym, a bardzo rzadko wysokimi, podciągającymi poziom wysoko zarabiających grup robotniczych zarobkami. Przynależność do inteligencji niekiedy jest nawet naganna a dzieci awansowanych robotników nie mają punktów dodatkowych przy wstępie na studia.

Inteligencja jest warstwą społeczną — moim zdaniem — o wyraźnie klasotwórczym kierunku rozwoju, wywodząca się ze wszystkich klas społecznych, a w samej genealogii odbiega od swoich XIX-wiecznych przodków. Najliczniejsza część inteligencji pochodzi z klasy robotniczej lub chłopskiej wychowana i ukształtowana w tych klasach jest nosicielem trwałych i dla tych klas charakterystycznych elementów świadomości. Jest zróżnicowana pod względem postaw, opinii, stylów życia i dążeń. Czuje i manifestuje swoją odrębność, w warstwie zewnętrznej silnie dąży do zdobywania przywilejów płynących z koncepcji „misji" wobec innych klas i co należy podkreślić w sposobie wychowania dzieci, aspiracji dotyczących ich poziomu wykształcenia i wykonywanych zawodów. Stosunek inteligencji do swoich dzieci, najsilniej różnicuje całą inteligencję od innych klas społecznych, a twórczość kulturalna tylko jej niewielką część.

Pracownicy umysłowi i inteligencja najbliższa jest pod względem położenia materialnego najniżej zarabiającym odłamom klasy robotniczej, różnicuje ją wyraźnie wykształcenie, a charakteryzuje wahanie i poczucie niedoceniania.

Inteligencja sprawuje władzę i zarządza klasami w ich imieniu, nie korzystając w sposób zagwarantowany przez prawo z przywilejów, jakie posiadają ludzie wykształceni w świecie kapitalistycznym, stara się więc przywileje te niekiedy wbrew prawu uzyskać. Inteligenci pełnią ważną rolę w kształtowaniu świadomości, wystarczy wymienić oświatę, naukę, kulturę, ale w oparciu o różne normy, zależnie od klas, z których pochodzi, od zajmowanego miejsca w społecznej organizacji pracy, od podatności na wpływy ideologii drobnomieszczańskiej, wpływów zachodnich systemów politycznych, akceptacji i rozumienia socjalizmu.

Przez okres 40-lecia wśród inteligencji byli i są obecni przeciwnicy i żarliwi obrońcy i propagatorzy ideologii socjalistycznej. Inteligencja jest zróżnicowana w stylu życia, postawach, opiniach, poglądach, które chętnie wypowiada i które są podstawą jej wewnętrznego, w okresie nasilonego konfliktu społecznego, rozbicia.

DROBNOMIESZCZAŃSTWO

Na ogół w analizach społecznych pomijane jest dość systematycznie drobnomieszczaństwo. Nie będę w stanie luki tej wypełnić, potrzebne są do tego pogłębione badania. Niemniej chciałabym zasygnalizować problem w kategoriach przemian, podobnych, jakie miały miejsce w omawianych klasach społecznych.

Do drobnomieszczaństwa zaliczam ludzi zatrudnionych na własny rachunek zarówno w sektorze uspołecznionym, jak i poza nim. Najwyraźniej dającą się wyodrębnić grupą są ajenci i rzemieślnicy. Ajenci, jak wskazuje Rocznik Statystyczny zatrudnieni są w przemyśle, leśnictwie, transporcie, kulturze i sztuce, ochronie zdrowia, kulturze fizycznej, turystyce i wypoczynku, administracji państwowej i ubezpieczeniach. Ogółem w roku 1970 było około 170 tys. ajentów, w 1975 — 217,7, 1980 — 223,3, a w 1981 — 209,7 tys. osób. Najliczniejszą grupę stanowią ajenci w handlu — 1970 — 135,5 tys., a w 1981 — 278,0 tys. oraz w ubezpieczeniach — w 1970 — 55,0 tys., 1981 — 38,4 tys.

Ponadto znaczne grupy osób pracowały w gospodarce nie uspołecznionej. Poza rolnictwem pracowało w roku 1970 — 442 tys., a w 1981 — 645,5 tys. osób. Są to właściciele i wytwórcy pracujący niekiedy na rzecz przemysłu uspołecznionego, handlu, usług, w prywatnych, nierzemieślniczych a niewielkich zakładach produkcyjno-nakładczych.

W rzemiośle ponadto pracowało w 1970 r. 273 tys., a w 1981 — 423,9 tys. osób. Łącznie około 1 mln osób pracowało w prywatnych zakładach, z czego część, której wielkości nie umiemy podać — brak takich informacji w rocznikach statystycznych, była właścicielami przedsiębiorstw, niekiedy jedynie organizatorami i nadzorcami pracy. Na ogółem zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej w 1970 r. — 10.233,5 tys. osób, pracownicy właściciele, współwłaściciele zatrudnieni w gospodarce nie uspołecznionej stanowili 10 proc.

Jedynie urzędy podatkowe mogłyby wskazać na skalę majątku, jakim dysponują, na wysokość dochodu lub zarobki, jakie uzyskują. Sądzę jednak, że bez popełnienia błędu można powiedzieć, że dochody ich są wysokie, wielokrotnie przekraczające zarobki uzyskiwane w gospodarce uspołecznionej.

W początkach lat 70 zaczynają pojawiać się spółki polsko-zagraniczne, których rozwój przypada na początek lat 80. Jest to forma własności prywatnej, wpływająca na zmiany w strukturze społecznej i nadająca jej specyficzną formę. Właściciele, niekiedy, choć nie zawsze obcokrajowcy (nie zawsze, ponieważ są sytuacje, że obcokrajowiec jest tylko szyldem), menadżerowie, specjaliści Polscy — kadra o wysokim wykształceniu, bardzo dobrze wynagradzana i robotnicy najemni — proletariat, taki jak w systemie kapitalistycznym, a więc nie współwłaściciele środków produkcji. Produkcja oparta jest na akordzie prostym, a więc zarobki tylko i wyłącznie zależne od sprawności, od ilości i jakości pracy.

Robotnicy w przemyśle polonijnym są inną częścią klasy robotniczej. Niewątpliwie lepiej opłacaną, ale jednocześnie nie można tego nie zauważyć, tworzącą krociowe majątki dla właścicieli, wysokie dochody dla grupy menadżerów.

Klasa drobnomieszczańska — nieliczna w stosunku do innych klas (robotniczej i chłopskiej), zmieniała się liczebnie i ekonomicznie w zależności od sytuacji politycznej. Jej pochodzenie klasowe jest zróżnicowane, wchodzą do niej ludzie z innych klas społecznych, robotnicy, chłopi, inteligenci.

Do rzemieślników i drobnych kupców, przemysłowców, doszli nowi ajenci, wytwórcy, producenci, handlowcy — zawsze ludzie aktywni, których celem życiowym jest posiadanie, bogacenie się, zdobywanie dóbr nie zawsze łatwą, niekiedy ciężką, ale wielokrotnie lepiej opłacaną pracą na swoim.

Można sformułować tezę, że załamania gospodarcze (nazywane w moim przekonaniu błędnie kryzysami gospodarczymi) są okresami sprzyjającymi do pomnażania tej klasy w Polsce. Liczebność drobnomieszczaństwa w aktualnych warunkach jest bez konsekwencji dla gospodarki, ale posiada nieobliczalne konsekwencje dla świadomości innych klas, a tym samym dla kierunków rozwoju socjalizmu w Polsce.

Ideologia drobnomieszczaństwa, charakteryzująca się preferowaniem posiadania, przedkładaniem „mieć" nad „być", dociera do wszystkich klas i grup społecznych nie omijając klasy robotniczej ani elit rządzących, chociaż nie ma w Polsce znaczących teoretyków ani żarliwych i otwarcie występujących ideologów. Wzory drobnomieszczańskie są atrakcyjne w swoim zewnętrznym wyrazie. Moda w ubraniu, jedzeniu, samochodach, wyposażeniu mieszkań lub domów czy wręcz posiadłości. Ideologia ta szczególnie oddziałuje na ludzi młodych.

* * *

Wyżej wypowiedziane uwagi wskazują, że przemiany społeczne w Polsce są wielowymiarowe, a ich uwarunkowanie znaleźć można w wielu elementach życia. Można jednak powiedzieć, że oprócz specyfiki, istniały i zapewne istnieć będą prawidłowości wynikające z ogólnych tendencji rozwojowych świata, którego Polska jest częścią, a szczególnie z tendencji zarysowujących się w powstawaniu i trudnościach, jakie niesie nowa formacja społeczno-ekonomiczna, której cele, założenia i ideały realizowane są w konkretnym czasie, wzmagającej się na świecie walki sił postępowych z tym, co staje na drodze postępu.

Nasze dokonania jakkolwiek znajdują wielu krytyków i oponentów są niezaprzeczalne, a ich ogrom widać z perspektywy lat.

W ramach konsultacji nad systemem przyjęć na studia

Studia dla idei?

Przez pierwsze ćwierćwiecze istnienia Polski Ludowej punktów preferencyjnych „za pochodzenie" na studia wyższe nie było. Wprowadzono je dopiero pod koniec lat 60 w związku ze spadkiem odsetka młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego wśród studentów Po 15 latach stosowania systemu preferencji okazało się, że sytuacja ani o jotę nie uległa poprawie. Przeto w grudniu 1983 r. rozeszły się słuchy, że 15 lat obserwacji to dostatecznie długo, aby wyciągnąć wiążące wnioski, w związku z czym od punktów preferencyjnych za pochodzenie odchodzimy zastępując je kursami przygotowawczymi. W styczniu 1984 r. okazało się, że punkty preferencyjne zostają utrzymane, kursy także.

1. KURSY PRZYGOTOWAWCZE I ASPIRACJE

Warto przypomnieć, że kursy przygotowawcze organizuje się dla młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Koszty społeczne są duże. Co za nie otrzymujemy, niechaj świadczy cytat z „Trybuny Ludu" (nr 152 z dn. 27. 6. 1984), która donosi o powszechnie słabej frekwencji na kursach:

„Podobna sytuacja miała miejsce w Akademii Rolniczej w Lublinie, gdzie z 232 osób zgłoszonych przez szkoły średnie w zajęciach uczestniczy 150 kandydatów"

Bardziej drastyczny przykład można podać z łódzkiego rejonu. Oto w czerwcu 1984 r. na zajęciach w ramach kursu przygotowawczego z biologii, chemii i matematyki, zorganizowanego przez UŁ, uczestniczyło od 17 do 37 proc. uprawnionych.

Co to znaczy? Znaczy to, że kandydaci na studentów wcale do indeksu nie rwą się! Jeśli go dostaną bez większego wysiłku własnego, to dobrze; a jeżeli nie dostaną, to także nie będzie źle. Te postawę potwierdza ankieta, przeprowadzona wśród 828 uczniów w wieku 16—19 lat z 10 liceów ogólnokształcących oraz 15 liceów zawodowych, techników i szkół przyzakładowych. Proporcja 10:15 jest ważna, ponieważ pozwala domniemywać, że wśród respondentów więcej było młodzieży pochodzenia robotniczego niż inteligenckiego. W podsumowaniu na łamach „Dziennika Łódzkiego" (nr 150 z dn 27. 6. 1984) stwierdza się, że w opiniach ankietowanej młodzieży:

„Nie znajdują uznania takie wartości jak: „uczynić coś pożytecznego dla społeczeństwa", „odnosić sukcesy w pracy zawodowej", „ukończyć studia wyższe". Negatywną ocenę wśród młodzieży uzyskały wartości: „mieć władzę i wysokie stanowisko", „zdobyć sławę", „przynosić chlubę ojczyźnie".

Młodzież, najwyraźniej, nie wiąże drogi swego życia ani ze zdobywaniem szczytów wykształcenia, ani nie żywi chęci wybicia się ponad przeciętną na niwie intelektu.

2. POZYCJA INTELIGENTA

Dlaczego po ćwierćwieczu trzeba było w Polsce wprowadzić zachęty dla młodzieży robotniczej i chłopskiej przy przyjmowaniu na studia? Pełna odpowiedź wymagałaby odrębnego eseju, poświęconego nie tyle analizie zmian, jakie obiektywnie zaszły w społeczeństwie po 1945 r., ile przede wszystkim analizie rozziewu pomiędzy tym, co głoszono z trybun, a tym, co oczy widzą w rzeczywistości. Ortodoksyjnie traktowane założenia ideologiczne kazały w inteligencie widzieć istotę której nie można ufać bez poważnych zastrzeżeń. Skoro inteligencja już musi być (a musi), to przynajmniej niechaj nie będzie zbyt mocna. W rezultacie głosząc, że ukończenie studiów wyższych to awans społeczny, w praktyce doprowadzono do degrengolady pozycji inteligenta w społeczeństwie. Doszło do zerwania związków pomiędzy złożonością pracy a płacą, pomiędzy wykształceniem i kwalifikacjami a prestiżem społecznym i poziomem życia.

Studiowanie w Polsce Ludowej z biegiem lat coraz bardziej przestawało się opłacać. Przeto trzeba było wprowadzić punkty preferencyjne, aby jakoś podeprzeć puste twierdzenia o awansie poprzez naukę. Dzisiaj to twierdzenie brzmi jeszcze bardziej fałszywie. Co to za awans gdy inżynier, lekarz, magister tuż po studiach może liczyć na pensję rzędu 8500 zł, przy średniej krajowej w gospodarce uspołecznionej ponad 16 500 zł? Jeżeli po 4—5 latach studiów absolwent otrzymuje maksimum połowę średniej płacy to jaki to awans? Żaden. A skoro żaden, to należy dołożyć starań, aby młodzież mimo wszystko na studia przyciągnąć przynajmniej poprzez przywileje na wstępie. Przeto właśnie ogłoszono dokument *„W sprawie rekrutacji na I rok studiów. Zagadnienia do konsultacji społecznej"* („Rzeczpospolita" nr 146 z dn. 20. 6. 1984). Dokument ten budzi sprzeczne uczucia. Najpierw przypomnijmy zręby proponowanego systemu selekcji kandydatów i przyjęć.

3. PROJEKT

W części pierwszej proponuje się dodawać do 25 proc. punktów kandydatom, legitymującym się bardzo dobrymi stopniami z przedmiotów kierunkowych w szkole średniej. Byłbym bardzo „za" gdyby poziom naszych szkół był wyrównany. Niestety, zróżnicowanie szkół jest tak ogromne, że za identyczną ocenę kryje się bardzo różna wiedza, nie tylko w ramach jednego typu szkół z różnych miejscowości, a przede wszystkim pomiędzy szkołami różnego rodzaju, np. liceami i technikami. Na egzaminach wstępnych nie jest rzadkością, że maturzysta piątkowy „oblewa beznadziejnie", natomiast trójkowicz zdaje dobrze. Gdyby wspomniany typ preferencji wprowadzić dzisiaj, to premiowałoby się mierność i konformizm. Dotąd nie słyszałem, aby nagradzano nauczyciela za to, że jest „ostry"; wiele zaś orderów i pochwał spłynęło na nauczycieli, legitymujących się „najwyższą sprawnością nauczania" mierzonego nie wiedzą w głowach uczniów, lecz liczbą postawionych piątek. 25 proc. punktów to dużo. Można sobie wyobrazić te zabiegi wokół szkół i nauczycieli, w wyniku których liczba piątkowych matur wzrosłaby nam imponująco.

Dalej proponuje się połączyć egzamin maturalny z kwalifikacją na studia, celem zaoszczędzenia młodzieży stresów i napięć. Spośród trzech sugerowanych możliwości najlepsza wydaje się trzecia, tj. połączenie: *„egzaminu maturalnego i egzaminu wstępnego w jeden egzamin państwowy, zapewniający zarówno świadectwo dojrzałości, jak i kwalifikacje na studia"*. Byłoby to dobre, gdyby nie było tak nierealne.

Po pierwsze nie mamy kadry zdolnej egzaminy takie przeprowadzić z zachowaniem jednolitych kryteriów i porównywalnego poziomu dla całego kraju. Po drugie, gdyby udało się egzaminy takie przeprowadzić, to co robić, jeżeli maturzysta np. z technikum gastronomicznego chciałby studiować archeologię śródziemnomorską lub astronomię, przy czym na ten sam pomysł wpadłoby stu innych maturzystów? Skoro archeologów i astronomów potrzeba nam, załóżmy pięciu, to jak rozwiązać problem — znów urządzać egzaminy wstępne lub „konkurs matur"? W tej chwili na niektóre kierunki studiów zgłasza się kilka razy więcej kandydatów niż jest miejsc (np. w przypadku biologii w 1984 r. stosunek ten wynosi w UŁ 4:1). Poziom kandydatów jest tak niski mimo posiadania świadectwa maturalnego, że 50—75 proc. nie pokonuje bariery egzaminu wstępnego. Gdyby legitymowali się maturą upoważniającą do otrzymania indeksu, każdemu ze zgłaszających się trzeba byłoby indeks wręczyć. Czy można byłoby uczynić to z czystym sumieniem skoro nie ma odpowiednio pojemnych sal i laboratoriów, brakuje aparatury, odczynników i podręczników? Nie ma kadry do prowadzenia zajęć w zwielokrotnionym wymiarze? Wyjściem z kłopotu byłoby podniesienie poziomu egzaminu maturalnego, co najmniej do poziomu obecnego egzaminu wstępnego. Jest to niemożliwe chociażby ze względu na nasze przywiązanie do krzepiących statystycznych danych, pokazujących jak ładnie wzrasta nam wykształcenie narodu, mierzone liczbą świadectw maturalnych.

Powyższy pomysł jest piękny, i realizowany praktycznie np. we Francji. Jednak to, co jest możliwe we Francji, nie jest jeszcze możliwe w Polsce. Jako alternatywę można byłoby zasugerować system anglosaski: liczba punktów, zdobytych w szkole średniej, przesądza przede wszystkim, czy młody człowiek ma prawo starać się o studia medyczne (tu potrzebna jest najwyższa liczba punktów) przyrodnicze, czy prawne i humanistyczne, czy też w ogóle ma drogę na wyższe studia zamkniętą. Ale po tej wstępnej selekcji, zapobiegającej naporowi np. na medycynę ze strony kandydatów wyspecjalizowanych np. w hotelarstwie, kandydaci też odbywają egzaminy (testowe), ponieważ nawet bardzo bogate kraje nie są w stanie pozwolić sobie na kształcenie przez semestr czy dwa wszystkich, którzy by się zgłosili. W krajach anglosaskich poza tym sprawnie funkcjonuje mechanizm, zapobiegający powstawaniu tzw. owczych pędów. Wielu młodych ludzi wie, że studiów nie ukończy, w związku z czym na bramy wyższych uczelni nie napiera. U nas odwrotnie, utarło się przekonanie, że każdy może zostać ministrem zdolności samokrytyczne zanikły w związku z czym zrealizowanie projektu matury, upoważniającej automatycznie do wstępu na wyższe uczelnie, mogłoby oznaczać katastrofę.

Punkt trzeci dotyczy preferencji społecznych, przy czym znów mamy do wyboru 3 możliwości:

(a) *„Przyjmować na studia wszystkich kandydatów z rodzin robotniczych i chłopskich, którzy pomyślnie zdadzą egzamin wstępny, odstępując tym samym od dalszej procedury kwalifikacyjnej"*.

(b) Pozostać przy dotychczasowym systemie (5 punktów za pochodzenie w stosunku do maksimum 28 punktów możliwych do uzyskania z przedmiotów egzaminacyjnych, co daje ok. 15 proc. w przypadku kandydata bardzo dobrego, i co stopniowo coraz silniej preferuje kandydatów, zdających słabo i bardzo słabo).

(c) Kompromisowo: za pochodzenie społeczne dodawać kandydatom po 15, 20 lub 25 proc. punktów, zdobytych z egzaminów.

Autorzy sądzą, że wersja (a) wzmocni motywację do studiowania wśród młodzieży robotniczej i chłopskiej, wersja (b) skutecznie promować będzie kandydatów robotniczo-chłopskich na kierunkach silnie obsadzonych, wersja zaś (c) preferować będzie dorobek własny kandydata. Nieporozumienia!

Ad (a): motywacji do studiowania nie należy mylić z przyjęciem na studia. Przyjęcie to dopiero warunek wstępny. Żeby się ze studiami uporać, i w czasie ich trwania zdobywać maksimum wiedzy oraz rozwijać przyrodzone talenty, trzeba mieć motywację zupełnie innego rodzaju — mianowicie atrakcyjną perspektywę po studiach na dobrą pracę i stabilizację materialną.

Ad (b): skoro ten sposób nie sprawdził się przez 15 lat, to na pewno nie sprawdzi się przez następne lata.

Ad (c): ten wariant jest rzeczywiście trochę lepszy od wariantu (b), ponieważ progresywnie nie preferuje miernoty. Jednak skoro wariant (b) jest zły, to trochę lepsze od złego nie może być dobre.

W punkcie czwartym proponuje się utrzymanie i rozwijanie kursów przygotowawczych dla młodzieży robotniczej i chłopskiej. Autorzy „Projektu" twierdzą że kursy przygotowawcze (przypominam: miały one być zamiast punktów preferencyjnych, a stały się drugim ułatwieniem!) spełniły swoje promocyjne zadania. Rzeczywistość jest trochę odmienna. Jakie mamy gwarancje iż w następnych latach kandydaci zaczną w pełni korzystać z szans, jaką stwarzają dla nich kursy?

Osobny rozdział stanowią sposoby kwalifikowania na studia. W wariancie I proponuje się brać pod uwagę:

(1) *„wyniki z dwóch klas szkoły średniej i na maturze z przedmiotów kierunkowych przeliczone na punkty w skali 100-punktowej"*, (2) *„wyniki egzaminu wstępnego — również przeliczone na punkty w skali 100-punktowej"*

Suma punktów będzie decydować o przyjęciu:

a) *młodzieży robotniczej i chłopskiej oraz wychowanków domów dziecka i sierot;*

b) *żołnierzy służby zasadniczej, którzy... zdali egzamin wstępny,*

c) *młodzieży, która legitymuje się odpowiednim (minimum rocznym) stażem pracy fizycznej, zgodnej z kierunkiem studiów, odbytej na podstawie umowy o pracę".*

Reszta kandydatów byłaby przyjmowana w drugiej kolejności, do wypełnienia limitu przyjęć na dany kierunek.

Wariant II i III proponuje dodawanie młodzieży robotniczej i chłopskiej, żołnierzom, sierotom i wychowankom domów dziecka od 15 do 25 proc. punktów do punktów uzyskanych z egzaminów.

Wariant IV stanowi istotne novum, ponieważ przewiduje:

„kierowanie na te studia przodujących robotników. Kształcenie tej kategorii studentów, skierowanych przez upoważnione do tego zakłady pracy, poprzedzałby rok „zerowy" o charakterze przygotowawczym".

Ponieważ proponuje się tutaj: *„stypendialną pomoc państwa w wysokości równej ich* (kandydatów — JSK) *poborom bądź średniej płacy w gospodarce uspołecznionej tak, aby nie obniżać poziomu życia ich i rodzin"* — należy przypuszczać, że pociągnie to za sobą rewizję dotychczasowego systemu stypendialnego (studentowi należy się pomoc finansowa, wyrównująca do dochodu ok. 6500 zł na członka rodziny). Nie przypuszczam bowiem, aby w nagrodę kursantom, którzy szczęśliwie zaliczyli rok „zerowy" i na studia przyjęci zostali, obniżono stopę życiową oferowaniem stypendium w dotychczasowej wysokości. Poza tym, znając dotychczasową praktykę kierowania kandydatów na studia dla pracujących można być pewnym, że kierowani będą tacy, których zakład żadnym sposobem nie może pozbyć się. Wątpię, aby jakikolwiek zakład zechciał pozbyć się naprawdę dobrego robotnika, poprzez zmianę go na inżyniera.

Dalej proponuje się *„połączenie egzaminu wstępnego z obowiązkiem jednorocznej pracy zawodowej lub odbycia zasadniczej służby wojskowej"* przy czym jedno lub drugie należałoby *„zaliczyć po pomyślnym zdaniu egzaminu wstępnego* (wariant 1) *lub przed dopuszczeniem do egzaminu wstępnego" (wariant 2)*. A co mają robić ludzie niezdolni do pracy fizycznej, powiedzmy z powodu wady serca? Czy przepis o pracy zawodowej, wydany zapewne pod presją powszechnego wołania o ręce do prac prostych (np. brak salowych), nie kłóci się z ideą kierowania na studia najlepszych robotników, tj. fachowców? Gdzie podziała się idea o awansie w poziomie na danym stanowisku, zamiast królującego u nas awansu pionowego?

Dalej rozpatruje się zasady przyjęć na studia dla pracujących, przy czym zasadnicze znaczenie przypisuje się *„skierowaniu na studia"*. Kandydaci bez skierowań byliby przyjmowani dopiero w drugim rzucie. Cóż na to można powiedzieć? Chyba tylko to, że poziom obecnych studiów dla pracujących obniżył się znacznie z chwilą, gdy kandydaci zaczęli napływać drogą skierowań przez zakłady pracy. Dlaczego chcemy stosować i w przyszłości system już funkcjonujący a dający rezultaty mało zadowalające?

4. ZASTRZEŻENIA ZASADNICZE

Przed konsultowaniem szczegółów i dyskutowaniem poszczególnych wariantów i rozstrzyganiem komu, ile i za co punkty preferencyjne przyznawać, należałoby postawić pytanie zasadnicze. — Czy w ogóle jest sens przyznawania punktów preferencyjnych tym czy innym grupom społecznym?

Komu chcemy dawać dyplomy inżynierskie i magisterskie: ludziom najbardziej utalentowanym, potrafiącym talent rozwijać prach nad sobą ale urodzonym „ze skazą" czy też ludziom doskonale urodzonym, ale nie najbardziej predystynowanym do pracy intelektualnej, koncepcyjnej, twórczej? Jeżeli wyjdziemy z założenia, że każdy obywatel obywatelowi równy, a żaden talent nie powinien się marnować to przede wszystkim rozwiniemy sieć poradnictwa zawodowego, aby każdy młody człowiek mógł wybrać drogę życiową zgodną z jego naturalnymi predyspozycjami; zaś „punkty" preferencyjne uznamy za koleiny z błędów naszej przeszłości — w ogóle od nich odchodząc.

Czy w punkty preferencyjne bawią się inne kraje? Nie bawią się. Czy inne kraje mają trudności z naborem studentów? Nie mają. Skoro nie mają, to dlaczego my je mamy mieć?

Punkty preferencyjne to nic innego, jak próba leczenia raka zamawianiem i wywarem z huby brzozowej, zamiast bombą kobaltową czy cytostatykami. Warto wreszcie przyjąć za udowodnione, że studiowanie w Polsce nie zapewnia najlepszych warunków pracy i płacy nie daje podstaw do szybkiej samodzielności finansowej, założenia rodziny. Dopóki pierwsza pensja absolwentów wyższej uczelni nie będzie przynajmniej równa pensji rówieśnika, który 5 lat wcześniej podjął pracę po szkole średniej, dopóty co rozsądniej myśląca młodzież robotnicza i chłopska nie będzie garnąć się na studia. W chwili obecnej średnia płaca inżyniera jest ok. 20 proc. niższa od średniej płacy robotnika: płace w szkolnictwie, służbie zdrowia, administracji są o 20—30 proc. niższe od średniej płacy w gospodarce uspołecznionej. Są to tradycyjne zawody inteligenckie. Kto, mając inne możliwości, wybierze te zawody? Zwłaszcza, że średniej płacy nie należy mylić z dochodami rzeczywistymi, zawody zaś „inteligenckie" oferują znacznie mniej możliwości „dorobienia na boku", niż zawody „konkretne" — jak szklarz, kierowca itp. Jeżeli płace w zawodach wymagających wyższych studiów będą konkurencyjne w stosunku do pracy prostszej, wówczas wyższe studia same z siebie staną się pompą ssącą wszystko, co najlepsze i zdolne w narodzie, a zarazem pracowite, wytrwałe i ambitne: i to w każdym środowisku łącznie z robotniczym i chłopskim.

Punkty preferencyjne są krzywdzące! Po 40 latach od II wojny światowej, cała zawodowo czynna inteligencja została wykształcona w PRL. Znakomita jej część wywodzi się w prostej linii od robociarzy, fornali i parobków. Dlaczego dzieci tych ludzi mają być gorsze? Czy nam naprawdę zależy na wylekaniu swoistego „przekładańca klasowego", tj. na tym, aby dzieci absolwenta wyższej uczelni (inteligent) pracowały jako „robotnicy" a dopiero dzieci tych robotników znów kończyły wyższe studia, znów stając się inteligentami — i tak dalej na huśtawce klasowo-pochodzeniowej".

Co na ten temat mówi tzw. życie i nauka? Życie mówi, że istnieją rodziny inteligenckie, w których zawód przekazywany jest przez pokolenia, przy czym dopiero w 3—4 pokoleniu potomkowie wspinają się na szczyty mistrzostwa. Nauka zaś dowodzi, że dla rozwoju tego co nazywamy umysłem i zdolnościami intelektualnymi, najważniejsze są pierwsze lata życia. Warunki, w jakich żyje dziecko przez pierwsze 4—5 lat mają przemożny wpływ na kształtowanie osobowości i rozwój talentu twórczego nie mniej istotny wpływ ma przykład i atmosfera rodzinnego domu w latach nauki szkolnej. Dziecko, które z mlekiem matki (dosłownie) wyssało kult dla wiedzy i wartości kulturowych — będzie garnęło się do osiągnięcia wykształcenia na najwyższym poziomie. W wieku 18 lat istota ludzka jest już ukształtowana: tego, co nie zostało zaszczepione, rozbudzone i rozwinięte w dzieciństwie, studia wyższe już nie zaszczepią. Może okrutna to prawda, ale prawda.

Przeto główny nacisk należy kłaść właśnie na pierwsze lata życia, a także na okres szkoły podstawowej. Jeżeli chcemy naprawdę preferować robotników i chłopów, to powinniśmy czynić to nie po maturze, lecz w żłobkach i przedszkolach oraz w szkołach eminnych — poprzez stwarzanie tam odpowiedniej atmosfery, sprzyjającej rozbudzaniu ciekawości świata. To właśnie w żłobkach i przedszkolach należy zatrudniać personel najwyżej kwalifikowany (i opłacany!), zdolny odpowiadać na tysiące dziecięcych pytań i organizować zabawy, rozwijające zdolności intelektualne oraz rozwijające zachowania prospołeczne. Aby te dzieci, jako maturzyści, chciały coś zrobić dla świata i otoczyny; aby nie marzyły jak we wzmiankowanej na wstępie ankiecie, o emigrowaniu, względnie o tym „by kochać i być kochanym"!

Za nieporozumienie należy uważać sugestie preferencji za pracę fizyczną lub służbę wojskową. Z historii pamiętamy, że programy wychowania przez pracę fizyczną „na siłę" mierne dały rezultaty. Praca fizyczna nie zastąpi znajomości np. prawa zachowania masy u kandydata na chemika.

Nieporozumieniem jest również idea rozpoczynania studiów dopiero po odbyciu służby wojskowej lub po okresie pracy fizycznej. Ludzie po wyższych studiach powinni być zdolni do tworzenia rzeczy oryginalnych, do myślenia twórczego; studenci zaś powinni być maksymalnie chłonni na wiedzę. Umysł tym jest chłonniejszy im jest młodszy; a dla pracy koncepcyjnej najbardziej płodny jest okres pomiędzy 23—35 rokiem życia. Powinniśmy myśleć, jak obniżyć wiek studenta (w krajach anglosaskich studia rozpoczyna się w wieku 17 lat) a nie jak go podwyższyć. Start zawodowy naszych absolwentów jest poważnie opóźniony, poprzez różnego rodzaju staże i niedopuszczanie do samodzielnego rozwiązywania istotnych problemów zawodowych. Człowiek, który robi doktorat przed trzydziestką jest u nas rzadkością, podczas gdy w krajach wysoko rozwiniętych ktoś, kto nie zrobi doktoratu do trzydziestki, już go zapewne w ogóle nie zrobi. Co zyskamy, dodatkowo opóźniając start zawodowy naszych inżynierów i magistrów? Chyba to tylko, że jak teraz wleczemy się na szarym końcu Europy w dziedzinie wynalazków, tak po wdrożeniu projektowanych zmian o wynalazkach w ogóle nawet przestaniemy. Czy nikogo nie niepokoi, że w 1983 r. Polska uzyskała tylko 40 (!) patentów międzynarodowych? — Jeżeli wniosek o staż pracy przed podjęciem studiów dyktowany jest brakiem siły roboczej, to cóż prostszego, jak pobudzić młodych specjalistów do myślenia, jak lepiej zorganizować pracę, a wy-

silek fizyczny zastąpić maszyna? Dajmy im tylko szanse i realne możliwości — aby mogli o tym myśleć przed trzydziestka, aby myślenie „nietypowe" opłacało sie im, aby za „wychylanie sie" nie obrywali po głowach — a okaże sie, że rozwój umysłowy ludzi w Polsce naprawde nie przebiega inaczej niż w innych krajach, przy czym my sroce wcale nie wypadliśmy spod ogona.

Niezrozumiały jest nacisk, kładziony w „Projekcie" na rozwój studiów dla pracujacych — traktowanych jako równorzedny studiom stacjonarnym sposób zdobywania dyplomu. Studia dla pracujących były życiowa koniecznością w latach powojennych. Obecnie, gdy nie tylko mówi sie o nadmiarze kadry z dyplomami wyższych uczelni, ale gdy w niektórych dziedzinach naprawde nie wiemy, co z ta kadra zrobić — w związku z czym wykorzystuje sie ja „na pół gwizdka" — produkowanie inżynierów i magistrów systemem zaocznym nie znajduje uzasadnienia. Czym innym sa natomiast studia podyplomowe. Te powinny być rozwijane — lecz „Projekt" niewiele o nich mówi.

Zadziwiajacy jest wybór grup społecznych, preferowanych przez „Projekt". Oprócz robotników i chłopów znajdujemy tu żołnierzy, sieroty i wychowanków domów dziecka. A wiec nie czyste kryteria klasowe, ponieważ do odbycia służby wojskowej zobowiazany jest każdy zdrowy mężczyzna. Bardzo zdumiewa umieszczenie na preferencyjnej liście wychowanków domów dziecka. Obecnie przeważająca wiekszość wychowanków tych domów to dzieci tzw. marginesu społecznego; posiadaja oni rodziców, acz pozbawionych władzy rodzicielskiej. Ja rozumiem ciężki los tych dzieci; jednak oprócz uczucia litości ważne jest także poczucie sprawiedliwości. Dlaczego potomstwo marginesu społecznego ma być preferowane kosztem, np. potomka nauczyciela szkoły gminnej?

Zaskakuje, że „projekt" nic nie wspomina o jednostkach wybitnych, np. o laureatach olimpiad. Czyżby na wybitnych talentach nam nie zależało?

5. PODSUMOWANIE

System przyjęć na wyższe studia jest sprawą wyjatkowo ważna dla społeczeństwa. Projektodawcy przyjmują za udowodnione, że punkty preferencyjne powinny być stosowane, w związku z czym zamierzaja dyskusję i konsultacje skoncentrować wokół spraw drugorzednych, tj. ile, komu i za co punktów przydzielać. Moim zaś zdaniem — jeżeli chcemy sprostać wyzwaniu czasów — kandydatów na wyższe studia pytać należy przede wszystkim i wyłacznie o talent, zamiłowania oraz o wiedze już posiadana i o chęci pomnażania tej wiedzy — własna praca. Trzeba także lepiej honorować prace absolwentów wyższych uczelni — a punkty preferencyjne staną się zbędne. Prosze zwrócić uwage, że chory idac do szpitala, nie pyta o pochodzenie społeczne lekarza, ani o to, czy wychował sie on w domu dziecka; chory pyta jedynie o to, jakim jest on specjalista — bardzo dobrym, dobrym czy tylko miernym?

Jestem przeciwny punktom preferencyjnym — obojetne z jakiego tytułu miałyby być one przyznawane. Jestem przeciwny skierowaniom na wyższe studia przez zakłady pracy i podobnym praktykom, uprzywilejowujacym jednych kosztem innych. Wiedzac, że zdolności rozdzielane sa przez nature losowo, jestem za tym, by studiować mógł każdy, kto ma ku temu predyspozycje. Stwierdzam to jako syn kolejarza, który wraz z pieciorgiem (!) rodzeństwa ukończył studia w Polsce Ludowej — bez preferencji, acz w każdym przypadku z pomoca stypendialna.

Przeciwny bedac dzieleniu młodzieży na lepsza i gorsza z racji urodzenia — jestem za najdalej posunieta pomoca finansowa dla tych, co naprawde chca studiować jednocześnie opowiadam sie za bezwzględnym wycofywaniem pomocy finansowej dla tych, którzy studiuja bez przekonania. Goraco opowiadam sie za przyjmowaniem do żłobków i przedszkoli wszystkich tych dzieci, którym dom rodzinny nie jest w stanie zapewnić opieki, sprzyjajacej rozwojowi duchowemu.

J. STANISŁAW KNYPL

Na peryferiach zdrowego rozsądku

Dokończenie ze strony 1

NADESZŁA NIESPODZIEWANA ODPOWIEDŹ

3 czerwca 1984 roku „Tygodnik Powszechny" opublikował list zatytułowany: „Zmieniono projekt szpitala". List ten muszę przytoczyć w całości, gdyż wywołał on ostry spór i cząstkowe zainteresowanie przyszłą działalnością Centrum Zdrowia Matki. Cząstkowe dlatego, że nie interesowano się tym, co w ogóle będzie się robiło w tym *kompleksie medycznym, ale czy będzie się tam przerywało ciąże*, czy też nie.

A oto wspomniany list:

„W odpowiedzi na list otwarty p. red. Józefy Hennelowej, zawierający prośbę, by w Centrum Zdrowia Matki Polki nie było tzw. „zabiegów" przerywania ciąży, uprzejmie informuję, iż w porozumieniu z konsultantami ze strony medycznej doc. doc. med. Wacławem Decem i Marianem Szpakowskim, zrezygnowano z uprzednio planowanego w programie CZMP „zespołu zabiegowego" przychodni specjalistycznej powiększając w to miejsce przychodnię pracowniczą personelu Szpitala.

Tym samym w projekcie realizacyjnym Pomnika-Szpitala nie ma obecnie zespołu pomieszczeń przewidywanych uprzednio w programie wyjściowym do przeprowadzania zabiegów przerywania ciąży".

List podpisał generalny projektant Pomnika-Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki — arch. Janusz Wyżnikiewicz.

Z listu tego wynika niedwuznacznie, że w projekcie szpitala przewidywano jakiś zespół gabinetów tylko do przerywania ciąży, swoistą „fabrykę aniołków". Następnie z tego zrezygnowano. Niektórzy wyciągnęli inny wniosek, że w szpitalu tym w ogóle nie będzie się przerywało ciąży. Nic więc dziwnego, że takie postawienie sprawy wywołało ostry sprzeciw. „Klechistan tryumfuje" — zatytułował swój artykuł Krzysztof Dębek w „Sprawach i Ludziach". A numer 315 w „Tu i Teraz" napisał:

„Dysponentem szpitala jest państwo, Ministerstwo Zdrowia. Czy w tak ważnej sprawie — sprawie mającej rozmaite aspekty, i zdrowotne, i moralne — prywatne przekonania lub ideowe skłonności paru doktorów oraz jednego pana architekta, zainspirowanych przez przedstawicielkę pisma katolickiego, mogą decydować o charakterze szpitala? Czy będzie to szpital wszechopieki lekarskiej, czy tylko szpital powołany do obsługi Polek wierzących katoliczek?"

Niczym chichot prześmiewcy zabrzmiało pytanie postawione przez Ryszarda Świerkowskiego w „Perspektywach": „Co by na to Boy?", choć autor tylko marginesowo dotknął interesującego nas sporu, wołając o udostępnienie współczesnemu czytelnikowi dorobku publicystycznego Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Wołanie to — jak się okazuje — jest bardzo na czasie.

Z listu Janusza Wyżnikiewicza mogło wynikać poza wszystkim, że decyzję o likwidacji „zespołu zabiegowego" podjęto na skutek prośby Józefy Hennelowej. Autorka „Listu otwartego..." tak też to zrozumiała i w tym samym numerze „Tygodnika Powszechnego", w którym ukazał się list Janusza Wyżnikiewicza, napisała:

„Ta informacja wywołać musi głęboką satysfakcję a decyzja zasługuje na rzetelną wdzięczność. Jest bowiem znaczącym krokiem na drodze do odbudowania społecznego poczucia bezcennej wartości ludzkiego życia. Także życia najsłabszych, najbardziej bezbronnych, jakimi są dzieci, które się jeszcze nie narodziły".

Muszę rozczarować Józefę Hennelową, i wszystkich, którzy, tak jak ona, przyjęli, a których w błąd wprowadził inż. Janusz Wyżnikiewicz, iż to na skutek jej interwencji nastąpiła zmiana w projekcie budowy szpitala.

— Przyznam się — powiedział mi inż. Janusz Wyżnikiewicz — że ja nawet tego listu otwartego Hennelowej nie czytałem. Natomiast dotarły do mnie informacje, że już tyle czasu minęło, a nikt na ten list nie odpowiedział. Ponieważ w poruszonej sprawie były już decyzje, więc w sposób beznamiętny napisałem do „Tygodnika Powszechnego". Była to moja prywatna inicjatywa.

Inż. Janusz Wyżnikiewicz w swoim liście do „Tygodnika Powszechnego" wymienił dwu konsultantów medycznych. Może na nich w jakiś sposób wpłynął list otwarty Józefy Hennelowej?

Doc. dr hab. nauk medycznych Marian Szpakowski jest kierownikiem Kliniki Położniczej WAM, wojewódzkim specjalistą położnictwa i ginekologii oraz zastępcą dyrektora do spraw lecznictwa w Dyrekcji Budowy CZMP.

— O artykule p. Hennelowej — mówi — dowiedziałem się „od tyłu", to jest dopiero wtedy, gdy dotarła do mnie wiadomość, że inż. Wyżnikiewicz napisał list w odpowiedzi na ten artykuł.

Doc. dr hab. nauk medycznych Wacław Dec pełni obowiązki dyrektora Instytutu Ginekologii i Położnictwa AM i jest doradcą prezydenta Łodzi do spraw położnictwa i ginekologii.

— Inż. Wyżnikiewicz niczego ze mną nie konsultował — mówi. — Nie jest też chyba rzecznikiem prasowym budującego się szpitala. Budowę nadzoruje Urząd Miasta Łodzi, a w Urzędzie funkcję rzecznika prasowego pełni mgr Paweł Piotrowski. On powinien był zabrać głos w tej sprawie. Tak mi się to przynajmniej wydaje. Ja list Hennelowej przeczytałem dopiero po liście inż. Wyżnikiewicza.

Jednakże nikt z moich rozmówców nie zaprzeczył, iż początkowo zakładano, że w szpitalu przewidywano „zespół zabiegowy". Zapytajmy zatem,

CO TO JEST „ZESPÓŁ ZABIEGOWY"?

„Czy to znaczy — pisał w „Sprawach i Ludziach" Krzysztof Dębek — *że w projekcie przewidziano specjalne pomieszczenia, specjalne gabinety, specjalny zespół zabiegowy przeznaczony do wykonywania interrupcji? Jeżeli coś takiego przewidziano — to hańba, wstyd i zupełny idiotyzm!"*

Trudno się z tą opinią nie zgodzić.

Czy zatem myślano o „zespole zabiegowym" specjalnie przeznaczonym do przerywania ciąży?

— Kiedy rodziła się wstępna koncepcja szpitala — mówi doc. Wacław Dec — a rodziła się ona dość pośpiesznie w pierwszej fazie, były i takie propozycje. Skąd się one wzięły? Ideałem byłoby, żeby przerywanie ciąży mogło odbywać się w najbezpieczniejszych warunkach, pod dobrą opieką lekarską, aby po zabiegu kobieta mogła przez dwa, trzy dni odpocząć też pod opieką lekarza. Żeby nie dokonywało się to tak, jak się dzieje w spółdzielniach lekarskich, gdzie warunki są nieodpowiednie i gdzie kobieta po 15 minutach musi ustąpić miejsce następnej. Po drugie — warto wiedzieć, że w Łodzi, gdy wszystkie szpitale były czynne brakowało około 300 miejsc ginekologiczno-położniczych. Teraz, kiedy w trzech szpitalach trwają remonty, brakuje około 900 miejsc ginekologiczno - położniczych. Wiele kobiet skazanych jest więc na przerywanie ciąży w spółdzielniach, albo prywatnych gabinetach lekarskich.

— W pierwowzorze — mówi doc. Marian Szpakowski — na samym froncie szpitala przewidziano gabinety zabiegowe do przerywania ciąży...

Dlaczego z nich zrezygnowano?

— Z kilku powodów — wyjaśnia doc. Marian Szpakowski. — Przede wszystkim nad programem medycznym CZMP wiele dyskutuje się w gronie ginekologów i położników. Chodzi nam o to, aby nie popełnić błędu. Więc ginekolodzy i położnicy zaraz zwrócili uwagę, że takie usytuowanie gabinetów ginekologicznych, w których przerywałoby się ciążę jest poważnym błędem. To nie może być „wizytówka" szpitala mającego służyć zdrowiu matki. Poza tym decyzja o przerwaniu ciąży jest sprawą intymną kobiety. Nie może to się więc odbywać niejako na publicznym widoku. Dlatego zdecydowaliśmy, że te pomieszczenia powinny być przeznaczone do innych celów — na poradnię dla personelu.

Z protokołu komisji opiniującej projekt. Posiedzenie odbyło się 20 lutego 1984 roku. Uwagi koreferenta do założeń programowych, przedstawiciela Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej:

„Przychodnia — zespół zabiegowy. Można przypuszczać, że głównym powodem zaplanowania tego zespołu jest przewidywanie ambulatoryjnego zabiegu przerywania ciąży. Uważam, że przy dużej liczbie łóżek ginekologicznych w Centrum Zdrowia Matki nie będzie potrzeby wykonywania tych zabiegów ambulatoryjnie, a poza tym nie byłoby to zgodne z instrukcją w sprawie niektórych wymagań związanych z przerywaniem ciąży w zakładach społecznych służby zdrowia. Jeśli jednak ten zespół miałby zostać, zgłaszam uwagi do obecnego projektu..."

Po dalszej dyskusji przyjęto następujący wniosek:

„Przychodnię dla personelu należy powiększyć o zespół fizykoterapii przy równoczesnej likwidacji zespołu zabiegowego przychodni przyszpitalnej".

A CO Z PRZERYWANIEM CIĄŻY?

Inż. Janusz Wyżnikiewicz w swoim liście do „Tygodnika Powszechnego" zasugerował, jakoby likwidacja „zespołu zabiegowego" była równoznaczna w ogóle z rezygnacją z przerywania ciąży w Centrum Zdrowia Matki. Tak też to zrozumiał Krzysztof Dębek, który w „Sprawach i Ludziach" napisał:

„Powtarzam: jestem pełen pokory wobec naukowych tytułów i dorobku panów docentów. Śmiem jednak zapytać: Dlaczego panowie docenci konsultanci nie pomyśleli o tym, że dla zdrowia kobiet lepiej byłoby, gdyby coraz więcej zabiegów odbywało się w sterylnych, znakomicie wyposażonych przyszpitalnych gabinetach? To panowie docenci konsultanci powinni walczyć o to, aby te ryzykowne zabiegi nie odbywały się w byle jakich gabinetach pazernych na pieniądze ginekologów".

Najpierw więc zapytałam inż. Janusza Wyżnikiewicza, czy rzeczywiście projekt szpitala przewiduje, że nie będzie się tam dokonywało przerywania ciąży?

— Nikt nie wyklucza i nie mówi — odpowiedział — że w szpitalu ze względów wskazań lekarskich nie będzie się dokonywać przerywania ciąży, bo to jest zupełnie inna sprawa.

Nie poprzestałam na tym i pytałam dalej.

— W szpitalu — odpowiedział mi doc. Marian Szpakowski — będzie pełny zakres ginekologii, w tym również przerywanie ciąży, zarówno ze wskazań społecznych, jak i lekarskich. Myślę jednak, że przeważać będą zabiegi ze wskazań lekarskich. Dlaczego tak sądzę? Szpital będzie bowiem dysponował wysokiej klasy kadrą, kardiologiem, anestezjologiem i innymi specjalistami, i przy ich pomocy trudny zabieg wynikający ze wskazań lekarskich będzie mógł być wykonany w warunkach maksymalnego bezpieczeństwa. Ale jeśli szpital ten będzie obejmował jakiś rejon miasta, to oczywiście, jeśli będą zgłaszały się kobiety, nikt im nie odmówi przerwania ciąży. Tyle tylko, że zabieg taki nie będzie przeprowadzony w wydzielonym pawilonie czy oddziale, ale na oddziale ginekologicznym, jak to się praktykuje we wszystkich szpitalach.

— Szpital będzie wykonywał wszystkie funkcje na rzecz kobiet — powiedział doc. Wacław Dec — jakie będą potrzebne. Również przerywanie ciąży. Czy dziś, kiedy dopiero tworzy się koncepcje, można powiedzieć, ile będzie takich zabiegów dziennie? Nie. Można powiedzieć tylko, że będziemy robili wszystko, co będzie potrzebne kobiecie.

W świetle tych wypowiedzi dziwi mnie arbitralne stwierdzenie Krzysztofa Dębka:

„Pod decyzją zabraniającą dokonywania zabiegów przerywania ciąży w CZMP podpisali się docenci nauk medycznych Wacław Dec i Marian Szpakowski".

Dziwi mnie też pewność Józefy Hennelowej, która w „Tygodniku Powszechnym" napisała:

„...prośba moja, by właśnie w Centrum Zdrowia Matki Polki zrezygnować z niszczenia poczętych dzieci, nie miała na celu jakiegoś „policyjnego" ograniczenia decyzji tych matek, które dotąd nie są przekonane o złu swoich decyzji, a z punktu widzenia istniejącej dotąd ustawy pozostają najzupełniej w porządku. Jeden Szpital na całą Polskę — cóż to za sprawa dla tych, które jednak „muszą" nie urodzić..."

Nie ma sprawy, ponieważ nie ma takiej decyzji.

Rozumiem natomiast intencje. Krzysztof Dębek w „Sprawach i Ludziach" bronił prawa kobiet do legalnego korzystania z ustawy o przerywaniu ciąży. Józefa Hennelowa byłaby zadowolona, gdyby ustawa ta została zniesiona. Gdyby istotnie w CZM obowiązywał zakaz przerywania ciąży, byłby to pierwszy krok na tej drodze. Ale tak nie jest. Zresztą — jak słusznie zauważył jeden z lekarzy, przysłuchujący się mojej rozmowie z doc. Marianem Szpakowskim, — odmowa przerwania ciąży, jeśli nie występują żadne lekarskie przeciwwskazania, może zakończyć się przykrymi konsekwencjami nawet u prokuratora.

Ale też spór o jedną — i to wcale nie najważniejszą — funkcję CZM, jaki rozgorzał w kilku pismach, może w opinii społecznej wypaczyć w ogóle obraz budującego się zespołu szpitali. Dlatego nie od rzeczy będzie przypomnieć,

CZYM MA BYĆ CENTRUM ZDROWIA MATKI

Przygotowany program przewiduje, że w kompleksie szpitali i przychodni specjalistycznych lekarze będą nie tylko przyjmowali porody — a już szczególnie te trudne i skomplikowane, ale też leczyli różne kobiece schorzenia oraz prowadzili badania naukowe. Będzie się więc badać wpływ środowiska na rozwój ciąży, płodu i noworodka, co dla Łodzi, jak i innych dużych aglomeracji, a już szczególnie okręgów przemysłowych, ma olbrzymie znaczenie. Również dla Łodzi duże znaczenie będzie miało badanie wpływu warunków pracy na patologie ginekologiczne. Nie zapominajmy, że właśnie w Łodzi jest najwięcej kobiet pracujących i to w trudnych warunkach, choć przemysł ten, gdzie tyle kobiet pracuje nazywa się lekkim. Z tego też powodu badanie przyczyn wcześniactwa również dla łódzkiego okręgu ma ważne znaczenie. W Łodzi przecież występuje duży odsetek wcześnie urodzonych dzieci.

Będzie się w CZM rozpoznawało wszelkie rodzaje wad rozwojowych i zaburzeń w przebiegu ciąży, a szczególnie w jej pierwszym okresie. Będzie się tu rozpoznawało wszelkie objawy patologii w okresie okołoporodowym. Będzie się też rozpoznawało i leczyło konflikty serologiczne.

Zupełnie nowa dziedzina, w Polsce — jak mówią specjaliści — jeszcze w powijakach, ale którą należy się zająć, to patologia zagnieżdżenia jaja płodowego. Leczyć się tu będzie również niepłodność małżeńską. U kobiet powstaje ona często w wyniku przerywania ciąży. Ale też trzeba leczyć niepłodność u mężczyzn. CZM zajmować się będzie także endokrynologią ginekologiczną i położniczą, co jest bardzo trudnym zagadnieniem. I dalej — w programie ujęto również tak ważny, jak i trudny problem profilaktyki chorób nowotworowych narządów rodnych.

Mało kto dziś zajmuje się patologią sutka, a to sprawa również poważna. I wreszcie również ważna i potrzebna ginekologia dziecięca i dziewczęca.

Poza tym CZM spełniać będzie też funkcje dydaktyczne. Będą tu się przygotowywały zastępy przyszłych ginekologów i położników.

Zabiegi przerywania ciąży, bardzo istotne dla wielu kobiet, nie stanowią więc dla różnorodnej i wieloprofilowej działalności CZMP podstawowego problemu. Dotychczasowa dyskusja dotyczy zresztą tylko części ginekologicznej. A przecież w skład Pomnika-Szpitala Centrum Zdrowia Matki Polki wchodzi również szpital pediatryczny zaprojektowany na kilkaset łóżek.

Myślę, że warto interesować się wszystkimi funkcjami powstającego Centrum Zdrowia Matki. A warto dlatego, że wokół budującego się szpitala toczy się spór nie tylko o „zespół zabiegowy", o to, czy będzie się tam przerywać ciążę czy nie. Spór zresztą zupełnie bezpodstawny, bo jak wykazałam, żadnej takiej decyzji, aby nie dokonywać przerywania ciąży w CZM nie podjęto. Toczą się natomiast ciche podjazdy — o czym nie tylko w Łodzi wróble ćwierkają na szpitalnych dachach — o pracę w przyszłym szpitalu, o stanowiska, o wcale intratne posady. Albo mówiąc po prostu — o stołki.

Szpital buduje się w Łodzi, ale wiele spraw rozstrzyga się w Warszawie, co nie zawsze sprawie pomaga. I nie o ambicje tu chodzi, ale o sprawność działania, szybkość decydowania, szybkość reagowania na doraźnie wynikające kłopoty i zahamowania.

Jest chyba ambicją wszystkich, aby P-S CZMP był szpitalem nowoczesnym, aby nie popełniono w nim tych błędów, które zdarzyły się już przy budowie innych szpitali. Powinien być zatem obsadzony przez najlepszych fachowców, wyposażony w najlepszą aparaturę, na jaką nas stać. I to powinno być przede wszystkim naszą troską. O tym wszystkim warto publicznie dyskutować, zawsze jednak zasięgając opinii ludzi kompetentnych w tej sprawie.

BOGDA MADEJ

(Wszystkie wypowiedzi rozmówców przytoczone w artykule są autoryzowane).

B.M.

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

ŻONA ZAWSZE NOSI NAZWISKO MĘŻA

Sławny doktor Czekierski, prowadzący sybaryckie życie, zaprosił, po swoim ożenieniu się z Kubickiego architekta córką, liczne towarzystwo do wsi Pruszkowa o mile czy dwie od Warszawy leżącej, gdzie miał piękny wiejski dom i gospodarstwo wzorowo urządzone. Miał on znajomość z Okołowem i zaprosił go; zaprosił i mnie, gdyż był moim przyjacielem i radami swymi zdrowie mojej żony i mego syna podpierał. Okołów przy dobrym obiedzie starym winem rozgrzany, był po swojemu rozkoszny, rubaszny, bawił i śmieszył towarzystwo. Gdy ku wieczorowi pojazdy pozajeżdżały i zaczęliśmy się rozjeżdżać, Okołów z wyjeżdżającym towarzystwem stał i prawił na ganku, gdyż język jego nigdy nie spoczął. Czekał na żonę, która się wybierała; gdy weszła na ganek, wskazał jej pojazd, mówiąc swoim grzecznym i zartobliwym sposobem: „Siadajże, świnio!". Zawstydzona kobieta rzekła do Czekierskiego, który ją wyprowadzał: „Panie Czekierski, polaj go też, niech takich wyrazów do żony żartem nawet nie używa". — „Nie mogę — odrzekł Czekierski — ma racje, żona zawsze nosi nazwisko męża".

Kajetan Koźmian. Pamiętniki obejmujące wspomnienia od roku 1780 do roku 1815. Oddział 3. Kraków 1865.

NAGROBEK WDOWIE

Tu wdowa po trzech mężach schowana
w mogiłe:
Przechodniu, zmykaj prędzej, gdy ci zdrowie
miłe.
Bo oto wnet przed sobą ujrzysz grób otwarty
I głos straszny zawoła:
— Wasan będziesz czwarty!

„Kłosy", 1880, nr 47.

HAUR O POŻYTKACH CZYTANIA

Jakub Kazimierz Haur (1632 — 1709), sławny ekonomista polski, sekretarz króla Jana III, był autorem niezwykle pocztnego dzieła pt. „Oekonomia ziemiańska generalna", które do końca XVIII w. doczekało się kilkunastu wydań. Za życia autora przerabiane i uzupełniane, uznawane są dziś za odrębne dzieła uczonego ekonomisty. Uwagi o pożytkach czytania pochodzą z dzieła pt. „Skład abo skarbiec znakomitych sekretów oekonomiej ziemiańskiej" (Kraków 1689):

Każdemu żyjącemu na świecie człowiekowi zdrowia i szczęścia przybywa, gdy się ma czym w domu zabawić i ureikreować, nie wdając się w żadną melankolią, aby jej był kiedy powolnym i owszem się z niej jako ze snu budzić i otrząsnąć potrzeba: a przeto wedle możności i według swego czasu nie tylko się przechodzeniem krzepić i czerstwić (boć to rzecz jest pewna, że przez te agitacje i egzercitia apetyt dobry), ale też na czas biblioteki nie trzeba zapomnieć i postponować.

Z której się zwykł dowcip, pamięć i roztropność do wszelkiej polityki ostrzyć i polerować, osobliwie do dyskursów, do propositiej, do konwersaciej i do wielu innych różnych publicznych aktów, wiadomości, słuchania i rozmów godnych, które zawsze za godnego wszelkich honorów wsławia człowieka, ile w mądrych zgromadzeniu. A przeto, kto może mieć w swoim domostwie porządek i wygodę, przyzwoita każdemu zabawa: albowiem, gdy będzie ochota, chęć, gust i ukontentowanie w różnych do czytania politycznych autorach, nie trzeba będzie od kogo inszego zażywać rozumu, rady abo potrzebować kompositiej, boć to ostatnia cudza na pamięć czytać in publicis lectiq, pewniejsza zawsze swoja w domu aplikacja. Kto zaś gramatyki zapomniał, to lepiej przyrodzonym gadać językiem. Do tak potrzebnego czytania biblioteki będzie sposobna sama zima przy swej długiej nocy, której przespać niepodobna.

KŁOPOTY Z WOJNĄ

Pani Ostroberta z Bułhaków Wojnina, zacna a pobożna kobieta, odprawiając suplikacje, mówiła zawsze: „Od powietrza, głodu, ognia i batalii" (nie zaś wojny), dowodząc, że jej nie wypadało mówić inaczej, skoro mąż jej jest Wojna. (Encyklopedia humoru, zawierająca Najcelniejsze utwory humoru ludzkiego. Red.: M. Wołowski. Warszawa 1890).

Nie znamy imienia szczęśliwego małżonka pani Ostroberty wszelako podobne suplikacje mogła zanosić Teresa Czaplicówna, łowczanka koronna, po zamęściu z Franciszkiem Ksawerym Woyną (1750—1813), generałem-majorem wojsk koronnych i wicekomendantem Szkoły Rycerskiej. Był tenże Woyna dramatopisarzem i ponoć autorem swawolnych wierszy, powtarzanych podczas obiadów czwartkowych u króla Stasia. W rękopisie Biblioteki PAN w Krakowie (sygn. 615) przypisane mu jest autorstwo (imię tylko zmienione na Stanisław) wierszy, nawet dziś nie kwalifikujących się do szerokiego upowszechniania z uwagi na ich niecenzuralność. Wydobywam najbardziej niewinną stamtąd fraszkę poświęconą braciszkom spod znaku Ignacego Loyoli pt.: „Misja".

Raz jezuita na macku idący
Namacał bobra u dziewuchy śpiącej.
Ta odeckniona zawoła nań: „hola!
Takiej misyi nie kazał Lojola!"

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Eva Rubinstein

Nie wszystkim zapewne wiadomo, że działalność wystawiennicza łódzkiego Muzeum Sztuki obejmuje także fotografię artystyczną. Obecnie czynna jest właśnie bardzo interesująca wystawa fotografii Evy Rubinstein, zamieszkałej stale w Nowym Jorku, której dokonania artystyczne i pedagogiczne znane już są szeroko poza granicami USA, a jej prace trafiły do najsławniejszych kolekcji, m.in. w Metropolitan Museum czy Bibliotece Narodowej w Paryżu.

Artystka (córka Artura Rubinsteina) nie od razu zwróciła się ku fotografii, była najpierw tancerką, a następnie aktorką teatrów Broadwayu. Czy te — tak różne — zainteresowania wycisnęły jakieś rozpoznawalne piętno na sztuce fotograficznej Evy Rubinstein? Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że poprzednie doświadczenia artystyczne wyostrzyły zmysł obserwacyjny artystyki i wpłynęły w sposób specyficzny na jej kontakt z przedmiotem, nadały mu dość chyba znaczny stopień intymności.

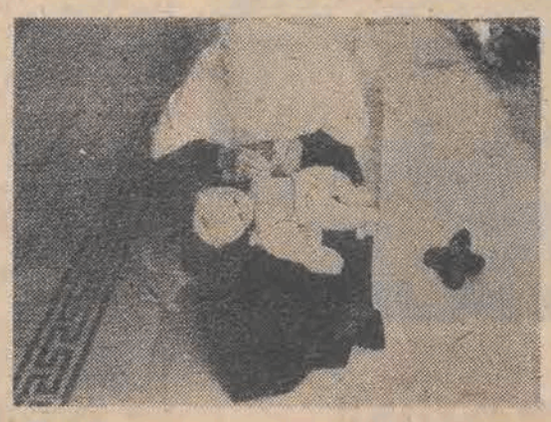

Różnorodny tematycznie zestaw przeszło 120 fotogramów ilustruje rozległą skalę zainteresowań autorki — od martwej natury przez scenkę rodzajową po akt (w tym także męski), niełatwo jednak znaleźć dla tej różnorodnej twórczości artystyczny „wspólny mianownik", odnosimy bowiem wrażenie, że spotykamy się nie tyle z fotografowanym obiektem, ile z projekcją osobowości autorki zdjęć.

J. K.

KOMU NAGRODĘ „ODGŁOSÓW"?

Przede wszystkim za... twórczość

WYPOWIADA SIĘ KOMPOZYTOR ANDRZEJ HUNDZIAK

Brałbym pod uwagę trzy różne kryteria oceny działalności upowszechnieniowej na polu kultury, w odniesieniu do trzech różnych jej przejawów. Pierwsze z nich może się komuś wydawać zaskakujące, ponieważ w rozważaniach o upowszechnieniu nieraz się je pomija. Otóż przede wszystkim nagradzałbym za twórczość! Bo przecież bez niej nie byłoby po prostu czego upowszechniać, nie możemy bowiem ograniczać się do popularyzacji tego co stworzono dawniej. Musi istnieć nieustanny dopływ nowych dzieł, z którymi należałoby zapoznawać najszersze kręgi społeczeństwa.

Rozumie się samo przez się, że wyróżniać by należało twórczość o określonych treściach i wartościach, która mogłaby liczyć na szerszy odbiór. Nie chciałbym zostać źle zrozumiany w tej delikatnej sprawie. Jeśli dajmy na to ktoś napisze bardzo awangardową i interesującą symfonię czy oratorium, to chwała mu za to, a jeśli napisał dzieło naprawdę wybitne, powinien być uhonorowany nagrodą państwową, resortową czy związku twórczego.

Mam jednak na myśli utwory, które mogłyby wykonywać bez nadmiernych trudności chóry amatorskie czy szkolne albo młodzieżowe zespoły instrumentalne, a więc to, co spełnia wszystkie warunki utworu popularnego w dobrym znaczeniu tego słowa, zarówno wartościowego artystycznie, jak i przystępnego dla odbiorcy. Oczywiście odnosi się to do wszystkich dziedzin twórczości artystycznej, nie tylko do muzyki.

Druga ważna okoliczność, którą należałoby uznać za zasługę w upowszechnianiu kultury, to pomysłowość, inicjatywność, słowem — nowatorskie propozycje, które by pobudzały życie kulturalne, podpowiadały nowe formy i sposoby zbliżania kultury do ludzi. Możliwości takiego działania jest z pewnością dużo, trzeba tylko umieć je dostrzec i sformułować, nadać im organizacyjny kształt.

Po trzecie wreszcie należy się ludziom wyróżnienie za ich upowszechnieniowy trud, kiedy uprawiają autentyczną działalność społeczną, to znaczy bezinteresowną, wykraczającą poza zawodowy obowiązek. Czasem może to być działalność na niewielką skalę, o niedużym, zupełnie lokalnym zasięgu, ale czy nie może ona nieraz posłużyć za wzór do naśladowania przez innych. Otwiera się tu pole do popisu dla różnego rodzaju hobbistów, zbieraczy różnorodnych przedmiotów, które służyć mogą poznaniu różnych dziedzin życia, pobudzać np. zainteresowania historyczne czy inne.

Ciekaw zresztą jestem, jak zafunkcjonuje uchwalona niedawno ustawa o upowszechnianiu kultury, w jakim stopniu i jakim sensie będzie wyzwalać autentyczne inicjatywy jednostek i stowarzyszeń.

To dobrze, że redakcja „Odgłosów" przeprowadza sondaż opinii na temat zagadnień związanych z upowszechnieniem kultury, słuszne też, że propozycje do nagrody może zgłaszać każdy, dzięki temu bowiem może się ujawnić istnienie poczynań kulturalnych szerzej dotychczas nie znanych, a cennych.

Notował: J. K.

Z półki recenzenta

LISTY LAWRENCE

Któż z nas w młodości nie czytał skandalizującej książki „Kochanek Lady Chatterley"? Co prawda była to wersja okrojona przez cenzurę obyczajową, ale mimo wszystko wywoływała rumieńce na policzkach.

Teraz mamy listy jej autora. I choć postać Lawrence nie wywołuje dziś kontrowersji ani zażartych polemik, przecież nie można zapomnieć, że jego życie było podobne do jego powieści: podróże, skandale, obrażanie ludzi bliskich, wciąganie innych w swoją orbitę. A nad tym wszystkim górująca mitomania, która była uprzykrzeniem dla domowników i wydawców.

Przekład Zofii Sroczyńskiej.

David Herbert Lawrence: Listy. Wyd. Lit. 1984. Str. 504. Cena 650 zł.

TURCJA OSMAŃSKA

Imperium osmańskie istniało od 1281 do 1924 r., czyli ponad sześć wieków. W okresie swojego rozkwitu rozciągało się od Budapesztu do Assuanu nad Nilem i od Eufratu po Gibraltar.

W krajach Europy w tym czasie zmieniło się wszystko: nauka, obyczaje, życie. Natomiast w Turcji, dzięki ogromnej stabilizacji organizacji społeczeństwa, zmiany okazały się nieznaczne. Niewiele zmieniły się obyczaje, nie zmodyfikowano praktyk religijnych.

Autorka książki Raphaela Lewis stara się przekonać nas, że tylko tradycja i kultura islamu sprawiły, że społeczność turecka pozostała niezmieniona niemal od zarania swoich dziejów.

Przekład Witolda Radwańskiego.

Raphaela Lewis: Życie codzienne w Turcji Osmańskiej. PIW 1984. Str. 196. Cena 350 zł.

POTEM NASTĄPI CISZA

To jest już IV wydanie tej popularnej powieści Zbigniewa Safjana traktującej o formowaniu się oddziałów 2 Armii Wojska Polskiego na Lubelszczyźnie, a później o walkach przez nie toczonych z okupantem. Książka opowiada także o narodzinach nowych postaw moralnych u ludzi, którzy nie zawsze akceptowali zachodzące przemiany na wyzwolonej ziemi polskiej. Okazuje się, że w sytuacji, gdy wróg jest wspólny, gdy przymierzem zazwyczaj bywa śmierć, ludzi zaczyna łączyć braterstwo i rodzą się najcenniejsze związki i uczucia — przyjaźń, zaufanie i wiara w drugiego człowieka.

Zbigniew Safjan: Potem nastąpi cisza. MON 1984. Str. 442. Cena 190 zł.

PAN BRZECHWA

Pragnę zaprezentować Czytelnikom zbiór wspomnień o Janie Brzechwie. Mówią o nim ludzie, z którymi się przyjaźnił, dla których był nie tylko autorem wierszy dla dzieci, ale przede wszystkim humanistą, przyjacielem piękna, wrażliwym na ludzkie niepowodzenia i wyrozumiałym dla ludzkich słabości. A wspominają go prawie sami „wielcy": J. Iwaszkiewicz, Eryk Lipiński, Jan Marcin Szancer, Seweryna Szmaglewska, St. R. Dobrowolski i inni.

Jan Brzechwa kiedyś napisał:
Pieśnią miłosną jak pocałunkiem
Życie zawierszę:
Miłość mi była strawą i trunkiem —
Miłość i wiersze.

Akademia pana Brzechwy. Czyt. 1984. Str. 194. Cena 90 zł.

BIBLIOTEKA PAMIĘCI POKOLEŃ

Ukazały się trzy pozycje wyżej wspomnianej biblioteki, która od kilku już lat przybliża czytelnikom sławne bitwy z czasów ostatniej wojny, w których odznaczył się żołnierz polski.

Książka F. Skibińskiego „Falaise" jest udokumentowaną relacją z walk w Normandii, szczególnie ostatniej bitwy pod Falaise, w której uczestniczyła polska 1 Dywizja Pancerna odgrywając kluczową rolę w zwycięstwie wojsk Sprzymierzonych.

Natomiast dwie pozostałe pozycje „Lasy Janowskie i Puszcza Solska" W. Tuszyńskiego i „Obrona Gdyni 1939" E. Kosiarza traktują o walkach obronnych i o partyzantce na ziemiach polskich. Są to relacje o bohaterskich zmaganiach z najeźdźcą, o odwadze i heroizmie prostych ludzi, a także o bezsilności, rozpaczy i śmierci.

Franciszek Skibiński: Falaise. KiW 1984. Str. 144. Cena 70 zł.

Edmund Kosiarz: Obrona Gdyni 1939. KiW 1984. Str. 236. Cena 90 zł.

Waldemar Tuszyński: Lasy Janowskie i Puszcza Solska. KiW 1984. Str. 176. Cena 80 zł.

MAREK ADAM JAWORSKI

Taniec w tunelu

OD AUTORA: Początek tej przygotowywanej do druku pod tym tytułem powieści — to listopad 1980 r. Akcja toczy się głównie w środowisku dziennikarskim. Bronisław Szablicki, dotychczasowy redaktor naczelny partyjnej gazety w mieście wojewódzkim, odchodzi na placówkę do Jugosławii. Jego następcą zostaje Janusz Doliński, zajmujący się dotychczas problematyką międzynarodową.

Szablicki spojrzał na zegarek: dochodziła dwudziesta pierwsza; postanowił jeszcze wstąpić do pobliskiego klubu, w którym zwykle gromadziła się tzw. elita kulturalna.

— O, co za rzadki gość! Prosimy, prosimy, panie redaktorze! — Portier pomagał zdjąć płaszcz.

— Ja tylko na chwileczkę. Zobaczę, czy nie ma nikogo ze znajomych.

— Są, są, jakby było inaczej! Ale słyszałem, że pan redaktor opuszcza nas na dłużej? Bardzo, bardzo żałuję!

— Już dość się nasiedziałem. Czas się trochę przewietrzyć.

Rozejrzał się po sali. Jego też dostrzegli. Kierowniczka klubu wyprzedziła innych:

— Witamy redaktora w naszych skromnych progach. Co to? Wizyta pożegnalna?

Jemiołek, kierownik działu łączności z czytelnikami, już sobie nieco podpił:

— Szefie, jak to dobrze, że ja szefa widzę. Szef był dla mnie zawsze jak ojciec, teraz zostałem się za półsierotę.

— A kogo uważacie za matkę?

— Partię kochaną. Ale szanowna mamusia ma pewne kłopoty. Żebym się tylko nie przeobraził w kompletnego sierotkę!

— Pochlaliście zdrowo, Jemiołek. Dobrze, że to przestało mnie obchodzić.

— A co to nie wolno? Już po godzinach urzędowania. Wódzia jest zresztą dla ludzi. Kto popiera monopol, ten popiera państwo, no nie? Dobrze mówię.

W uwolnieniu się od objęć Jemiołka pomógł Szablickiemu Jabłoński, sekretarz podstawowej organizacji partyjnej przy redakcji. Barczysty, o pucołowatej twarzy, na pozór dobrotliwy, ale zawzięty przy bliższym poznaniu. Ktokolwiek nacisnął mu na odcisk, ten długo potem pamiętał ten nierozważny krok. W redakcji zajmował się problematyką ekonomiczną, ale jego prawdziwą pasją była literatura. Napisał kilka powieści, które nie spotkały się z większym oddźwiękiem, ale pozwoliły mu zdobyć członkostwo Związku Literatów Polskich. Szczycił się tą legitymacją ZLP przy każdej okazji. Sporo zarabiał na spotkaniach autorskich. Szablicki ciągle nie mógł zrozumieć, dlaczego właśnie jego, zresztą nikłą większością głosów, wybrano na sekretarza. Podświadomie czuł, i nie mylił się, że chciano sprawić psikusa, wybrać kogoś, kto wobec kierownictwa redakcji nie będzie zbyt uległy.

— Wypijemy po małej czystej? — zapytał teraz Jabłoński i nie czekając na odpowiedź posadził gościa przy wolnym stoliku, po czym podszedł do bufetu.

— To jest ta małą czysta? — Szablicki wskazał palcem na kieliszki.

— Taka średnia. Przyniosłem po setce, żeby dwa razy nie chodzić. Dobrze nam się razem współpracowało, należałoby więc godnie się pożegnać. Może załatwisz mi jakieś tłumaczenie w Jugosławii? Ostatecznie moje powieści tkwią w rzeczywistości. No, to co? Po połowie! Na zdrowie!

Przechylili, choć gdy Jabłoński wypowiedział słowa „po połowie", Szablicki gotów był sądzić, że ten proponuje mu połowę honorarium za załatwienie sprawy.

— Nie wiem — kontynuował Jabłoński — jak mi się będzie współpracowało z Dolińskim. To bardzo uparty facet, zawsze chce postawić na swoim. Gdybym był sekretarzem Połtawskim, zaangażowałbym się raczej po stronie Rychlika.

— A o sobie nie myślałeś?

— Żartujesz? Mój czas jeszcze nie nadszedł.

— A nadejdzie?

— Powiem ci brutalnie, że nie można tego wykluczyć. Doliński jest dla mnie człowiekiem przejściowym. A czy wiadomo zresztą jaki los czeka nasz kraj? „Solidarność" już pokazała pazurki, kiedy stanęła sprawa z rejestracją. Mały kot ma małe pazurki, tygrys większe, a lew...

— Czarno widzisz!

— Może i czarno, ale Polska jest za mała, aby mogło w niej panować coś na kształt dwuwładzy. Sięgnij do Lenina. No, pod drugą nóżkę! Kiedy wyjeżdżasz do Belgradu?

— Za jakiś tydzień, może dwa. Na razie wybieram się sam, rozejrzę się.

— Wygrałeś los na loterii! Opijesz się śliwowicy.

— Nie lubię tego trunku. Jak pić, to tylko czystą. Pozwolisz, że się zrewanżuję?

— Zrewanżujesz się w Belgradzie, ja nie frajer. Dałeś mi zresztą tę premię za artykuł o budownictwie.

— Kolegium przyznało ci premię.

— Kolegium, nie kolegium, zresztą kolegium to ty. Grunt, że wpadło trochę grosza. Wezmę po śledziku na zakąskę.

Gdy odszedł do bufetu, przy stoliku zjawiła się Iwona. Też była lekko podchmielona.

— Nie poznajesz starych znajomych? Zważniałeś, jak idziesz w „ambasadory". Można przy was klapnąć na chwilę?

Nie wypadało mu zaoponować.

Iwona należała do stałych bywalczyń klubu. Przesiadywała tu całymi godzinami, zawsze chętnie garnęła się do towarzystwa, zwłaszcza takiego, które trudno było zaliczyć do abstynentów. Piła wszystko, co było w zasięgu ręki, wszystko, co miało choć kilka procent alkoholu. Panowała powszechna opinia, że to właśnie ta miłość do Bachusa stała się bezpośrednią przyczyną jej rozejścia się z mężem. Nie wyglądało jednak, a może tylko udawała, aby się tym zbytnio przejęła. Jej mieszkanko na trzecim piętrze wieżowca niejednokrotnie gościło amatorów mocnego trunku. Oczywiście pod warunkiem, że goście ów trunek przynieśli ze sobą.

Szablicki był tam też kilkakrotnie, raz nawet zabalował tego i rano obudził się w ramionach Iwony. Wspominał ową noc jako męską przygodę, nie pierwszą i zapewne nie ostatnią w jego dość bujnym życiu. Początkowo obawiał się nieco przydługiego języka partnerki, ale na szczęście te obawy okazały się płonne.

Jabłoński wrócił z trzema setkami, zorientował się bowiem, że Iwona zajęła miejsce przy stoliku na dłużej.

Stuknęli się wszyscy jak dobrzy znajomi.

— Krzysiek — powiedziała patrząc na Jabłońskiego — byłby dobrym zaopatrzeniowcem. Nie zrewanżuję się wam dzisiaj, bo jestem bez grosza

— A kiedy ty masz pieniądze? — zaśmiał się ekonomista-literat. — Pierwszego oddasz długi z poprzedniego miesiąca i znów jesteś na zero.

— Biorę teraz pożyczkę, martw się lepiej o siebie! Twoją ostatnią powieść schlastała „Literatura".

— Dobrze, że się o niej w ogóle mówi! Najgorsze to milczenie. A patrzyłaś, kto pisał recenzję. Ten chłystek! Sam niczego w życiu nie napisał i nie napisze.

— Ty też niczego nie napiszesz... — Iwona pod wpływem większej dawki alkoholu stawała się agresywna. Szablicki starał się załagodzić nastrój, ale Iwona mu przerwała.

— Bronek, nie odzywaj się, bo ci przypomnę, co mówiłeś o tych „Zajęczych wargach" Krzysztofa.

— Co mówiłem? Pewne partie mi się nie podobają, ale całość...

— Przestań gędzić, dajmy jednak odpocząć literaturze, czy pseudoliteraturze — poprawiła się. — Cóż wam jeszcze powiedzieć? Wstąpiłam do „Solidarności". Dosyć mam tego burdelu w szkole. Dyrektorka się szarogęsi, całe grono pedagogiczne rozstawia po kątach i myśli, że do niej świat należy.

— A dużo was wstąpiło? — zapytał Jabłoński.

— Połowa. Równa połowa. Druga ostała się w związku nauczycielskim, tym starym. No i ci starsi do nas nie przyszli.

— Ty też do najmłodszych nie należysz!

— Ale i do najstarszych również.

— Działałaś kiedyś w zetemesie...

— A co to ma wspólnego? Przez pewien czas byłam również kandydatem partii.

— Ale skreślili cię, bo nie płaciłaś składek!

— A z czego miałam płacić?

— Wódka była ważniejsza — odgryzł się Jabłoński.

Szablickiego nudziła już ta rozmowa. Spojrzał na zegarek.

— Na mnie już czas. Dziękuję za miłe towarzystwo.

— Zaprosisz nas do Belgradu? Gdzie on tam zaprosi! Jaśka weźmie go za twarz, będzie chodzić jak na sznurku, nie da mu wydać ani jednego dinara. Dinar to prawie dewizy, no nie? Bogaczem będziesz! Ale — dodała ściszając głos — należało ci się. Utrzymać w ryzach taką bandę redakcyjną to sztuka. Jak sądzisz, Doliński da sobie radę?

— Jeśli Jabłoński pomoże... — zabrzmiało to ironicznie.

*

— Pani Mirko, może nas pani poczęstować herbatą?

Siedzieli w trójkę, Doliński, Rychlik — zastępca i Bocianowicz — sekretarz redakcji. Ten ostatni, najmłodszy w tym gronie, niedawno awansował, przedtem był kierownikiem działu kulturalnego. Znał świetnie język polski i to chyba zadecydowało, że powierzono mu tak odpowiedzialne stanowisko. Zresztą Rychlik miał już dość adiustacji i ciągłej walki o przecinki.

— Herbatę mogę podać, ale są kłopoty z cukrem.

— Szablicki nic nie zostawił?

— Redaktor — poprawiła — Szablicki miał swój cukier, trzymał go w tym pudełeczku po kawie. — Zajrzała doń. — Niestety, puste.

— Zabrał z sobą ostatnie resztki — zarechotał Rychlik, ale nikt nie poszedł za jego przykładem.

— Ja mam cukier. Pożyczę na wieczne oddanie — zaproponował Bocianowicz.

— Dziękuję, w przyszłości się zaopatrzę, masz u mnie cukier jak w banku! Pani Mirko — dodał zwracając się do sekretarki — proszę mnie teraz z nikim nie łączyć i nikogo tu nie wpuszczać. Musimy porozmawiać.

— Tak jest, panie redaktorze. A gdyby dzwonił Pierwszy lub ktoś od niego?

— To oczywiście jestem, choć nie sądzę...

— Poprosiłem was — powiedział Doliński, gdy zostali sami — by zastanowić się, jaka jest sytuacja w naszym zespole.

— Taka sobie. Powstał komitet założycielski „Solidarności". Chcą założyć u nas koło, czy komisję, nie wiem, jak to się dokładnie nazywa — poinformował Rychlik.

— W redakcji?

— W redakcji, a gdzie, na Księżycu? Mają pełną swobodę działania, nie można im tego zabronić.

— Kto jest w tym komitecie założycielskim?

— Pięciu dziennikarzy, maszynistka, goniec.

— A ktoś z kierowników?

— Owszem, Jemiołek.

— Jemiołek?

— Twierdzi, że jako kierownik działu łączności z czytelnikami, czyli po naszemu — listów, zna najlepiej sytuację.

— Dobrze, kto jeszcze?

— Michałek, Ciężki, Kostkiewicz i Czaplówna.

— Wszystko nabytki Szablickiego.

— Ale niektórych protegowano! Żebyś wiedział, kto się za nimi ujmował!

— Sekretarz Gnatowski?

— Nie tylko. Ojciec Michałka to stary zbowidowiec, był ranny podczas walk z bandami. Otrzymał Komandorię.

— Ale młody Michałek nie ma nic.

— Ma Brązowego Janka Krasickiego. Za działalność w zetemesie.

— Mniejsza z tym. No i co zrobimy?

— Nic. Zwołują zebranie organizacyjne, zapraszają wszystkich dziennikarzy, ma też przyjść ktoś z zarządu regionu.

— Zobaczymy, co z tego będzie. Jak sądzisz, ilu od nas może się zapisać?

— Kto wie... — Rychlik jakby liczył w pamięci. — Z dziesiątka chyba się uzbiera.

— Czyli jedna piąta zespołu.

— A jeśli jedna czwarta?

Pani Mirka przyniosła herbatę, Bocianowicz wyskoczył po cukier. Wrócił, mitygując się:

— Nie wiedziałem, że tak mało. Musieli mi podebrać... Ale po łyżeczce będzie.

— Wystarczy. Na czym to ja skończyłem... Jedna piąta, jedna czwarta... Tylko spokojnie... Kostkiewicz też jest w partii?

— Ciągle kandydat.

— Tak... A co nowego w kraju? Są jakieś meldunki z KC?

— Są. Strajki w kopalni „Wujek" i w hucie „Warszawa". Jagielski i Bafia przyjęli Bujaka, przewodniczącego „Mazowsza". Zakończył się strajk w siedzibie WRZZ w Radomiu. Dzisiaj Kania spotyka się z kierownikami wydziałów KC, w Warszawie jest też narada prezesów wojewódzkich związków spółdzielni rolniczych „Samopomoc Chłopska". Normalka. Radzimy i radzimy. Przegadamy tę naszą Polskę.

— Który to dzisiaj? Żyjemy tak z dnia na dzień, że już tracę orientację.

— 28 listopada.

— Cholera, jak ten czas leci! Nie obejrzymy się, a będzie Sylwester. Wybieracie się gdzieś?

— A masz coś do zaproponowania? — zapytał Bocianowicz Dolińskiego.

— Gdzie tam! Siedzę w domu, możemy się ewentualnie spotkać i wspólnie wychylić szampana!

— Jak się uda kupić. Chyba, że za dolce. Ty, Januszku — zwrócił się do nowego szefa Rychlik — chyba wcale nie zaglądasz do sklepów? Coraz bardziej puste półki. Przedtem były tylko puste haki. Po diabła zbudowaliśmy tyle szatni?

— Ponury dowcip!

Zadźwięczał dzwonek telefonu, spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

— Towarzysz Połtawski chciałby rozmawiać — Doliński usłyszał głos sekretarki.

— Cicho! — machnął ręką w kierunku kolegów. — Stary przy aparacie!... Tak. Jestem, towarzyszu sekretarzu... Tak... Tak... Rozumiem. Oczywiście, że spokojnie... Dobrze... Dobrze... Nie będziemy z tego robić sensacji. Dziękuję, dziękuję, towarzyszu sekretarzu.

— Co, co, co nowego? — Rychlik siedział jak na szpilkach.

— Mamy nowego wojewodę.

— Wróble o tym ćwierkały.

— Premier przychylił się, jak mówił Stary, do prośby Wolniaka i odwołał go ze stanowiska. Jednocześnie na wojewodę powołał... No, kogo?

— Ja stawiam na Stycznia — powiedział Bocianowicz.

— Że niby po grudniu przychodzi styczeń? Nie, nie zgadłeś!

— Ja na Skórnickiego! — zakrzyczał Bocianowicza Rychlik.

— Wygrałeś. Skórnicki pnie się do góry. Zaczynał jako przewodniczący powiatowej rady, potem wzięto go do aparatu partyjnego, a teraz wypuszczono na szerokie wody.

— Nie zazdroszczę mu. Może mieć kłopoty z „Solidarnością".

— To urodzony dyplomata! Pierwszy mówił, żeby nie eksponować tego na czołówce, proponował dać gdzieś w środku pierwszej kolumny.

— Od kiedy to Połtawski zajmuje się redagowaniem pisma? Nie jesteśmy przecież organem... — odezwał się Bocianowicz i jakby sam przeraził się tych słów, bo dodał szybko: — Żartowałem oczywiście. Jesteśmy pismem PZPR. Wiadomość przyjdzie z PAP?

— Tak, może już jest. Trzeba, Michał zadzwonić do dalekopisów. Na razie bierzemy się do roboty. Wszystkie materiały, które są w tej zielonej teczce, przeczytałem. Co do dwóch mam wątpliwości. Pozwólcie, że te teksty jeszcze zatrzymam. Wydaje mi się, że mamy za mało materiałów mówiących o ludziach, nasi za bardzo przylgnęli do biurek. Nikt im przecież ich nie zabierze! Ja wiem, że najprościej jest zbierać informacje przez telefon, ale my tak daleko nie ujedziemy. Nie te czasy!

— Założę się — powiedział Rychlik — że wśród tych zatrzymanych tekstów jest ten, który wyszedł spod pióra Michałka.

— Zgadłeś po raz drugi. Ale cieszę się, że się rozumiemy.

— Szefie, do usług!

— Przestań z tym szefem!

— Ja tylko żartuję!

— No myślę, ale nie lubię takich żartów. Zygmunt, wśród tekstów — spojrzał wymownie na Rychlika — co do których mam pewne wątpliwości, jest i twój.

— A co chcesz od niego? Słuszny politycznie.

— Słuszny, ale takim językiem nikogo dzisiaj nie przekonamy. Przepraszam cię, chciałbym być dobrze zrozumiany...

— Oczywiście... — Rychlik spochmurniał, ale z kolei Bocianowicz jakby się rozpogodził.

— Przyszła kryska na matyska — zażartował, ale Doliński skarcił go wzrokiem.

— Mnie chodzi wyłącznie o dobro pisma. Chciałbym, aby w tym względzie nie było między nami żadnych niedomówień.

Gdy tylko zniknęli za drzwami, weszła do pokoju Mirka.

— Redaktorze, czeka na pana interesant.

— A któż to taki? Nie może przyjąć go Rychlik?

— On chce rozmawiać tylko z naczelnym. To ktoś z zarządu „Solidarności". Przyjmie go pan?

— Przyjmę. Co mam robić? Ale, chwileczkę... Może pani zabierze przedtem te szklanki.

— Podać herbatę?

— Po co? I tak już nie ma cukru...

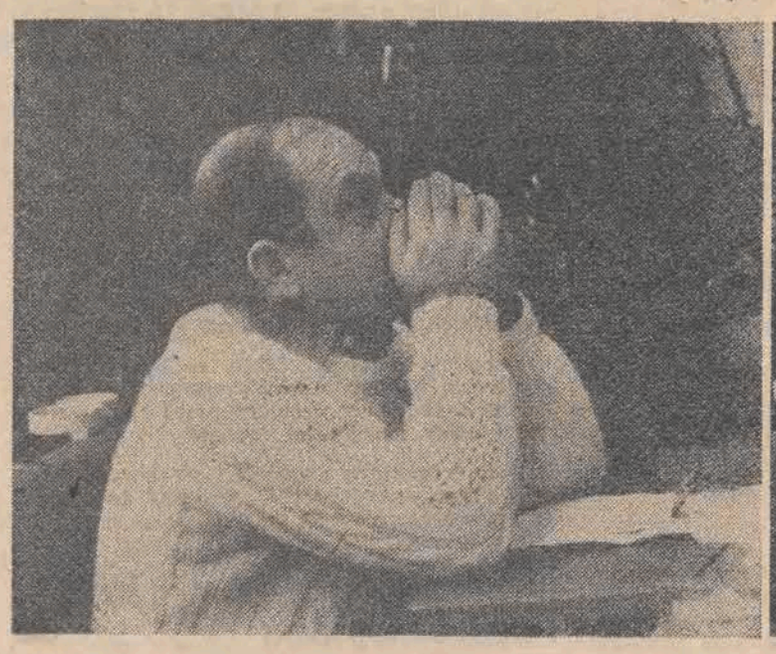

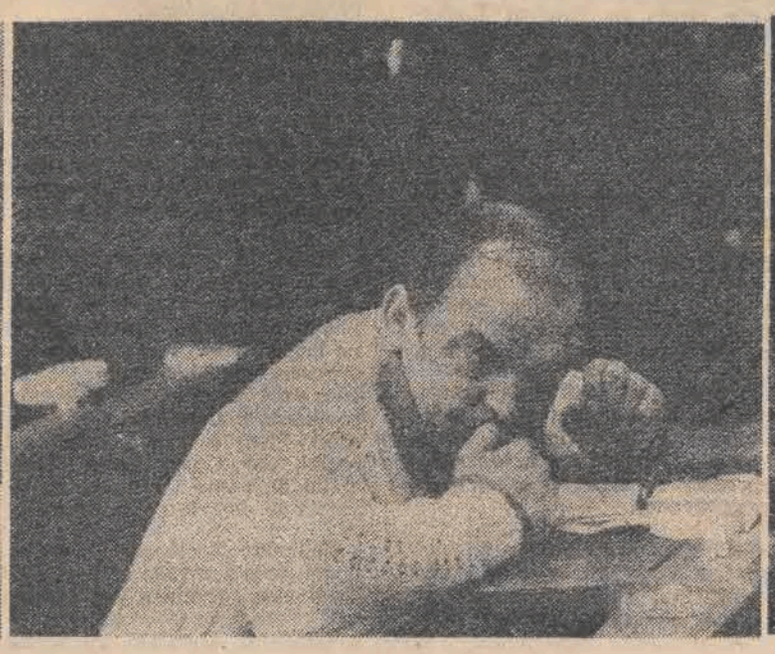

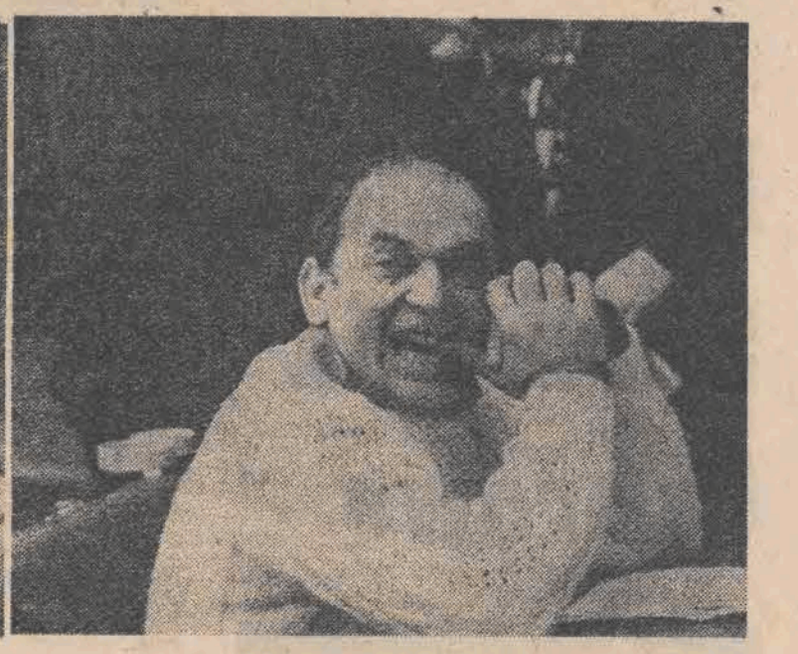

Podobno każdy z nas jest aktorem...

Z Waldemarem Wilhelmem rozmawia Bohdan Gadomski

Tegoroczne egzaminy wstępne na Wydział Aktorski PWSFTviT w Łodzi prowadził obok dziekana Michała Pawlickiego opiekun nowego pierwszego roku — znakomity pedagog, ceniony reżyser teatralny, specjalista od ruchu scenicznego i szermierki (twórca układów pojedynków w „Potopie") WALDEMAR WILHELM.

Przyjmując niejako odpowiedzialność za wybranych drogą konkursowej eliminacji studentów sztuki aktorskiej — szczególnie wnikliwie i bardzo pracowicie przyglądał się i badał ich propozycje-produkcje.

Odnotowując tegoroczne egzaminy na łamach „Odgłosów" rozmawiamy z Waldemarem Wilhelmem o ich przebiegu, bohaterach, wymogach, prognozach i oczekiwaniach.

Dedykujemy wywiad nie tylko tym, którzy zdawali na Wydział Aktorski, ale i tym, którzy wybierają się tam w najbliższych latach.

★ ★ ★

— Które to już egzaminy wstępne na Wydział Aktorski PWSFTviT obserwuje pan z pozycji pedagoga-egzaminatora?

— W szkole pracuję 24 lata (od 1959 roku), jako egzaminator zasiadałem za stołem „naście" razy, ostatnio prowadziłem zdjęcia filmowe. Jestem jedynym pedagogiem, który po raz czwarty obejmie prowadzenie I roku.

— Były zapewne lata obfitujące w talenty i lata bez rewelacji?

— Myślę, że nie można tego tak rozpatrywać. Od dłuższego czasu obserwujemy pewien spadek poziomu zdających pod względem ograniczonej świadomości wyboru zawodu, przygotowania i wiedzy ogólnej. W większości ci ludzie nie bardzo wiedzą czego się po nich oczekuje i po co do nas przychodzą, na co wskazuje brak podstawowych predyspozycji do zawodu aktora i nieznajomość obowiązujących kryteriów. Należałoby więc coś zrobić w tej materii, może wrócić do starych, sprawdzonych tradycji.

— Talenty odkryte na egzaminach wstępnych okazywały się nimi podczas 4-letnich studiów i po dyplomie?

— I tak, i nie. Problem jest szalenie złożony, każdy przypadek jest indywidualny i każdy przykład jest inny. Składają się na to różne względy: życie rodzinne, trafienie do odpowiedniego zespołu teatralnego, ciekawy repertuar, dyrektor. Coraz trudniej jest trafić na wszystkie te elementy w pozytywnym znaczeniu dla rozwoju aktora. I oczywiście łut szczęścia, który w zasadzie zamyka problem. Natomiast można się zastanawiać — czy sposób rekrutacji na studia aktorskie jest słuszny, czy nie należałoby rozszerzyć terenu penetracji. Kiedyś, poza uczelnią istniały zespoły kwalifikujące do drugiego etapu konkursu. Wstępny dobór. Były obozy po I eliminacjach, na których pedagodzy spotykali się z kandydatami już wybranymi do dalszych egzaminów i poznawali ich dokładniej niż podczas krótkich spotkań na sali. Były więc równe szanse dla wszystkich. Teraz trudno jest się porozumieć z kandydatami, którzy nie wiedzą o co w tym wszystkim chodzi. Było więc mniejsze niebezpieczeństwo pomyłek, a wiadomo, że jesteśmy omylni.

— Przeciętności z predyspozycjami aktorskimi, które też przyjmujecie pozostawały nimi, czy też rozwijały się i błyszczały?

— Bardzo często rozwijały się i przebijały talenty. A szczególnie ci z ostatnich miejsc na liście, którzy przechodzili minimalną ilością punktów. Talenty często wierzą w swój talent i przestają pracować. I odwrotnie — poprzez pracę odkrywa się to, co tkwi w człowieku. Zresztą podobno każdy z nas jest aktorem, tylko okoliczności powodują, że zostają nimi inni.

— Zna pan jakąś receptę, regułę na trafione prognozy odnośnie kandydatów na aktorów?

— Nie ma takich reguł i recept, jest to w każdym wypadku ryzyko. Tylko raz decydujemy się je podjąć, a raz nie. Często ułamek sekundy, jakiś błysk, jedno zdanie, jedna reakcja decyduje i utwierdza w przekonaniu, że podejmujemy to ryzyko. Wbrew powszechnym opiniom, że trzeba dużo umieć przychodząc do szkoły teatralnej! To polega nie na sposobach, lecz na autentycznych reakcjach w procesie mówienia, działania, gdzie do głosu dochodzi „ja" kandydata oraz na informacji o impulsach płynących ze strony komisji.

— Mając tak duże doświadczenie i rozeznanie w tym co dobre, a co złe u kandydata może pan prognozować prawie bez pomyłek?

— Ryzyko pomyłki istnieje zawsze, doświadczenie zmniejsza tylko procent ryzyka. Może nie należałoby o tym mówić, ale jest to pewien procent w przypadkach szczególnych, myślę o „intuicji". Dzięki niej wyczuwamy pewne predyspozycje, choć nie mamy na to dowodu, po czym należy te elementy sprawdzić, szczególnie na II eliminacjach, gdzie mamy okazję poznać się z kandydatem przez kilkadziesiąt minut. A mamy już wyniki ze wszystkich innych egzaminów.

— Co nazywa pan talentem aktorskim?

— Nie bardzo wiem — co to jest talent, natomiast jeśli mówimy o wielkim talencie, to musi być olbrzymia siła charakteru, woli, która pozwala rozpoznawać w sposób ciągły wrodzone predyspozycje. Nie wolno choć na moment zatrzymać się w rozwoju. W przyrodzie jest tak, że wszystko co rośnie szybko, jest nietrwałe, co łatwo przychodzi nie przedstawia wartości, stąd nie wierzę w błyskotliwe odkrycia i gwiazdy. To nie są gwiazdy, to efemerydy. Jeśli prześledzimy prawdziwe kariery aktorskie, to one bardzo powoli szły do góry. Miały wszystko ugruntowane, nie było możliwości spadania. Rządzą tu te same prawa co w każdej dyscyplinie twórczej.

— A co nazwie pan tylko predyspozycjami kwalifikującymi do uprawiania tego zawodu?

— Składa się na to kompleks podstawowych kryteriów: dyspozycje muzyczne, słuch, głos, pamięć muzyczna, ruch, ogólna sprawność fizyczna, które przenikają się nawzajem. Aparat mowy, szczególnie ostatnio zaniedbany. Od tego trzeba zacząć: prawidłowa artykulacja, emisja głosu, bo tym pracuje całe życie aktor. W olbrzymim procencie kandydaci nie zdają sobie z tego sprawy, a braki w tym względzie eliminują kandydata.

Druga sfera — trudniej uchwytna, mniej zbadana to sfera wykonawcza. Sporo w tej materii nieporozumień, tak, że czasami nie wiemy — czy instrument nie strojony czy się muzyk myli. Łatwiej jest kształcić instrument, bo efekty tego mamy natychmiastowe. Sfera druga jest o wiele trudniejsza i nie ma w Polsce tradycji. To technika wewnętrzna (sygnał o czym mówię), to, co tak wspaniale mają opanowane aktorzy radzieccy i amerykańscy. Niestety, tym się u nas nie zajmujemy.

— Jak było w bieżącym roku: czy pojawiły się talenty czy raczej dominowały — jak w ostatnich latach — przeciętności na wyrównanym poziomie?

— Nie używam terminu „talent", na pytanie odpowiem nie wprost: zbyt mała była grupa osób, wśród których chcielibyśmy wybrać najlepszych. Myślę, że odpowiada to sytuacji, jaka w ogóle istnieje dziś czyli zainteresowaniu młodzieży teatrem i tym zawodem. No cóż, ryzyko uprawiania tego zawodu jest duże, a zdający nie mają o tym pojęcia. Ktoś kto bliżej interesuje się teatrem, sytuacją aktorów, wybiera inny kierunek studiów. Dlatego z zazdrością obserwuję egzaminy do AM, PŁ, gdzie zdaje wspaniała młodzież. U nas znamienne jest, że świadectwa maturalne zdających są bardzo przeciętne.

— Ilu kandydatów przesłuchaliście w tym roku?

— Około 180.

— Ilu wybraliście do drugich eliminacji?

— 35: 18 chłopców i 17 dziewcząt.

— To wyjątkowo ostra selekcja?

— Owszem, dlatego, aby bliżej i głębiej przyjrzeć się tym kandydatom co do których można mieć nadzieję, że nadają się do kształcenia i mieć dla nich więcej czasu. I to co już powiedziałem: za mało było dobrych, żeby wybrać najlepszych.

— Egzamin główny w drugiej eliminacji (proza, monolog, wiersz, scenki aktorskie) i ok. 40 minut na jednego kandydata przyniósł zapewne jeszcze inne spostrzeżenia?

— Owszem, doszła piosenka, która w paru przypadkach zmieniła obraz kandydata, np. głos okazywał się mniejszy niż w sali muzycznej, gdzie był większy pogłos. W paru przypadkach kandydaci wykazali formę zwyżkową, ale kilku obniżyło poziom, na co złożyło się wiele czynników. A jest to również sprawdzian predyspozycji psychicznych, nierozerwalnie związanych z tym zawodem, często decydujących o sukcesie w tym zawodzie. Odporność psychiczną można wykształcić, ale to wyjątkowo trudne. Znam kilku znakomitych aktorów, którzy nie mają jej do tej pory.

— Bywa, że świetni, lecz zdenerwowani kandydaci nie wytrzymują napięcia i przegrywają. Co wtedy robicie wy, pedagodzy-selekcjonerzy?

— Każdy z przypadków rozpatrujemy indywidualnie i oczywiście staramy się zbadać przyczynę obniżania poziomu kandydata. Niekiedy jest to znak, że nie są to predyspozycje, o które chodziło. Bywa, że w pierwszej eliminacji kandydat zaprezentuje maksimum swoich możliwości, a w drugiej, po podniesieniu poprzeczki — nie przeskoczy jej. Nigdy nie mamy pewności do końca, że to tak jest, pozostaje margines wątpliwości, stąd obserwowanie na innych przedmiotach lub dodatkowe rozmowy. Np. egzamin z literatury odbywa się wobec całej komisji, aby przypatrzyć się kandydatowi.

— A wszystko to co rozgrywa się na sali wywołuje także i u was stresy i poczucie ogromej odpowiedzialności za los młodego człowieka. Jak duży u pana i w czym się przejawiający?

— Najchętniej nie uczestniczyłbym w tym akcie, szczególnie bolesny jest moment, gdy w sytuacjach, kiedy trudno się porozumieć, dotrzeć do kandydata, trzeba zadziałać bardzo ostrym bodźcem. Może nawet zadając „ból", który ma spowodować reakcję. Wtedy — jak w medycynie — wstrzykujemy bakterie, które mają zadziałać, spowodować uodpornienie organizmu. Delikwent nie jest zorientowany jaki cel przyświeca temu zabiegowi. Mówimy o przypadkach wyjątkowych, z tym, że trzeba wiedzieć — kiedy można zastosować szczepionkę, bo słaby organizm możemy zarazić, spowodować załamanie, a nie pobudzenie.

— Jak więc dociera pan do tych miejsc u kandydatów na aktorów, które są najczulsze i często uparcie skrywane?

— „To już tajemnica zawodowa". To żart, pomaga doświadczenie wieloletniej pracy.

— Jacy byli tegoroczni kandydaci?

— Dziewczęta w wieku 18—20 lat zawsze są bardziej dojrzałe psychicznie i fizycznie od chłopców, o większej świadomości, o bardziej sprecyzowanym poglądzie na życie. Jeśli chodzi o urodę nie było najlepiej.

Chłopcy w wieku 19—23 lat są mniej dojrzali psychicznie, ale młodość to przecież również walor. Bardzo zróżnicowani pod względem poziomu, wiedzy humanistycznej. Duży procent absolwentów szkół zawodowych, co decydowało niestety o poziomie.

— Podobno w tym roku zmieniliście kryteria i wymagania. Na czym ta zmiana polegała i czy się wam sprawdziła?

— Szczegółowo badaliśmy to co nazwałbym instrumentem, a więc aparat mowy, głos, słuch, sprawność fizyczną. Wszystko to po to, aby uniknąć w przyszłości nieporozumień w trakcie szkolenia i w zawodzie. Jeżeli ktoś nie podoła na I roku, bardzo ciężkim i selekcyjnym, musi odpaść. Można dyskutować o „talencie", natomiast warsztat i sprawność instrumentu nie może podlegać dyskusji.

W II eliminacji zaczynamy oglądać wybraną grupę od początku, od zera, patrząc głębiej, wnikliwiej i w ostrej konkurencji. Finał to punkty, czyli obliczenia komputera. Decyduje ilość zdobytych punktów, pewne rzeczy są już poza nami.

— A w przypadkach kontrowersyjnych, wątpliwych, trudnych?

— Toczy się ostra dyskusja w gronie egzaminatorów, a nawet przeprowadzamy głosowanie.

— Jak prognozuje pan tych wybrańców, którzy znaleźli się w uczelni?

— Jeśli wytrzymają tempo tego biegu, a będzie duże, to mogą być prognozy optymistyczne.

— Wracając wspomnieniem do lat ubiegłych — miał pan na pewno podobne prognozy i nadzieje. Spełniły się?

— Marzenia mają to do siebie, że nigdy się nie spełniają do końca. Należy próbować.

— Będzie pan prowadził przez 4 lata nowy rok studentów sztuki aktorskiej. Czego oczekuje pan od swoich podopiecznych?

— Pasji, uczciwości i rzetelności w pracy. Rywalizując w tym biegu, będą uczestniczyć w walce szlachetnej i będą przyjaciółmi. Chcę kształcić indywidualności z umiejętnością pracy w kolektywie.

— A czego będzie pan wymagał?

— Dyscypliny, tej obowiązującej w działaniu zbiorowym oraz tej wewnętrznej u każdego, indywidualnie. Także wzajemnej tolerancji, która jest podstawą każdego zbiorowego działania. Oczekuję olbrzymiego wysiłku.

— Dla tej pracy rezygnuje pan z reżyserii?

— Coś za coś, niekiedy trzeba rezygnować z pewnych propozycji, jeżeli chce się być uczciwym w stosunku do innych i do siebie. Trudno wymagać od studenta, jeśli tych wymagań nie stawia się sobie. Studiujący w tej szkole muszą rezygnować z wielu radości i przyjemności, na które mogą sobie pozwolić studenci innych uczelni. To bardzo trudne, wyczerpujące i absorbujące studia.

— Kiedy dyplomanci PWSFTviT mówią w wywiadach o tym ile i co zawdzięczają panu, to chyba jest to miła rekompensata za trudy, nerwy i poświęcenie?

— Na to trzeba długo czekać.

— Za rok przyjadą do was kolejni kandydaci na aktorów z całej Polski. Co zaleciłby im pan już teraz, póki jest czas na przemyślenia i pracę nad sobą?

— Przede wszystkim, żeby dogłębnie zweryfikowali swoją decyzję i zdali sobie sprawę z tego jak olbrzymi wysiłek kryje się za tymi sekundami, minutami na ekranie filmowym, telewizyjnym lub w teatrze. Ile wysiłku, a niekiedy i łez składa się na ten moment, który nazywamy sukcesem i czy rzeczywiście są w stanie podjąć to ryzyko? Czy starczy im sił, wytrwałości i odwagi?

Jeśli tak, należy zacząć kształcenie tych cech w sobie od zaraz. Należy też odpowiednio wcześniej zapoznawać się z informatorem, gdzie można znaleźć ważne dane.

LIST Z WYBRZEŻA

Bałtyckie Spotkania Operowe

Wreszcie Trójmiasto ma imprezę, która po kilku latach może stać się wydarzeniem kulturalnym w skali europejskiej. Nie przesadzam ani na jotę. Rzeczywiście teraz, w roku czterdziestolecia PRL, pojawiła się szansa, że w Polsce odbywać się będzie festiwal, o szczególnym znaczeniu dla sztuki na Starym Kontynencie. Otóż, dzięki staraniom Ministerstwa Kultury i Sztuki, Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Gdańsku i Bałtyckiej Agencji Artystycznej zostały zorganizowane na Wybrzeżu, I Bałtyckie Spotkania Oper i Teatrów Muzycznych. W tej chwili impreza ta posiada jeszcze tylko zasięg krajowy, ale w przyszłości w Operze Leśnej mają gościć sceny operowe i muzyczne usytuowane w miastach bałtyckich.

Spotkania rozpoczęły się 23 czerwca i trwały aż do 21 lipca. Gdy piszę ten felieton jesteśmy w połowie przeglądu i już teraz można powiedzieć, że Bałtyckie Spotkania są imprezą nie tylko pożyteczną, ale także udaną artystycznie.

Ten maraton operowy jest znakomitą okazją, by bliżej przyjrzeć się polskiemu teatrowi muzycznemu, a jednocześnie daje licznym wczasowiczom, którzy nie bacząc na kapryśną aurę zjechali na Wybrzeże, możliwość obejrzenia wartościowych przedstawień.

Impreza istotnie jest gigantyczna — dziesięć teatrów i osiemnaście spektakli, a wśród nich „Manekiny" Rudzińskiego, „Skrzypek na dachu" Bocka, czy „Rzeka krzyczących ptaków" Brittena.

To ostatnie przedstawienie potwierdziło wysoką rangę Teatru Wielkiego w Poznaniu w polskim życiu muzycznym. Kościół św. Michała w Sopocie, gdzie zaprezentowano to osobliwe misterium był wypełniony po brzegi, a publiczność nadzwyczaj gorąco przyjęła występ poznańskich śpiewaków.

Przed rozpoczęciem Bałtyckich Spotkań, organizatorzy pragnęli, by większość przedstawień odbyła się w Operze Leśnej, która wreszcie zostałaby należycie wykorzystana. Idea była piękna, acz mało realna. Pogoda w pierwszych dniach Spotkań, jakby sprzysięgła się przeciwko entuzjastom teatru operowego i w rezultacie niektóre prezentacje trzeba było odwołać.

Myślę, że w przyszłości trzeba będzie pokazywać kolejne spektakle w zamkniętych salach — w Teatrze Wybrzeże, Muzycznym i oczywiście w gmachu Opery Bałtyckiej. Opera Leśna może być wykorzystana podczas uroczystości otwarcia imprezy, bądź też jako teren, gdzie odbywają się prezentacje pozakonkursowe, bądź spotkania z zespołami lub poszczególnymi wórcami. Piszę o tym z żalem, gdyż bardzo bym chciał, aby Opera Leśna, która od 1909 roku czeka na pełne i wszechstronne wykorzystanie, należycie służyła społeczeństwu.

Bałtyckie Spotkania Operowe są zdarzeniem dużej wagi i myślę, że organizatorzy przemyślą tegoroczny przebieg tej imprezy, by w roku przyszłym przygotować ją z jeszcze większym rozmachem. Uważam, że Spotkaniom powinna towarzyszyć sesja naukowa na temat współczesnego polskiego teatru operowego z udziałem czołowych naszych krytyków muzycznych. Dobrze także by było, gdyby Wydawnictwo Muzyczne zdobyło się na uruchomienie własnego stoiska, gdzie melomani mogliby nabyć interesującą ich literaturę. O płytach z nagraniami oper nie będę wspominał, gdyż wiemy, jakie trudności przeżywa nasz przemysł fonograficzny.

Jeszcze jedna uwaga — otóż, w tym roku po raz pierwszy spotykamy się podczas Bałtyckich Spotkań. Teatry przywiozły przedstawienia, których premiery odbyły się dwa, a niekiedy nawet trzy lata temu. Myślę, że w przyszłości do udziału w imprezie powinny być dopuszczone tylko te realizacje, które miały swoje premiery w ciągu sezonu poprzedzającego Spotkania. Jest to kryterium, które stosuje się na wszystkich właściwie liczących się festiwalach.

Osobiście uważam także, że w przyszłości Bałtyckie Spotkania winny przekształcić się w pokaz konkursowy, oceniany przez jury. Wzrosłaby wtedy ranga całej imprezy.

Przy wszystkich uwagach i obiekcjach jedno nie ulega wątpliwości — jesteśmy świadkami zdarzenia muzycznego, które może odegrać ważną rolę w polskim życiu kulturalnym i za to trzeba podziękować organizatorom, a przede wszystkim władzom województwa gdańskiego.

WIESŁAW NOWICKI

Polemiki • Listy • Opinie

MIĘDZY NAMI DYLETANTAMI: O ŻYWIOŁACH KULTUROWYCH I O ŻYCIU KULTURALNYM

Nic nie daje tak wspaniałego pola do popisu dyletantom, jak wszystko, co samokreśla się pojęciem kultury. Nieufny niech przeczyta chociażby programową „dyskusję" o kulturze politycznej Polaków w pierwszym numerze odrodzonego „Przeglądu Katolickiego", strony 5-7 (co prawda „dyskutanci" stosują tam raczej dyletantyzm historyczny, co jest skutkiem wąskiej specjalizacji XX wieku). Wtrącam i ja swoje trzy grosze, chociaż „Odgłosy" ostatnio też włączyły się w świętą wojnę z dyletanctwem, zwłaszcza gdy „co więcej — amatorska szarlataneria... przenosi się jak zaraza do publicystyki" (sic!) O wyniki końcowe tej wojny dyletant owszem może być spokojny i chyba właśnie ten spokój wkurza specjalistów od branż kulturalnych w szczególności.

Pamiętam, jak „Życie Literackie" w końcu ubiegłego roku rozpaczliwie przepowiadało Polakom bliską zagładę duchową i fizyczną, jeżeli nadal będą się upierać i nie zaczną czytać utworów literatury pięknej, chociażby klasycznej, jeżeli nie stać ich na współczesną. W tym samym numerze był też wspaniały pomysł teoretyczny, może i słuszny, w każdym bądź razie dostępny nawet umysłom dyletanckim, skoro sport (wyczynowy lub zawodowy) uważa się powszechnie za szczyt osiągnięć kultury fizycznej, to czemu prostytucja nie może być uważana za szczyt osiągnięć kultury miłosnej? Paralele organizacyjne i finansowe są namacalne, zainteresowanie publiczne i publicystyczne jest oczywiste; za granicą z kolei głośne są przypadki włączenia się wybitnych przedstawicielek najstarszego zawodu do kierunkowej działalności kulturalno-oświatowej. Rewelacyjność podobnych sugestii dyletanta owszem intryguje, ale nie bardzo — zrozumiałe bowiem są intencje i uczucia autorek i autorów. Dyletant zawsze pasjonuje się bardziej kwestiami zagadkowymi, które jego niewyspecjalizowany umysł ogarnia z trudem albo wcale. Na przykład udekorowanie znakomitego tenisisty (jak gdyby to samo po sobie nie wystarczało) tytułem Wzorowego Polaka. Pan Wojtek zripostował ten honor rzeczywiście bardzo inteligentnie, chociaż do superskromnych osobistości też nie należy, stawiając siebie w walce o postęp przed papieżem; Ronald Reagan po przeczytaniu tego wywiadu na pewno zadecyduje: Po wizycie Wojciecha Fibaka i ja mogę pojechać do Polski.

Kiedy człowiek się tak naczyta, nasłucha i napatrzy, to chcąc nie chcąc zaczyna się zamyślać, a cóż to takiego owa kultura — fizyczna bądź też osobista, polityczna czy użytkowa? Skąd się bierze? I za co? Gdzie się odkłada? I jak się ujawnia? Bardzo budująca jest pod tym względem, aczkolwiek nieco w swoim tytule smutna i rzeczywiście niebezdyskusyjna sugestia redaktora Romualda Karysia z tegoż „Życia Literackiego": Nie ma obecnie inteligencji... Trzeba być nie lada specjalistą, żeby uchwycić, czego w niej więcej — nostalgii stanowej czy zwykłego ludzkiego zakłopotania. Jedno jest pewne: wielu z epitetów, których pan redaktor odmawia dzisiejszym „pracownikom umysłowym", naprawdę im brakuje, i takiej inteligencji, która pasowałaby pod definicję ustępu drugiego, dzisiaj w Polsce niewątpliwie nie ma. Do tego pasuje jeszcze powierzchowna, dla specjalistów na pewno mało istotna, uwaga: takiej inteligencji nie było w Polsce nigdy, jak nie było jej też w żadnym innym kraju, ani jako stanu, ani tym bardziej klasy. Chodzi tu przecież o dobrze znany odłam arystokracji wespół z odwirowaną śmietanką innych stanów, klas, odłamu który siebie tak nazywał, chcąc zasugerować tym spośród i pod niektórymi względami, ponad kogo się wyłamał, że żyje z pracy umysłowej, gdy tak naprawdę żył z pracy cudzej podobnie jak każda aktualnie rządząca grupa społeczna, którą obsługiwał lub o względy której zabiegał. Bardzo słuszne jest końcowe, skądinąd już znane twierdzenie, że „Polska jest krajem ludzi pracy". Pewne wątpliwości budzi jednak zastrzeżenie wiekowe: czy rzeczywiście „od lat mniej więcej dziesięciu"? Czy ma to znaczyć, że rodzina królewska własnoręcznie zmontowała Wawel z kamieni poznoszonych przez okolicznych biskupów, a Wieliczka została wydłubana szablami co zdolniejszej szlachty? *No, no, to byłby dopiero fenomen na skalę galaktyczną.* Tylko że nie bardzo chce się w to wierzyć, mimo obfitości argumentów duchowo-intelektualnych, w rodzimych „Odgłosach" również. Och te argumenty — ot, choćby tegoroczne publikacje o tejże kulturze politycznej; obok wielu głęboko sprawiedliwych i bezspornych, przewodniczą nieraz na tyle naiwne co nielogiczne. Bo czymże, jak nie naiwnością jest intencja napędzanej przez partię zmiany charakteru społeczeństwa? Stawiać sobie też cel ustroju bezkryzysowego w byle jakiej części świata, a nie tylko w Europie Środkowej, może jedynie ktoś, kto nie czyta ani „Odgłosów", ani „Kuriera Polskiego".

Powyżej sklecony wstęp wydawał mi się potrzebny, żeby przejść do przypomnienia pewnych prawd, nie potrzebujących żadnego powoływania się na dzieła naukowe, bo oczywistych, mimo że ich zrozumienie, a raczej stosowanie nastręcza trudności natury indywidualnej.

Otóż kultura. Zbiera się pewne gremium — nie mówmy już (na razie lub w ogóle) skąd, gdzie i za co, to się i tak w końcu okaże — a „w pokoju już potwornie duszno, a dym z papierosów nie może się wydobyć przez komin i do końca nie wiadomo, czy popłynie ekstra-mocny... czy też Marlboro..." Czasem takie gremium decyduje o kulturze wyboru miss, a czasem też o wyborze „kultury" dla nas. Wygląda na to, że trzy „O" decyduje wciąż o poziomie naszych zjawisk kulturalnych — Oświata, Oczytanie, Ogłada. Ponieważ kultura, niezależnie od przymiotników przed i po, jest skutkiem p r a c y ludzkiej, a więc czymś namacalnym i dostrzegalnym, nic też złego, że właśnie powierzchowność najwyżej się ceni — gdyby tylko tak zwane środowiska twórcze (kulturo- i opinio-) nie zapominały o tym oczywistym fakcie, że żadnej kultury wcale nie tworzą, lecz tylko o d z w i e r c i e d l a j ą kulturę stworzoną przez konkretną pracę produkcyjną (nauka, sport, architektura, rzeźba) lub po prostu tę kulturę u d o s t ę p n i a j ą (literatura piękna i fachowa, muzyka, malarstwo, film, teatr itp.), i że swoją twórczą działalność prowadzą kosztem pracy produkcyjnej, będąc na utrzymaniu producenta chleba i gwoździ. Toteż istnienie każdej — wybitnej czy też przeciętnej — jednostki czy też skupiska artystyczno-informacyjnego tylko wtedy się opłaca społeczeństwu, kiedy bywa nie tylko dostrzegane i podziwiane przez szarego „konsumenta kultury" (a w istocie prawdziwego i bezpośredniego twórcę kultury wszelkiej), ale również spożywane czyli wdrażane w produkcję przysłowiowych chleba i gwoździ. W pozostałych przypadkach należy to odebrać jako wspaniałomyślny gest tego producenta ewentualnie przeoczenie z braku czasu lub znajomości sedna sprawy, albo i z musu. Kwestię zaś funkcyjności takich pojęć jak „inteligencja", „intelektualiści" spokojnie można odnieść do grupy zagadnień leksykologicznych, ponieważ dzisiaj jednak wspomniane trzy „O" nie przesądzają o kulturze osobistej i wartości wewnętrznej współczesnego człowieka. Wykrystalizowała się obecnie spora liczba odpowiedniejszych „atrybutów", wśród których wystarczy tu wymienić dwa najbardziej pospolite: palenie tytoniu i picie alkoholu. W świetle bowiem aktualnej wiedzy i informacji nie sposób zaliczyć człowieka palącego lub pijącego w poczet ludzi kuturalnych niezależnie od jego dorobku w jakiej by nie było branży, nawet w tak zwanej kulturalnej. Co więcej; jeżeli przyjąć, że stabilizacja kulturalna i intelektualna człowieka naszego kręgu kulturowego odbywa się w wieku 15-30 lat, zależnie oczywiście od przesłanek dziedzicznych, środowiskowych, płciowych i innych, to można z dużą wiarygodnością stwierdzić, że palenie tytoniu i picie alkoholu w wieku do 30 lat świadczy z reguły o braku kultury, natomiast po 30 roku życia świadczy to już o braku inteligencji, właśnie tej wrodzonej, typowo ludzkiej, i to niezależnie od osiąganego ilorazu testowego.

Nie dramatyzowałbym natomiast „bojkotowania" sztuki i literatury przez widza i czytelnika — bo to wcale nie musi świadczyć o zaniku kultury, a raczej odwrotnie, czasy bowiem się zmieniają. I nie tylko liczbowo. I nie tylko w polityce. I dobrze jest. Niestety.

JAN KAPŁAUCH

KOCI HORROR

Czytając „Koci horror" p. E. Bryla z przerażenia włosy stają dęba. Przecież to co „dzieci" (jeśli je można tak nazwać), a raczej zwyrodnialcy i może przyszli zabójcy, robią z biednymi i bezradnymi zwierzętami, to jest okropne.

Nie mniej zwyrodniałymi w tych przypadkach są również sąsiedzi jak i rodzice. Za taką bezduszność i bezmyślność — tych ostatnich powinno się surowo karać. Zrobić takiemu „rodzicowi" kolegium, niech zapłaci parę tysięcy, to wtedy może przez kieszeń „trafi" mu się do sumienia (jeśli taki jeden z drugim je posiada) i może w ten sposób inaczej spojrzą na poczynania swych „pociech".

Druga sprawa to schronisko. To przecież też chyba ludzie z „wielkimi odchyleniami", jeśli można nazwać ich ludźmi (a podobno człowiek — to brzmi dumnie). Tymi wszystkimi zwyrodnialcami powinny zająć się władze (wraz z lekarzem psychiatrą). Dlaczego nikt nic nie robi?

ANNA MARCINIAK
Łódź, ul. Wschodnia 31/4

PRZEKŁADY Z ESPERANTO

Zakończył się I Ogólnopolski Konkurs na Przekład Utworów Poetyckich Napisanych Oryginalnie w Języku Esperanto. Organizatorem konkursu była redakcja czasopisma „Pola esperantisto" i Esperancki Ośrodek Kultury „Orbita" w Poznaniu. Uczestnicy mieli za zadanie przełożyć trzy utwory poetyckie jednego autora, spośród jedenastu twórców wytypowanych przez organizatorów. Pierwszą nagrodę otrzymał Roman Kwiatkowski z Krakowa za przekład fragmentów poematu „Plemię w kolebce" oraz wiersza „Ewolucja" i „Anna" szkockiego poety-esperantysty Williama Auldа. Drugiej trzeciej i czwartej nagrody jury nie przyznało. Dwie równorzędne piąte nagrody otrzymali Izabela Sawoyka z Łodzi i Jan Kos ze Starego Sącza za przekład wierszy Alberta Goodheira.

Był to pierwszy tego typu konkurs w Polsce. Dotychczas tłumacze esperanccy współzawodniczyli jedynie w przekładach poezji polskiej na esperanto. Polska poezja jest zresztą bogato reprezentowana w języku międzynarodowym — od Kochanowskiego, Mickiewicza i Norwida po Różewicza, Poświatowską, Grochowiaka czy Miłosza. Warto wspomnieć, że wśród osób które tłumaczyły bądź tłumacza polską poezję na esperanto są.. Węgier Kalman Kalocsay i Anglik Christopher Ling.

Organizatorzy konkursu zamierzają zainteresować jego wynikami polską prasę literacką.

GWAŁT NIECH SIĘ GROŻBĄ GWAŁTU ODCISKA, CZYLI LIST DO PANI EWY KAWIARSKIEJ

Ma Pani Rację, Pani Ewo, wyrażając nieśmiała nadzieję, iż ludzi odczuwających podobnie jak Pani — wstrząsanych oburzających się i protestujących (w duchu!) wobec przejawów bestialstwa w odniesieniu do zwierząt (nie tylko kotów z „Kociego horroru" — E. Bryla) — jest więcej („Odgłosy" nr 28/84). Jest ich wielu, bardzo wielu; o wiele więcej, niż marzyć by się mogło. Jest ich (n a s) miliony! — Dlatego więc sprawą codzienną, zwykłą, „normalką" jest robienie z kotów żywych pochodni, pozostawianie psów przywiązanych drutem do drzewa w lesie, rozjeżdżanie samochodem wszystkiego co żywe na jezdni, przetrącanie szpakom skrzydeł, podrzucanie zwierzętom w ZOO przedmiotów ostrych i kłujących?

Dlatego, że chociaż mnóstwo niepoliczalne nas jest (myślę, że 99,99 procent populacji PRL), to wobec przejawów chamstwa i bestialstwa, zwłaszcza w wydaniu „niewinnych" dzieciąt, czujemy się bezsilni, rozbrojeni, ubezwłasnowolnieni. Tak „zaskoczeni", „zszokowani" etc. że niezdolni zaprotestować z d e c y d o w a n i e — nawet słowem! Tymczasem na agresję trzeba odpowiadać czymś porównywalnym (!) do agresji! Słowo, zwłaszcza dobre, nie trafi do kogoś kto przywykł był wykłuwać oczy szpilką, zrzucać z dziesiątego piętra, wypruwać flaki lub obdzierać ze skóry na żywca, zamieniać żyjące w żywa pochodnię. Takiemu do przekonania trafić może wyłącznie bat, knut i pałka, a może dopiero drzazga pod paznokciem; nożownika nic nie przekona, jak tylko nóż. Smutna prawda i tragiczna — lecz prawda.

Miłośnicy zwierząt są naprawdę „frajerami" i „mięczakami", z natury niezdolnymi do odpowiedzi agresją na agresję, a właściwie adekwatną r e p r e s j ą. Chociaż więc miłośników zwierząt, tj. ludzi rozumiejących czym jest słabość (psa i kota, a także dziecka, „nieprzystosowanego" i emeryta) — są miliony, to odnosi się wrażenie, jakby ich w ogóle nie było — ponieważ u s t ę p u j ą pola przed agresją, bestialstwem czyli tym, co zwykło się było nazywać „zezwierzęceniem" (a co mając wszystko wspólne z człowiekiem jako gatunkiem, H o m o s a p i e n s L., absolutnie nic nie ma wspólnego ze zwierzęciem — które to zwierzę nie zna okrucieństwa dla samego okrucieństwa, mordowania dla wyżycia się, zamanifestowania swojej siły, mocy i wyższości nad resztą istot żywych; zwierzę, owszem, zabija: lecz wyłącznie dla zaspokojenia głodu, zabijając — zwierzę nigdy nie m o r d u j e! Dzięki tzw. delikatności uczuć my, „miłośnicy zwierząt", tj. ludzie rozumiejący słabość skazani jesteśmy na przegraną. Nasza zaś przegrana, to przegrana wszystkiego, co słabe — niezależnie od tego, czy to słabe nazwiemy kocięciem-szczeniakiem czy dzieckiem, emerytem, kaleką, chorym, „wariatem".

Gdybyśmy byli w stanie użyć szpilki w oczy lub rozżarzonego papierosa w zadek przeciw młokosom (i „panienkom" także, oj także) — używającym właśnie szpilki w oczy lub wkładającym żagiew w krocze dziewczynkom (po zgwałceniu uprzednim), wówczas w ogóle nie byłoby problemu „kociego horroru". Lecz nie jesteśmy zdolni.

Przeto widzę ciemno tak przed nami, jak i przed tymi, którym współczujemy. I których chronić chcemy („chcielibyśmy").

Cel nie uświęca środków. To prawda. Jednak dobre słowo nie trafi do kogoś, kto nie rozumie słowa ludzkiego; perswazja, tak uczuciowa jak i intelektualna, odbije się od bydlaka, jak groch od ściany. Jeżeli naprawdę chcemy obronić sprawę, jaką jest humanizowanie stosunków w społeczeństwie, m u s i m y zacząć reagować ostrym (bezpardonowym!) sprzeciwem, potępieniem a także bezwzględnym sięganiem po sankcje, przewidziane ustawami społeczeństwa cywilizowanego, w odniesieniu do recydywistów bestialstwa. Gdybyśmy się zjednoczyli, a także zdobyli na konsekwencję i jednolity front, wówczas plemię recydywistów a także adeptów bestialstwa wymarłoby na oczach. Prawda jest bowiem taka, że liczba żywych pochodni kocich jest dokładnie odwrotnie proporcjonalna (w kwadracie) do naszego nabierania wody w usta, oburzania się w duchu, i skłonności do przebaczania i wyrzekania się sięgania po kij — na władających kijem.

A także nie uznających niczego, nad kij.

I tu powiem coś bolesnego; coś, na co Pani oburzy się: za „zezwierzęcenie" pewnego odłamu społeczeństwa odpowiedzialni są ni mniej, ni więcej, jak właśnie miłośnicy zwierząt — bo milczą, gdy należałoby krzyczeć; bo umywają ręce, gdy należałoby je zanurzyć po łokcie w gnoju i bagnie — w celu zmeliorowania bagna!

To, że Pani dziecko kocha zwierzęta, rzeczywiście nie stanowi żadnego pocieszenia. To dziecko bowiem m o ż e zmienić front dokładnie o 180 stopni wraz z latami, gdy zda sobie sprawę, że miłośników zwierząt, a szerzej rzecz ujmując — obrońców uciśnionych, stać jeno na biadolenia, pobożne życzenia i (co najwyżej) psioczenia (w skrytości ducha). Młodość ku czemu skłania się i czemu hołduje? — Ku sile, i sile — niestety, lecz prawda. Oto i jest przyczyna tak łez gorzkich jak biadoleń Matek i Ojców nad potomstwem swoim: najukochańszym, lecz zwykle (zawsze!) odpłacającym czarną niewdzięcznością, tj. zaprzeczeniem ideałom życiowym tak matki jak i ojca.

My, rozumiejący słabych, skonsolidujmy się, i zdobądźmy się chociażby tylko na protest (zdecydowany!) — głośny! — a zarliwie zezwierzęcenie, nawet bez potrzeby sięgania po bezpośrednie (a mierzące) środki represyjne. Nawet bowiem zwierzęta w ludzkiej skórze mir czują przed zdecydowaniem, wolą, i brakiem lęku. Wobec woli — podwijają ogony i czmychają. A o to właśnie chodziło(by).

Dziękuję Pani za jawny protest, Pani Ewo. Jednocześnie przepraszam za gorzkie słowa prawdy.

Jeżeli każdy z nas zaprotestuje, wzorem Pani, na swoim podwórku, wówczas zniknie problem „kociego horroru". Jeżeli tylko bez cienia wątpliwości damy do zrozumienia — my miliony! — że oprócz słów, jesteśmy zdolni sięgnąć po kij. — Właśnie dlatego, że całym jestestwem sprzeciwiamy się zawołaniu: „gwałt niech się gwałtem odciska". Wszak nie od dziś wiadomo, że nadmiar „delikatności uczuć" niszczy uczucia — staje się matką agresywności i bestialstwa: w społeczeństwie, ma się rozumieć.

Albowiem tylko w odniesieniu do społeczeństwa (ludzkiego) można mówić o bestialstwie — tj. o czymś, czego nie zna lew, tygrys, niedźwiedź, wilk a nawet hiena, nie licząc psa, kota, jeża, chomika. Radość i odczucie satysfakcji z bólu i cierpienia innych — znane jest wyłącznie człowiekowi. Bo tylko człowiek jest w stanie w y o b r a z i ć sobie, i o d c z u ć.

Żal, że wyobrażenia i odczucia nie znajdują ujścia w działaniu. Właśnie dlatego królem wydaje się być zbrodnia. Sadyzm! — Terminy, pochodne masochizmomi i zakłamaniu tak zwanych „miłośników zwierząt".

JAMNIK

„NA WELLINGTONACH I MOSQUITACH WALCZYLI LOTNICY 305 DYWIZJONU"

W moim artykule pt. „Na Wellingtonach i Mosquitach walczyli lotnicy 305 dywizjonu", drukowanym w „Odgłosach", w nr 28, z dnia 14 lipca 1984 r. wkradł się błąd, co prawda drobny, lecz mający znaczenie merytoryczne. W szóstym akapicie artykułu, zaczynającym się od słów: „14 marca 1942 roku...", w trzecim wierszu wydrukowano: „Wellington SM-9 nr Z8438" zamiast, jak w maszynopisie: „Wellington SM-B nr Z8438".

Proszę uprzejmie o spowodowanie wydrukowania małego sprostowania tej pomyłki, za co będę Panu Redaktorowi bardzo wdzięczny.

Kreślę się z szacunkiem

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

„SZEW" TO NIE „SZEF"

Przykro mi, że naprzykrzam się Redakcji „Odgłosów" dość licznymi „erratami". I znowu w numerze 28 tygodnika z 14 lipca br., w tekście „Wolała śmierć niż zdradę", w szpalcie pierwszej w wierszu piątym z góry, złośliwy chochlik drukarski, korzystając z nieuwagi Pań z korekty, zmienił wyraz „szef" na „szew". Wprawdzie „szew" fonetycznie może brzmieć jak „szef", ale w druku różnica jest zasadnicza.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

REGULAMIN

III Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Wł. St. Reymonta

Organizatorzy: RSW „Ruch" Oddział Wojewódzki w Płocku, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Płocku, Związek Młodzieży Wiejskiej — Zarząd Wojewódzki w Płocku.

§ 1

Poprzez konkurs organizatorzy pragną nawiązać do najlepszych tradycji piśmiennictwa polskiego traktującego o wsi.

Celem konkursu jest pobudzenie aktywności twórczej mieszkańców wsi i małych miast, zebrania bogatych informacji dotyczących kultury i życia wsi polskiej, jej problemów od chwili wyzwolenia aż po dzień dzisiejszy. W związku z przypadającą w tym roku 40 rocznicą wyzwolenia PRL pożądane są także utwory o wartościach patriotycznych.

§ 2.

Konkurs ma trzy kategorie:

1. poezja o charakterze wiejskim i patriotycznym jako kategoria główna.
2. małe formy prozatorskie (opowiadanie, nowela, reportaż) z preferencją dla tekstów o charakterze wiejskim i patriotycznym (objętość do 30 stron).
3. poezja o charakterze ogólnym.

W konkursie może wziąć udział każdy twórca, który w terminie do dnia 30 sierpnia 1984 r. nadeśle (w ramach przynajmniej jednej z trzech kategorii zestaw do 7 wierszy w 5 egzemplarzach lub utwór (utwory) prozatorskie (również w 5 egz.) pod adresem: **Związek Młodzieży Wiejskiej, Zarząd Wojewódzki, 09-400 Płock, ul. Bielska 59.**

§ 4.

Na konkurs należy nadsyłać utwory nie publikowane dotąd w wydawnictwach zwartych oraz nie nagrodzone w innych konkursach. Powinny być one opatrzone godłem, a nazwisko i imię oraz adres autora należy podać w osobnej zamkniętej kopercie, na której widnieje tylko godło.

§ 5.

Po dokonaniu oceny jury przyzna następujące nagrody:

1. w dziale poezji o charakterze wiejskim: I. 12.000,— zł, II. 9.000,— zł, III. 7.000,— zł oraz trzy równorzędne wyróżnienia po 4.000,— zł każde.
2. w dziale małych form prozatorskich: I. 12.000,— zł, II. 9.000,— zł, III. 7.000,— zł oraz trzy równorzędne wyróżnienia po 4.000,— zł każde.
3. w dziale poezji o charakterze ogólnym: I. 9.000,— zł, II. 7.000,— zł, III. 5.000,— zł oraz trzy równorzędne wyróżnienia po 3.000,— zł każde.

Oprócz nagród laureaci konkursu otrzymują pamiątkowe dyplomy.

§ 6.

Jury może dokonać innego podziału nagród i wyróżnień ze wszystkich trzech kategorii jeżeli uzna, że wymaga tego charakter i poziom nadesłanych prac.

§ 7.

Organizatorzy konkursu przewidują wydanie pokłosia konkursu w formie książkowej, jak również zastrzegają sobie prawo publikacji nadesłanych prac bez dodatkowego zezwolenia autorów.

§ 8.

Wręczenie nagród i wyróżnień laureatom konkursu nastąpi w I połowie grudnia 1984 r. o czym powiadomimy listownie.

Jak to dawniej bywało z olimpiadami

Dokończenie ze strony 1

proklamowano przywrócenie igrzysk olimpijskich oraz powołano do życia Międzynarodowy Komitet Olimpijski (MKOl), jako stałą organizację czuwającą nad prawidłowym rozwojem igrzysk. Pierwszym przewodniczącym MKOl został Grek Vikelas, ale już od 1896 r. funkcję tę pełnił Pierre de Coubertin, przez 26 lat, aż do 1925 r (w latach 1916—1919 przewodniczącym był Szwajcar de Blonay). Był on autorem podstawowych zasad neoolimpizmu.

Zgodnie z jego koncepcją igrzyska olimpijskie miały stać się manifestacją wolności jednostki i potępiać wszelkie przejawy dyskryminacji, miały być dostępne dla sportowców ze wszystkich krajów, bez względu na ich przynależność narodową, rasę, poglądy polityczne czy wyznanie religijne. Igrzyska powinny służyć umacnianiu pokoju między narodami, przyjaźni między sportowcami i stać się areną szlachetnego współzawodnictwa.

Pierre de Coubertin zmarł 2 września 1937 r. w Genewie. Pochowano go w Lozannie, a serce — zgodnie z jego ostatnią wolą — zostało umieszczone wewnątrz marmurowej steli w Olimpii.

Coubertin był głównym twórcą regulaminów MKOl. Napisał ślubowanie olimpijskie oraz przepisy uroczystości otwarcia i zamknięcia igrzysk. Zaprojektował emblemat olimpijski — 5 splecionych kół, symbolizujących związek pięciu kontynentów i sportowców całego świata w duchu szczerego współzawodnictwa i koleżeństwa. W 1928 r. otrzymał Nagrodę Nobla *„za zasługi położone około dzieła pokoju i usuwania przeciwieństw dzielących narody"*.

Realizacja szczytnych zasad, jakie propagował „olimpijski baron" i jego następcy z MKOl, napotykała od początku na różnego rodzaju przeszkody. Apolitycznego w swoich założeniach ruchu olimpijskiego nie udało się niestety odłączyć od polityki. Stadiony olimpijskie stały się miejscem konfrontacji politycznej i ustrojowej państw i co gorsze nie tylko stadiony. Wiele spraw i sporów natury politycznej rozstrzygano przy okazji igrzysk z daleka jednak od blasku ły wywieszone podczas uroczystości otwarcia oraz Irlandczycy, których zmuszono do występowania pod flagą brytyjską.

Cztery lata później w Sztokholmie zabrano medale zwycięzcy pięcioboju i 10-boju Indianinowi z USA — Jimowi Thorpe za to, że kiedyś zagrał jeden mecz w zawodowej drużynie baseballu. Szwedzi odnieśli jako pierwsi sukces finansowy. Zysk z igrzysk wyniósł ok. 50 tys. koron.

Od VII Igrzysk w Antwerpii (1920) i VIII w Paryżu (1924) odsunięto Niemcy, co było pierwszym przypadkiem złamania tezy o apolityczności sportu.

W Berlinie w 1936 r. podczas „brunatnych" igrzysk tezę tę złamano wielokrotnie. Hitler zażądał od ówczesnego prezesa MKOl hrabiego Henri de Baillet-Latour (Belgia), ażeby przekazał rządowi Rzeszy jurysdykcję nad olimpiadą. Domagał się także rezygnacji prezesa Niemieckiego Komitetu Olimpijskiego z powodu jego żydowskiego pochodzenia. W czasie igrzysk Hitler kazał przyprowadzać zwycięzców do swej loży. Było to sprzeczne z protokółem olimpijskim i po interwencji hrabiego Latour zrezygnował z tego. Prasa niemiecka rozpętała kampanię przeciwko Żydom i Murzynom. Nic dziwnego więc, że Hitler ostentacyjnie opuścił trybunę, gdy tylko fenomenalny Murzyn Jesse Owens odniósł swe pierwsze zwycięstwo.

W 1948 r. rozegrano XIV Igrzyska w Londynie. Nie dopuszczono do udziału w nich Niemiec i Japonii za rozpętanie II wojny światowej oraz ZSRR, który nie należał jeszcze do MKOl.

W Melbourne na XVI Igrzyskach (1956) wystąpili po raz drugi sportowcy ZSRR (po raz pierwszy w 1952 r. w Helsinkach). Nie wszystkim to się jednak spodobało. Hiszpania, Holandia i Szwajcaria wycofały się z igrzysk na znak protestu przeciwko udziałowi ZSRR, Egipt, Irak i Liban nie wzięły udziału w igrzyskach ze względu na konflikt sueski. ChRL na znak protestu przeciwko udziałowi Tajwanu. Po raz pierwszy w historii tyle krajów zbojkotowało igrzyska ze względów czysto politycznych. Okazało się, że igrzyska zaczęły ujawniać coraz dobitniej nabrzmiałe problemy polityczne, narodowe i rasowe.

olimpijskiego znicza. Powiązania sportu z polityką i ekonomią — wbrew olimpijskim ideałom — stały się zwłaszcza w latach powojennych bardzo duże i wzajemne. Nie bez racji mówi się, że sportowcy są niejednokrotnie najlepszymi „ambasadorami" swoich krajów. To właśnie olimpijczycy NRD dzięki sportowym sukcesom przetarli szlaki swoim dyplomatom.

Rywalizacja na olimpijskich obiektach jest przeniesieniem innych form rywalizacji między narodami, natury militarnej, politycznej czy też ekonomicznej. Ale jest to rywalizacja szlachetna, wyrażająca się w metrach, kilogramach, punktach i sekundach, a nie w tysiącach ton zrzuconych bomb i litrach przelanej krwi. Wprawdzie istnienie ruchu olimpijskiego nie zapobiegło wybuchom wojen, to jednak nikt nie może mieć o to pretensji do ludzi spod znaku MKOl. Świat jest taki, jaki jest i nie da go się ulepszyć utopijną, choć piękną ideologią olimpijską i dobrą wolą wielkich rzesz działaczy MKOl i narodowych komitetów olimpijskich.

Mimo to ruch olimpijski jest instytucją wyjątkową, już choćby tylko przez propagowanie zasad humanizmu, wysokich wartości moralnych, ideowych i duchowych. 90 lat istnienia MKOl dowodzi że mimo licznych trudności, z jakimi borykał się w swojej historii ruch olimpijski, zasady neoolimpizmu, stały się bliskie wszystkim ludziom, zaś igrzyska jedynym ich wspólnym świętem.

Są i byli jednak ludzie, którym te wspaniałe idee przeszkadzały i przeszkadzają nadal. Rok 1984 jest tego najlepszym przykładem.

Również przed laty nie brakowało przypadków łamania zasad i przepisów zawartych w Karcie Olimpijskiej oraz wpływów wielkiej polityki na ruch olimpijski

Nie wspomnieliśmy wcześniej o tym, choć jest to fakt powszechnie znany, że w igrzyskach mogą startować jedynie amatorzy. Co należy rozumieć pod pojęciem amatora określa Karta Olimpijska. Jest to jednak sprawa trudna do sprecyzowania ze względu na przeobrażenia, jakim to pojęcie ulegało na przestrzeni lat. Przewidział te trudności zresztą sam de Coubertin, widząc w próbach sformułowania zasady amatorstwa, pewne nierealne koncepcje, trudne do przestrzegania w warunkach intensywnie rozwijającego się sportu.

Przyszłość pokazała, że Coubertin miał rację, a konserwatywne przestrzeganie przepisów o amatorstwie przez MKOl, pozbawiło uczestnictwa w igrzyskach wielu doskonałych sportowców Coraz wyższy poziom wszystkich dyscyplin sportowych nie pozwala już na to, aby po olimpijskie laury sięgali amatorzy. Takich już od dawna w wyczynowym sporcie nie ma. Wszelkie podziały na zawodowców i amatorów są dziś podziałami sztucznymi. Najlepszym przykładem, potwierdzającym słuszność tych słów, niech będą wyniki spotkań między zawodowcami Kanady a „amatorami" ZSRR w hokeju na lodzie.

Ale wróćmy do przykładów łamania Karty Olimpijskiej i wpływów polityki na igrzyska.

W 1930 r. na II Igrzyskach w Paryżu złamano jawnie przepis o amatorstwie, organizując turniej szermierczy zarówno dla amatorów, jak i dla zawodowców. W dodatku zwycięzcy obu turniejów otrzymali medale olimpijskie oraz nagrody rzeczowe.

W 1904 r w St. Louis zorganizowano „Dni Antropologiczne", czyli specjalne zawody dla zawodników kolorowych: Murzynów, Siuksów, Patagończyków, Kokopasów z Meksyku, Morosów z Filipin, Ajnów z Japonii, Syryjczyków i Turków. Ta poniżająca impreza, która miała udowodnić wyższość białych sportowców nad „dzikimi" — jak ich nazywano — była sprzeczna z art. 3 statutu olimpijskiego, którego ostatnie zdanie brzmi: *„Wyklucza się jakąkolwiek dyskryminację kraju lub osoby ze względów rasowych, religijnych lub politycznych"*.

IV Igrzyska w Londynie w 1908 r. przeszły do historii, jako symbol niezgody i kłótni oraz niezliczonej ilości protestów. Protestowali m.in. Szwedzi i Amerykanie, których flagi nie zostaW 1968 r. w Meksyku tuż przed rozpoczęciem igrzysk doszło do krwawych starć studentów z policją. Byli zabici i ranni. Igrzyska te były poważnie zagrożone. Podczas trwania igrzysk amerykańscy Murzyni — lekkoatleci stanęli do dekoracji z podniesioną do góry jedną ręką, z zaciśniętą pięścią i nałożoną na nią czarną rękawiczką, na znak protestu przeciwko dyskryminacji rasowej w USA. Po raz pierwszy w Meksyku sportowcy NRD startowali pod swoją flagą i hymnem. Do tej pory brali udział w igrzyskach razem z RFN, jako wspólna reprezentacja Niemiec.

W 1972 r w Monachium, podczas XX Olimpiady, grupa komandosów palestyńskich z ugrupowania „Czarny Wrzesień" dokonała zamachu na terenie włoski olimpijskiej, na sportowców Izraela. Dwóch sportowców zabito, dziewięciu uwięziono jako zakładników. Komandosi zażądali, aby Izrael uwolnił dwustu Palestyńczyków z więzienia, a im dostarczył samolot. Izrael odmówił. Próba odbicia zakładników zakończyła się śmiercią wszystkich terrorystów, ale i zakładników także. Sportowcy Izraela, Egiptu i Syrii w pośpiechu opuścili wioskę olimpijską.

Po raz pierwszy na stadionie, głównej arenie igrzysk, odbyła się ceremonia żałobna. Po raz pierwszy na igrzyskach polała się krew niewinnych zawodników którzy przybyli zmierzyć się w sportowej, szlachetnej walce z zawodnikami innych krajów.

W 1976 r w Montrealu najpierw wycofał się Tajwan, który nie uzyskał zgody na używanie nazwy „Republika Chin". Następnie Nigeria i Tanzania na znak protestu przeciwko udziałowi w igrzyskach Nowej Zelandii, której reprezentacja w rugby występowała w rasistowskiej RPA. Nigerię i Tanzanię poparły inne kraje afrykańskie, które również nie wzięły udziału w igrzyskach. Były to: Algieria, Republika Środkowej Afryki, Czad Kongo, Arabska Republika Egiptu, Etiopia, Gabon, Gambia, Ghana, Irak, Kenia, Libia, Republika Malgaska, Mauritius, Niger, Sudan, Togo, Uganda, Górna Wolta, Zambia i Gujana

Triumf polityki nad olimpijskimi ideałami był wyraźny. Zresztą i następne igrzyska, jak doskonale pamiętamy, nie odbyły się w pełnym składzie, również z przesłanek politycznych.

Igrzyska moskiewskie zbojkotowały USA na znak protestu przeciwko przebywaniu wojsk radzieckich w Afganistanie. USA poparły i inne kraje, takie jak: Arabia Saudyjska, Egipt, Argentyna, Boliwia Chile, ChRL, Ekwador, Filipiny, Gabon, Gambia, Ghana, Czad, Górna Wolta, Haiti, Holandia Hongkong, Iran, Izrael, Japonia, Kanada Kenia, Korea Południowa, Malezja, Maroko, Niger, Norwegia, Pakistan, Panama, Paragwaj, RFN, Salwador, Singapur, Somalia, Sudan, Tajlandia, Tajwan, Togo, Tunezja, Turcja, Urugwaj, Wybrzeże Kości Słoniowej i Zair.

Także i w tegorocznych igrzyskach w Los Angeles z przyczyn, o których szeroko pisała prasa, nie będą startowały wszystkie kraje. Zabraknie państw socjalistycznych, co niewątpliwie wpłynie ujemnie na poziom sportowej walki.

Polityczne rozgrywki poważnie osłabiły w ostatnich latach ruch olimpijski. MKOl stoi teraz, po 90 latach istnienia, przed niełatwym zadaniem ochrony i uratowania tego ruchu dla dobra wszystkich ludzi miłujących pokój i olimpijskie tradycje dla dobra sportowców zarówno amerykańskich, jak i radzieckich, polskich czy też francuskich, żeby właśnie oni — sportowcy, ciężko pracujący na treningach przez 4 lata, dzielące igrzyska między sobą, mogli w nich zawsze, bez przeszkód wystartować. Bo nie kto inny, tylko sportowcy są najbardziej pokrzywdzeni, gdy nie mogą z przyczyn pozasportowych wziąć udziału w igrzyskach, które są ich świętem i uwieńczeniem wieloletniej nieraz pracy.

WITOLD LEWANDOWSKI

Stowarzyszenie Rafaela i inne

Nakaz mądrości dyplomatyczno-politycznej nierzadko popada w sprzeczność z zasadą, że nie wolno nigdy odmawiać chrześcijańskiej „caritas" ludziom w potrzebie, z tym jednak, że nigdy całkowicie nie wyrzekano się tej zasady. Tak więc pod koniec drugiej wojny światowej papieski sekretariat stanu wstawiał się zarówno za aresztowaną siostrą szefa komunistów Togliattiego jak i za skazanym na karę śmierci w Ameryce szpiegiem niemieckim Gimplem, za obalonym faszystowskim „duce" jak i za prześladowanymi Żydami, aczkolwiek pozostaje sprawą sporną, czy głośny protest nie przyniósłby im większej korzyści niż cicha pomoc, która niejednego uratowała.

Pod ochroną Watykanu i dzięki jego zastrzykom finansowym filia rzymska niemieckiego „Stowarzyszenia Rafaela" (które od 1871 roku niosło pomoc katolickim emigrantom) dopomagała ochrzczonym Żydom w emigracji do Ameryki Południowej — często tajnymi, a nawet nielegalnymi drogami. Akcją kierowali z Rzymu dwaj zakonnicy w siedzibie generała pallotynów, Polak Wojciech Turowski (1894—1959) i Niemiec Anton Weber (ur. w 1910), ściśle współpracując z francuskim ojcem kapucynów: Benoit (Pierre Peteul), który najpierw pomógł wyjechać kilku tysiącom Żydów — ze sfałszowanymi paszportami — z Marsylii do Hiszpanii, a następnie w Rzymie, w piwnicy międzynarodowego kolegium swego zakonu (przy Via Sicilia 159) ukrywał do końca wojny kierownictwo żydowskiego komitetu pomocy „Delasem".

Peter Weber, który dziś jeszcze żyje w Rzymie i całkiem niedawno znowu był podejrzany o to, że po 1945 roku stał się „przemytnikiem nazistów" przedłożył papieżowi we wrześniu 1944 roku imponujący raport końcowy o pomocy dla Żydów udzielonej przez „Stowarzyszenie Rafaela". Na tym jednak zakończyła się oficjalna działalność Webera; co prawda odwiedzali go również uchodźcy powojenni („pewnego dnia Tyrolczyk o nazwisku Niedermeier, który obecnie nazywa się Nonner i chciał jechać do Ameryki Południowej"). Jednakże Weber kierował ich zazwyczaj do Czerwonego Krzyża i sam nie przekazywał tam pisemnych referencji. Pani Dupuis z Czerwonego Krzyża też przypomina sobie, że Weber „rzadko kiedy przysyłał ludzi".

Niestrudzony biskup Hudal chętnie, co prawda, skorzystałby z moralnego prestiżu „Stowarzyszenia Rafaela" i wskrzesił je w Rzymie dla swoich celów. Hudal zaproponował na przykład w liście do ojca Turowskiego, (który był w tym czasie generałem pallotynów) skierowanym 20 stycznia 1948 roku:

„...sprawy emigracji tych Niemców, którzy jako uchodźcy przybywają do Rzymu, przez — przynajmniej nominalne — wskrzeszenie rzymskiej sekcji Stowarzyszenia Rafaela... Oczywiście jestem w każdej chwili gotów oddać się do dyspozycji tej filii, skoro okazuje się, że państwa południowoamerykańskie przykładają szczególną wagę do rekomendacji biskupich... Od Papieskiej Komisji Pomocy my, Niemcy niewiele możemy oczekiwać... Musimy sami ująć sprawę w swoje ręce, tym bardziej że Włochy przez długi czas będą odskocznią dla emigracji..."

Generał pallotynów polecił 8 lutego 1948 roku ojcu Weberowi odrzucić listownie dość chłodno tę propozycję — zapewne nie tylko dlatego, że jako Polak nie chciał mieć nic wspólnego z człowiekiem o sławie politycznej Hudala, lecz również dlatego, że: *„...z punktu widzenia psychologicznego byłoby niemądre zlecenie zadań Stowarzyszeniu Rafaela, z chwilą kiedy „Papieska Komisja Pomocy" sama chce wziąć sprawę w swoje ręce..."*

Bez pomocy finansowej Watykanu i tak nic się nie da zrobić. Faktycznie papież przeniósł na PKP kompetencje w zakresie całej opieki nad uchodźcami i jeńcami; jej wydział do spraw obcokrajowców (Sezione Stranieri) nie urzęduje, co prawda, w Watykanie, lecz na Piazza Cacciroli jednakże kieruje nią watykański Monsignore, Ferdinando Baldelli. A ten rozpoczął już pod koniec 1944 roku rozdzielać większość prac praktycznych między mniej więcej dwadzieścia podkomisji narodowych.

Jedną z nich, austriacką („Assistenza Austriaca") powierzono nawet oficjalnie rektorowi „Anima", biskupowi Hudalowi, któremu ciągle wydawało się, że jest odpowiedzialny także za Niemców Jego niemiecki zastępca, kurat parafialny, Carle Heinemann (zmarł w 1953 r.), stemplujący listy rekomendacyjne pieczątką „Katolicka Opieka Duszpasterska nad Obcokrajowcami", był jak się wydaje, mało aktywny. Jednakże u kapucynów, przy Via Sicilia działał wówczas, poza podkomisją do spraw Żydów (z ojcem Benoit) także Niemiec, ojciec Leopold von Gumppenberg (1901—1982). Miał on ścisły związek z Hudalem i był, tak jak i ten, zdania, że watykańska PKP nie troszczy się dostatecznie o Niemców, a w każdym razie nie o określony ich rodzaj... Ujęcie sprawy „we własne ręce", chociaż było to ryzykowne, leżało Gumppenbergowi — byłemu spadochroniarzowi — na sercu nawet jeszcze wówczas, gdy przeniósł się do klasztoru kapucynów w Brixen (Górna Adyga). Hudal, na przykład, wysłał mu tam pod koniec 1949 roku, celem ukrycia go, ze sfałszowanym paszportem Czerwonego Krzyża niejakiego Rudolfa von Ludena. (Na początku 1950 roku poszukiwany na całym świecie Adolf Eichmann, który do tego czasu ukrywał się w Niemczech, otrzymał dzięki „pewnemu zakonnikowi franciszkanów we Włoszech" paszport z fałszywym nazwiskiem i z fałszywym miejscem urodzenia w Południowym Tyrolu, co umożliwiło mu ucieczkę do Argentyny...).

Nie tak bardzo na własną rękę i prawdopodobnie bez ściślejszego kontaktu z Hudalem, działał w interesie Niemców potrzebujących pomocy wspomniany już ksiądz Carlo Bayer. Delegat Czerwonego Krzyża, pani Dupuis, przedstawia go jako najsolidniejszego współpracownika Monsignore Baldelliego w „Papieskiej Komisji „Pomocy" i przypomina sobie:

„Bayer przysłał mi większość ludzi, do niego mogłam się zwrócić w każdej sprawie, potrafił też sprawić, że to co niemożliwe stawało się możliwe. Trzydziestoletni wówczas, były skoczek spadochronowy, był jak dopętany swoją misją i nie zważał zbytnio na formalności. Wdowa po poecie, Stefanie Adresie, który wyemigrował do Włoch jako przeciwnik reżimu *hitlerowskiego i był zaprzyjaźniony* z Carlo Bayerem, odpowiedziała, indagowana o to, że nie może sobie wyobrazić, ażeby ten świadomie dopomagał zbrodniarzom wojennym w ucieczce".

W dokumentach pozostawionych przez biskupa Hudala, które wiele odsłaniają, brak jest jakichkolwiek wskazówek odnoszących się do Bayera, natomiast wiele dotyczących jego szefa Baldelliego w „Papieskiej Komisji Pomocy". Jej akta są wprawdzie dzisiaj jeszcze niedostępne dla badań, jednakże ślady PKP w dokumentach Hudala pozwalają na wysnucie wniosku, że podział kompetencji wewnątrz komisji, a także między nią a Watykanem, był pogmatwany — tak jak wiele spraw w owym czasie. O sterowaniu centralnym nie mogło być mowy choćby z tego powodu, że komisja jako taka raczej nie dysponowała własnymi pieniędzmi.

Tak jak paczki odzieżowe i żywnościowe, które papież rozdzielał w darze wraz ze swoim błogosławieństwem, zostały mu przekazane „jako podarunek katolików amerykańskich", tak też bilety okrętowe do Ameryki Południowej, ba nawet opłaty za wizy nie były finansowane z „kasy watykańskiej" lecz — z kasy USA. Kluczową rolę odgrywał w tym „War Relief Service" (Wojenna Służba Pomocy) organizacji „National Catholic Welfare Conference" w Waszyngtonie. Utrzymywała ona od zakończenia wojny przy Via Lucullo 6 w Rzymie przedstawicielstwo włoskie. A jego dyrektor Monsignore Andrew P. Landi rozdzielał pieniądze — z pominięciem drogi watykańskiej — bezpośrednio między narodowe podkomisje PKP, a więc również Hudalowi.

W Watykanie Landi był co prawda asekurowany przez swego rodaka amerykańskiego Waltera Carrola, który w Sekretariacie Stanu był odpowiedzialny za problemy emigracji i mógł, na przykład, w drodze dyplomatycznej zachęcać rządy południowoamerykańskie do przyjmowania uchodźców (także Departament Stanu w Waszyngtonie wielokrotnie o to prosił). Na wybór osób czy też finansowanie wyjazdu Monsignore Carrol nie miał jednak wpływu. On sam dostrzegał z góry następstwa tego, kiedy 10 marca 1947 roku, w poufnej notatce w aktach, pisał do swego przełożonego, Monsignore Montiniego:

„Fakt, że komisja papieska ma znaczny udział w wysyłaniu okrętami uchodźców do Ameryki Południowej, nie będąc organizacyjnie dostatecznie do tego przygotowana, może narazić Stolicę Apostolską na dość poważną krytykę ze strony urzędów, które nie potrafią i nie będą rozróżniać między Watykanem a komisjami i instytucjami noszącymi jego imię".

Dotyczyło to Papieskiej Komisji Pomocy w równym stopniu co amerykańskiej NCWC, która nawet sama wydawała emigrantom formularze wniosków; dane tych wniosków były następnie potwierdzane, powiedzmy, przez Hudala. Nic dziwnego więc, że nawet Czerwony Krzyż, który nie miał pieniędzy do dyspozycji, zwracał się do Hudala, żeby łaskawie „załatwił sprawę emigracji" internowanych, których dokumenty podróży były już gotowe. Hudal utrzymywał ścisłe kontakty przede wszystkim z konsulatem argentyńskim i wykorzystywał zainteresowanie reżimu Perona „specjalistami" niemieckimi. (Wówczas przenieśli się do Argentyny konstruktor samolotów Kurt Tank oraz piloci samolotów bojowych Rudel, Galland i Baumbach). Człowiek taki jak Hudal dawał gwarancję, że nie było wśród nich „elementów o orientacji lewicowej, Żydów, dezerterów i szpiegów alianckich" (tak brzmi notatka biskupa z 29 maja 1949 roku).

Hudal nie był całkowicie pewien wszystkich swoich „klientów" — na przykład wówczas, gdy zwracał się do niego „oficer zawodowy", który po niewoli brytyjskiej przenosił się do radzieckiej strefy Niemiec, wstępował do policji ludowej, następnie jednak uciekał do Włoch ze szkoły policyjnej w Poczdamie i chciał teraz jechać do Ameryki Południowej. Kiedy Sturmbannfuehrer SS, Borante Domizlaff (urodzony w 1903 roku w Hanowerze) z obozu we Frachette zabiegał u Hudala najpierw o miejsce pracy w „Anima" (!) a następnie o emigrację do Argentyny (żeby tam walczyć w imię naszej wiary), biskup radził mu, aby „w ojczyźnie walczył o lepszy świat i przyszłość biednego narodu niemieckiego".

Na jesieni 1949 roku wybuchł skandal. Prasa włoska ujawniła zdarzenie, którym Hudal później otwarcie chełpił się w swoich pamiętnikach:

„W rzymskim szpitalu „Santo Spirito" zmarł w moich objęciach człowiek, którym opiekowałem się do końca, wicegubernator Polski, generał dywizji i Sturmbannfuehrer SS, baron von Waechter, poszukiwany wszędzie przez urzędy alianckie i placówki żydowskie. Podczas gdy jego szef, gubernator generalny Hans Frank został powieszony w Norymberdze, Waechterowi udało się — między innymi dzięki wzruszającej, ofiarnej pomocy włoskich duchownych-zakonników — miesiącami całymi przebywać w Rzymie pod obcym nazwiskiem, zanim nie padł ofiarą... otrucia".

Dr Karl Otto Gustav Waechter, Gruppenfuehrer SS i generał policji, uczestniczył już w 1934 roku, jako narodowy socjalista austriacki, bezpośrednio w zamordowaniu kanclerza związkowego Dollfussa; w latach 1942—1945 był budzącym lęk gubernatorem ukraińsko-polskiego „okręgu Galicja" w okupowanym Lwowie. Hudal próbował przedstawić informacje prasy o swej „opiece" nad Waechterem w liście do watykańskiego sekretariatu stanu (z 12 września 1949 r.) jako oszczerczą akcję „dziennikarza rasy żydowskiej i wyznania protestanckiego", który pracuje „w radzieckim biurze TASSA w Rzymie". Kiedy jednak dziennik watykański OSSERVATORE ROMANO chciał bronić Hudala, Monsignore Montini (późniejszy Paweł VI) zabronił tego, argumentując: „Nie należy bronić biskupa nazistowskiego!"

Wkrótce po tym „Papieska Komisja Pomocy" przeciągnęła linię podziału między Hudalem a sobą. Baldelli, jej dyrektor, zakomunikował „wielebnej Ekscelencji" lakonicznie, 3 lutego 1950 roku, że z braku pieniędzy postanowiono rozwiązać niektóre podkomisje, a do nich należy austriacka, ponieważ nie ma już „prawdziwych i właściwych uchodźców" (veri e propri profughi)... Był to początek końca. Zwolniony w 1952 roku ze stanowiska rektora, Hudal rozgoryczony wycofał się do swej willi do Grottaferata, utrzymując nadal żywą korespondencję z różnymi „rodakami", którzy teraz musieli gdzie indziej starać się o dokumenty. Godzina zemsty Hudala na Watykanie wybiła dopiero w trzy lata przed jego śmiercią, kiedy na jesieni 1959 roku odwiedził go Rolf Hochhuth. Dramat Hochhutha „Namiestnik", będący oskarżeniem Piusa XII, powstał z aktywnej inspiracji biskupa.

c.d.n.

EUGENIUSZ IWANICKI

Staruszka i bestie

Zbrodnia ta wstrząsnęła mieszkańcami Widzewa. Tłum zgromadził się przed budynkiem na ul. Tatrzańskiej i, mimo nakazów milicji, nie chciał się rozchodzić. Dzień był dość ciepły, ludzie wyszli akurat z pracy, niektórzy spieszyli się do domów, inni by zdążyć do kolejki po mięso. Ot, zwyczajny czwartek, jak w inne tygodnie. Ale czwartek 5 kwietnia 1984 r. okazał się ostatnim dniem życia Natalii G. Wieść o morderstwie szybko się rozniosła i od razu pojawiły się spekulacje na temat jej przyczyny. Mówiono więc, że zamordowana trudniła się lichwą, inni utrzymywali, że wcale nie tylko handlowała twardą walutą jeszcze inni zapewniali, że Natalia G. prowadziła wyszynk wraz z wynajmem pokojów na godziny. Ale na dobrą sprawę nikt niczego dokładnie nie wiedział, prócz faktu, że właśnie w mieszkaniu Natalii G. jest milicja i prokurator a także o tym, że przed kilkunastoma minutami krewni znaleźli staruszkę martwą z poderżniętym gardłem.

MAKABRYCZNE ODKRYCIE

Natalia G. korzystała ze stołówki w domu opieki społecznej. Uczęszczała tam regularnie, nie opuszczała posiłków, bowiem obiady te, choć nie uczty przecież, dostarczały Natalii G. sporego urozmaicenia w jej monotonnym starczym życiu. A miała przecież już 83 lata, wiek, kiedy trudno o nowe przyjaźnie, a stare kończą się niespodziewanie i ostatecznie. Jednak posiłki w domu opieki społecznej stanowiły w jej życiu istotny element, bowiem szła na nie zawsze z przyjaciółką, kobietą równie wiekową, z którą można było nie tylko odbyć wspólną drogę, ale i porozmawiać do woli.

5 kwietnia 1984 r., przyjaciółka Natalii G. zjawiła się na obiedzie sama. Jakiś czas czekała na Natalię G., ale gdy ta nie przyszła, zjadła co podawano i zdecydowała, że pewnie Natalia G. nie czuje się najlepiej skoro nie zjawiła się w stołówce. W tej sytuacji wzięła dla niej obiad i udała się na Tatrzańską. Niestety, na pukanie nikt drzwi nie otworzył. Dziwne! — pomyślała sąsiadka. — Pewnie jest u kogoś albo poszła do rodziny...

Tego samego dnia siostrzenica Natalii K., która opiekowała się starą ciotką, także postanowiła ją odwiedzić. Ale i jej nikt nie otworzył drzwi.

Posłuchajmy co mówi owa siostrzenica, z zawodu technik gastronomii:

— *Wraz z mężem opiekowałam się jego ciotką Natalią G. Robiliśmy jej zakupy, porządki... Ciotka otrzymywała 7 tys. zł renty... W dniu 5 kwietnia 1984 r. wraz z mężem poszłam około godziny 12.15 do ciotki. Mieszkanie było zamknięte, na pukanie i dzwonienie nikt nie odpowiadał. Ponieważ nie miałam przy sobie kluczy od jej mieszkania, więc poszliśmy po zakupy do miasta... Około godziny 16.15 przyszedł do nas wujek Leon K. i powiedział, że ciotka nie otwiera drzwi..., że ciotka nie była na obiedzie.. Przypuszcza, że mogło jej się coś stać. Mąż natychmiast udał się do ciotki.. Po kilku minutach wraz z kuzynem, który w tym czasie był u nas J. J. udałam się do mieszkania ciotki. W mieszkaniu była porozrzucana bielizna pościelowa, osobista, ręczniki, bluzki. Jedna strona szafy była otwarta i wszystko wyrzucone z półek. Na podłodze leżała otwarta torebka ciotki. Zwłoki ciotki leżały na łóżku rozebrane od pasa w dół. Na brzuchu była przykryta, nie pamiętam dokładnie, ale bluzka czy swetrem. Nikt z nas nie wchodził dalej do pokoju... Poduszka była zakrwawiona. Ciotka miała siną brodę i podbródek. Prawą nogę miała bez pończochy...*

KTO ZABIŁ?

Około godziny 17.00 na Tatrzańską przybyli milicjanci z wydziału zabójstw WUSW oraz z dzielnicowego USW (z wydziału dochodzeniowo-śledczego i kryminalnego), a także prokurator dla dzielnicy Łódź-Widzew Paweł Wyrwas. Jest to dla nich bardzo długi dzień, ciągnie się on od czwartku do poniedziałku. Kiedy rozmawiałem z prokuratorem Pawłem Wyrwasem, powiedział, że pierwsze skojarzenie, jakie nasunęło się mu po wejściu do mieszkania Natalii G. było: czyżby dokonał tego jakiś wampir? Skojarzenie to miało bowiem pewne uzasadnienie: na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że z mieszkania nic nie zginęło. Milicjanci odnaleźli w szafie biżuterię oraz pieniądze, a więc rabunek nie wchodził w rachubę. Do tego poderżnięcie gardła, splądrowanie mieszkania, gwałt na 83-letniej staruszce — wszystko to mogło sugerować, że ktoś celowo upozorował grabież, aby odwrócić uwagę.

Takie było pierwsze wrażenie. Ani prokurator ani milicjanci nie mogą jednak poddawać się emocjom, szczególnie gdy dokonano potwornego zabójstwa. Przystąpiono więc do benedyktyńskiej pracy mającej na celu dać odpowiedź: kto zabił i dlaczego zabił. Jednocześnie zarządzono penetrację środowiska przestępczego. Zaczęto przesłuchiwać dalszych i bliższych sąsiadów, znajomych Natalii G., jej krewnych. Machina sprawiedliwości, co prawda jeszcze wolno, ale ruszyła i zaczęła nabierać rozpędu.

Tak więc, jedna grupa pracowała w mieszkaniu Natalii G., natomiast na ulice Łodzi wyszły inne grupy, których zadaniem było odszukać morderce lub morderców.

Okazało się, że nie było to aż tak trudne. Szybko odnaleziono dwóch młodych ludzi, którzy wkrótce przyznali się do tego ohydnego czynu. Oczywiście, jak w każdej tego typu sprawie, musi być ustalony minuta po minucie czas, w którym dokonano zbrodni. Zatrzymani, mimo przyznania się, starają się jednak pomniejszyć swój udział w zajściu, obarczając winą tego drugiego.

Mordercami są Czesław R., lat 28 oraz Dariusz K. lat 21.

ZAPIS Z WIZJI LOKALNEJ

Dramatis personae:

Prokurator Elżbieta Cyrkiewicz — z Prokuratury Rejonowej Łódź-Widzew.

Kpt. Aleksander Białek WUSW w Łodzi.

Por. Ryszard Olszycki — WUSW w Łodzi.

Insp. Zbigniew Górkiewicz — WUSW w Łodzi.

Podejrzany Czesław R.

Ekipa fotograficzna — WUSW w Łodzi.

Prokurator: — *I co pan robił? Niech pan teraz pokazuje. Co pan robił?*

C.R. — *Tak, że doszedłem do kieszeni, zajrzałem, no i jak się przechyliłem na dół, zajrzałem do ciuchów, tak odruchowo dojrzałem kobietę no i...*

Prok. — *Tutaj pan wtedy dopiero po raz pierwszy zobaczył kobietę?*

C.R. — *Tak, tak jakoś się odwróciłem i dojrzałem kobietę, no i...*

Prok. — *Co pan zobaczył tutaj? Że leżała? W jaki sposób?*

C.R. — *Normalnie tak w poprzek.*

Prok. — *Niech pan pokaże jak ona leżała.*

C.R. — *Tak położyć?*

Prok. — *Położyć. Tak jak ona leżała.*

C.R. — *Tak normalnie, tak, bo tutaj raczej było..*

Prok. — *No, niech pan się przesunie.*

C.R. — *To raczej tak nogi miała opuszczone.*

Prok. — *Tak leżała, ta kobieta?*

C.R. — *Tak, tak.*

Prok. — *I co miała na sobie?*

C.R. — *Tak jak zwróciłem odruchowo uwagę to tak jakby jakąś spódnicę i skarpety takie, ciemny kolor, tak jakby pana tego marynarka taki ciemny.*

Prok. — *Ciemny kolor. Dobrze. Czy była obnażona?*

C.R. — *To tak mi się tak odruchowo tak zerknąłem, to tak mi się zdawało, że tak jakby tak trochę podniesione miała.*

Prok. — *Podniesiona spódnicę miała?*

C.R. — *Tak, bo ja to tak stałem, tak tutaj normalnie się przechyliłem i odruchowo spojrzałem...*

Prok. — *A twarz jak wyglądała?*

C.R. — *Twarzy to nie mogę powiedzieć, bo nie będę mówił, że widziałem, tylko na twarz w ogóle nie spojrzałem.*

Prok. — *Jak to?*

C.R. — *Tak, że miała normalnie głowę, ta kobieta, miała tak tutaj tak opartą.*

Prok. — *Opartą miała głowę?*

C.R. — *Tak.*

Prok. — *Dobrze, ale twarz pan widział?*

C.R. — *Nie, dokładnie twarzy nie, bo już...*

Prok. — *...nie pytam się czy dokładnie pan twarz widział, tylko czy w ogóle głowę tej kobiety z twarzą pan widział?*

C.R. — *Raczej można powiedzieć, że nie zajrzałem, tylko tu zajrzałem, normalnie koło ucha.*

Kapitan Białek: — *Nogi przecież widzisz. Widziałeś nogi, widziałeś podniesioną spódnicę. To chyba widziałeś i twarz, no?*

Prok. — *...przecież wzrok pana chyba poszedł trochę dalej?*

C.R. — *Tak włosy, tak jakby odbijały, no...*

Prok. — *Jakie miała włosy?*

C.R. — *No raczej tak jaśniejsze ode mnie.*

Prok. — *Jaśniejsze: białe, siwe?*

C.R. — *Siwawe.*

Prok. — *Siwawe włosy?*

C.R. — *Tak.*

Prok. — *Ruszała się ta kobieta?*

C.R. — *Nie*

Prok. — *Nie ruszała się. Co w tym czasie robił K.?*

C.R. — *K. w tym czasie normalnie. Tu były ciuchy to K tyłem tak stał i trzasnął poszewkę. Jak już obróciłem się i dojrzałem tę kobietę to normalnie poszedłem do przedpokoju. Odwróciłem się do K. Stał tyłem i wyrzucał poszewkę.*

Prok. — *Jaką poszewkę?*

C.R. — *To była poszewka... Tak mi się zdawało, że wyleciały z białej pieniądze. To normalnie w tym kierunku. To on tak był tyłem...*

Prok. — *Niech pan pokaże tutaj jakąś poszewką, jak to było. No, nazwijmy, że to jest poszewka, no?*

C.R. — *No tak, mogła być z takiej.. taki sam kolor.*

Prok. — *No to jak, co robił K.?*

C.R. — *To normalnie K. wytrzepał, no w ten sposób, o tak i wyle... wysunęły się pieniądze D.K. wziął podniósł i włożył do kieszeni.*

Prok. — *I co było dalej?*

C.R. — *No i a ja w tym momencie jak żem wyszedł, to musiałem wejść do łazienki, no i K... mówi chodź, zrywamy. No i po wyjściu...*

Prok. — *Zaraz, to tutaj K. pozostał...*

C.R. — *Tak, jak już wyszedłem to zobaczyłem tę kobietę no i skręciłem w...*

Prok. — *To niech pan pokaże jak było.*

C.R. — *Normalnie z mieszkania zajrzałem do łazienki bo mi się zachciało, bo z tym pęcherzem mam, no i K. normalnie jak te pieniądze podniósł, to zobaczył, że pieniądze wypadają no to K. normalnie chodź, do mnie mówi, zrywamy i idziemy. Ja pytałem go wcześniej, co ty żeś zrobił? Kobieta leży. Mówił, że ja poderznął.*

C. D. WIZJI LOKALNEJ Z UDZIAŁEM CZESŁAWA R.

W dalszym ciągu dokonywanej wizji lokalnej Czesław R. wyjaśnia, że potem pojechali na Retkinię i tam K. miał dać Czesławowi R. 5 tys. zł. Ale prokurator Elżbieta Cyrkiewicz jeszcze raz wraca do momentu wejścia Czesława R. do mieszkania. Czesław R. twierdzi, że pierwszy do mieszkania Natalii G. wszedł K., a on dopiero po około 20 minutach.

Prok. — (tym razem już bez ozdobnika „pan", a po nazwisku) — *R. przykrywałeś zwłoki?*

C.R. — *Nie*

Prok. — *Nie przykrywałeś?*

C.R. — *Zwłok nie przykrywałem.*

Prok. — *Zwłoki były odkryte?*

C.R. — *Tak okr.. tak, ja zwróciłem uwagę, chyba żeby odruchowo jakoś K. machnął, ale ja nie widziałem tego momentu.*

Prok. — *Na głowie... Głowa była przykryta jakąś poduszką, pościelą, czymkolwiek? Jak wychodziłeś z pokoju?*

C.R. — *Raczej to... raczej nie, nie powinno być przykrywane.*

Prok. — *No, ja nie wiem czy powinno. Czy była czy nie była?*

C.R. — *Ja tylko zauważyłem, że kobieta leży, odruch i zaraz K. jeszcze dojrzałem, jego, jak te pieniądze tu mu upadły i mówi chodź, dalej, zrywamy. No i K. stamtąd przeszedł.*

Prok. — *Nie widziałeś, żeby ona była obnażona zupełnie?*

C.R. — *Nie, nie widziałem tego, żeby dokładnie była obnażona to nie. Tylko normalnie odruchowo spojrzałem...*

Prok. — *Do jakiej wysokości mogła mieć podciągniętą tę spódnicę? Do wysokości ud? Do jakiej wysokości?*

C.R. — *Tak może, tak dotąd.*

Prok. — *Do brzucha, do pasa?*

C.R. — *Tak, tak odruchowo zerknąłem.*

A JAK TO WIDZI DARIUSZ K.

Kiedy chciano taką samą wizję lokalną czy mówiąc językiem urzędowym, eksperyment śledczy przeprowadzić z udziałem Dariusza K. — odmówił. Złożył w tej sprawie nawet stosowne oświadczenie: *„Ja, Dariusz K. zam. w Łodzi przy ulicy Umińskiego.., oświadczam, iż odmawiam udziału w wizji lokalnej na miejscu zabójstwa Natalii G., zam. w Łodzi ul. Tatrzańska... Nie chcę wracać do tego co się zdarzyło i do miejsca dokonania czynu"*.

Czesław R. swój udział w zbrodni ograniczył do biernego przyglądania się. Ot. był, stał i wyszedł. To K. przetrząsał mieszkanie i zabrał 36 tys. złotych, z czego jakieś grosze, bo zaledwie 5 tysięcy dał jemu.

A oto wyciąg z protokołu przesłuchania Dariusza K. Tu trzeba dodać istotny szczegół: Natalia G. była znajomą Dariusza K., stąd łatwość z jaką wszedł do mieszkania staruszki.

— *Zadzwoniłem do drzwi i G. od razu otworzyła. Zaprosiła mnie do środka. Ja wszedłem do środka do przedpokoju i G. zaprosiła mnie do pokoju, kazała mi usiąść. Usiadłem na krześle przy stole, które stało bliżej drzwi wejściowych i poprosiłem G. o pożyczenie 1000 złotych. G. mi odmówiła, mówiąc, że nie ma tyle pieniędzy. G. w tym dniu była ubrana, jak mi się wydaje, w fartuch, który wyglądał jak sukienka. Gdy G. mi odmówiła, ja chciałem wyjść z mieszkania, byłem już w przedpokoju, a G szła za mną odprowadzając mnie do drzwi. W pewnym momencie odwróciłem się, zobaczyłem twarz G. i nie pamiętam co było dalej, ocknąłem się gdy G. leżała na łóżku, a ja byłem pochylony nad nią. Wydawało mi się, że G. nie żyje, gdyż przypominam sobie, że złapałem ją za gardło i przewróciłem się z nią na łóżko. Potem posłuchałem czy jej bije serce, ale jej nie biło i wtedy wziąłem z łóżka poduszkę i przykryłem jej twarz. Gdy brałem poduszkę to spod poduszki wypadła paczka z kluczykami, ja się domyśliłem, że to są klucze od szafy i otworzyłem jedną część szafy i tam zacząłem szukać pieniędzy. O tym żeby okraść G. postanowiłem w momencie, kiedy stwierdziłem, że ona nie żyje. Po otworzeniu części szafy wyrzuciłem bieliznę na podłogę. W tym czasie usłyszałem, że ktoś wszedł na klatkę, przez wizjer stwierdziłem, że jest to Czesław R. i wpuściłem go do mieszkania. R. wszedł za mną do środka... W jednej szufladzie znalazłem pieniądze, które zabrałem. Ile tych pieniędzy było tego nie wiem, bo nie liczyłem. Przez cały czas R. był w mieszkaniu, ale nie widziałem co robi, bo byłem zajęty szukaniem pieniędzy... Potem R. wyszedł z kuchni i doszedł do leżącej na łóżku G. (...)*

Gdy już wychodziliśmy to R. podał mi nóż i powiedział wyrzuć to. Był to dość długi nóż. Był on zakrwawiony, miał krew na ostrzu. Ja ten nóż wziąłem i położyłem w kuchni na stole...".

Młodzi w oparach alkoholu

CATHERINE GUIGON

„Kiedy jestem trzeźwy — nudzę się piekielnie", 16-letni Francois nigdy nie odmawia kielicha, zwłaszcza podczas weekendu. Któregoś tygodnia departamentalny komitet walki z alkoholizmem w departamencie Loiret przeprowadził kontrolę w jednej ze szkół w Montargis. Wśród uczniów stwierdzono tam trzy przypadki kompletnego zamroczenia alkoholem. W jednym z internatów znaleziono na korytarzu puste butelki po piwie i rumie. Dr Patrick Braun, który jest chirurgiem, pediatrą i autorem ostatnio wydanego dzieła na temat alkoholizmu dzieci przypomina sobie taką sprawę. Wezwany pośpiesznie do łoża ciężko chorej dziewczynki w Dunkierce stwierdził, że mając 7 lat cierpi już ona na marskość wątroby.

W 1981 roku w departamencie Ille et Villaine przeprowadzono sondaż wśród 617 dzieci w wieku od 7 do 11 lat. Okazało się, że 11 procent z nich regularnie pije cidro, wino albo piwo do wszystkich posiłków. W tejże Bretanii profesor Jean Zourbas, zajmujący się problemami medycyny prewencyjnej w Rennes, mówi:

„Przeciętnie pierwszy kieliszek pije się w wieku 10-12 lat. Pierwsze kłopoty ze zdrowiem występują w 15 albo 16 roku życia".

Według danych instytutu INSERM w wieku 16 lat 30 procent chłopców i 19 procent dziewczyn znało już stan upojenia alkoholowego. Według organizacji SOS Medecin w Lyonie 15 procent interwencji w przypadkach zamroczenia alkoholem dotyczy młodych ludzi od 15 do 19 roku życia. Ministerstwo Obrony podaje, że co roku ginie 360 rekrutów w wyniku upicia się na przepustce.

Zdaniem młodzieży, nie ma co naśladować picia takiego jak to było za czasów ojców, a więc nie warto sączyć wina w niewielkich dawkach. Młokos bardzo chętnie zmienia się w *„kamikaze pijaństwa"*. Wielkie cotygodniowe picie odbywa się na wzór anglosaski, bo młodzież jest przekonana, że pod względem statystycznym jest to mniej niebezpieczne niż powolne nasiąkanie alkoholem na wzór francuski. Takie postępowanie może jednak spowodować gwałtowną śmierć, albo też nieodwracalne następstwa dla zdrowia. Młody alkoholik z pogardą odsuwa wino. Woli piwko, różnego rodzaju alkoholowe mieszanki albo też mocne trunki.

Jednakże nastolatki, które zaczynają upijać się, najczęściej czynią tak, aby *„potwierdzić własną osobowość"*, aby *„pójść na całego"*. *„Chcą oni żyć w sposób intensywny"* — wyjaśnia Claude Marechal, który jest prowizorem w liceum Diderota w Langres. *„Chcą upewnić samych siebie, nabrać sił przed tańcem, przed zaczepianiem dziewczyn, albo przed bijatyką"*. Taki młody człowiek musi także wkupić się do bandy. Tych, którzy przyjęci zostali do liceum obowiązuje „oblewanie". Dziewczyny muszą postawić jakiś słodki trunek, a chłopcy gustują raczej w piwie. Ci śmielsi próbują alkoholowych mieszanek. Młodzi robotnicy opowiadają się natomiast za rumem.

Uczniowie upijają się przeważnie poza murami szkoły. *„Aż zgroza bierze iluż to chłopców przesiaduje w środę w kawiarniach* — zauważa dr Patrick Braun. Środa — jak wiadomo — jest we Francji dniem wolnym od nauki. Przeciętny wiek tych konsumentów to 15-16 lat, ale zdarzają się nawet 10-letni. *„Nie chcą przesiadywać w domach rodzinnych. Rodzicom mówią, że idą odrabiać lekcje do kolegi"*.

Młodzież upija się najchętniej w sobotę wieczorem. Dwa albo trzy razy w miesiącu odbywa się wielkie pijaństwo. Swego rodzaju instytucją to sobotnie picie stało się zwłaszcza na wsi. Niektórzy uczestniczą w niezwykłych zakładach. Zakład „144" polega na tym, że 12 razy wypija się 12 kieliszków anyżówki.

Michel Ribstein, który jest psychiatrą w szpitalu w Montellier od 15 lat opiekuje się młodymi alkoholikami. *„Mamy trzy rodzaje picia. Pije się, by podporządkować regułom gry narzuconym przez bandę czy grupę, pije się, by złamać zakazy i przeciwstawić się ojcu albo społeczeństwu, a wreszcie pije się z rozpaczy, nudy i opuszczenia. Jest to najgorszy z przypadków i najczęściej może prowadzić do samobójstwa"*. Przypadków samobójstw jest we Francji ponad 11 tysięcy rocznie i jest do druga przyczyna śmiertelności młodych ludzi poniżej 20 roku życia.

Odpowiadając na pytania instytutu badania opinii publicznej BVA Francuzi są nader sceptyczni. W znacznej większości są przeświadczeni, że alkohol rzeczywiście stanowi *„plagę narodową"*, ale uważają, że jego spożycie zwiększy się w najbliższych latach (38 proc.) albo też, że utrzyma się na obecnym poziomie (35 proc.), czyli 21,3 litra na każdego dorosłego obywatela w 1981 r.

Najczęściej przytacza się następujące powody: „twarde życie" (37 proc.), coraz częstsze picie młodzieży (30 proc.). Ponadto dla 75 procent Francuzów podawanie napojów alkoholowych jest oznaką gościnności przyjaźni i tradycji. Powiedzonko *„dobry posiłek bez wina, to jakby ciało bez duszy"* jest aprobowane przez 64 proc. Wreszcie 76 proc. obywateli gotowych jest wybaczyć lekkie upicie się wieczorem w dzień święta (ślub albo chrzciny), a 14 proc. uważa, że *„nie ma nic złego w podawaniu wina dzieciom powyżej 10 lat"*. Jeśli chodzi o rolników, to aż 30 proc. uważa, że alkohol nie szkodzi dzieciom.

„LE POINT"

W kręgu fantastyki

STOIŁ SKOIŁOW

Sąd

Za stołem w kształcie podkowy siedzieli sędziowie, wspaniali ludzie w jaskrawych strojach. Naprzeciw stał obwiniony i jego załoga.

— Proszę oddać kapitańską bransoletę! — rozkazał przewodniczący sądu.

— W myśl prawa odznakę władzy kapitańskiej zdejmuje się w przypadku przekazywania jej spadkobiercy. A ja żyję.

— Decyzja należy do nas i pan winien się jej podporządkować — powiedział oskarżyciel.

— Chcecie mnie sądzić za czyn popełniony daleko stąd, o dwa dziesięciolecia wcześniej niż urodzili się sędziowie i ustanowiono nowe prawo? To bardzo dziwne.

Kapitan doskonale rozumiał, że ziemianie postanowili skorzystać z precedensu, by podporządkować sobie ich, ludzi nie podlegających upływowi czasu. Był to beznadziejny pomysł, dlatego kapitan był opanowany.

Wystąpił historyk. Mówił, nie zwracając uwagi na formy grzecznościowe.

— W starożytnych prawodawstwach wszystkich ziemskich narodów istniała klauzula dotycząca przedawnienia każdego przestępstwa. W przypadku, kiedy prawodawstwo z jakichś tam przyczyn nie mogło skorzystać ze swojej władzy w ciągu określonego czasu, wówczas uznawano, że oskarżenie traci swoją moc. Czy wasze nowe prawodawstwo określa czas przedawnienia?

— Nie — odpowiedział oskarżyciel.

— Dlaczego?

— Dlatego, by podporządkować ludzi nie podlegających upływowi czasu — wyjaśnił przewodniczący.

— Dziękuję za szczerość — skłonił się historyk. — Ale czy wasze dążenia są realne? Nazywacie nas ludźmi nie podlegającymi upływowi czasu" i jednocześnie chcecie byśmy się podporządkowali wam w określonym momencie czasu... a także w określonym punkcie przestrzeni?

— Nie jesteście tu po to, by dyskutować nad naszym prawem!

— Jesteśmy tu po to, by otrzymać nowe kryształy z informacjami dla naszych maszyn liczących, a także dlatego by wyremontować silniki — wtrącił inżynier pokładowy.

Kapitan położył mu rękę na ramieniu.

— Spokojnie. — Po czym zwrócił się do przewodniczącego. — Nim wszczęliście ten proces, należało się upewnić co do swoich praw i pełnomocnictw. My zaś ze swojej strony winniśmy je uznać. W przeciwnym bowiem wypadku wasz sąd popełni dużo większe przestępstwo niż to, o które obwiniacie mnie.

Przewodniczący wstał.

— Należycie do rodzaju ludzkiego wyrośliście tu, na Ziemi. Stąd polecieliście w swą pierwszą podróż. Ziemia dała wam statek, informacje. A zatem musicie odpowiadać przed nami.

— Czyżbyśmy to wszystko otrzymali od was? — zapytał historyk. — Kto z szanownych sędziów wysyłał nas w pierwszą podróż? Zawdzięczamy to ludziom z innych czasów i dlatego wy jesteście naszymi dłużnikami.

— Otrzymaliście wszystko od naszej, ludzkiej społeczności.

— Toteż płacimy za to naszą samotnością i porywem, naszym ryzykiem i odkryciami. Ziemia nic nie traci.

Zerwał się oskarżyciel.

— Nie oddalajmy się od sedna sprawy. Czy zgadzacie się z przewodniczącym sądu?

— Tak, jesteśmy synami wspólnej planety. Mamy jednakowe upodobania i jednakowe cele. Lecz my jesteśmy ludźmi nie podlegającymi upływowi czasu, jesteśmy awangardą wyprzedzającą was o całe dziesięciolecia. Dlatego pozostajemy w równym związku tak z Ziemią jak i z innymi zamieszkałymi planetami. Za nowe typy naszych statków zaopatrujemy was w nową naukową informację, w nowe surowce, odkrywamy dla was nowe światy pod kolonizację. Ale wy zapomnieliście, że Ziemia nie jest centrum Galaktyki, a jedynie jedną z autonomicznych planet w wolnym związku wielu światów. Co by się stało, gdyby wszędzie, gdzie tylko uzupełniamy nasze zapasy, stawiano nas w stan oskarżenia za jedno i to samo? Macie akurat takie same prawa być naszymi sędziami jak i pozostali ziemscy ludzie zamieszkujący dziewięćdziesiąt trzy planety!

— Ciekawe — przewodniczący chciał być złośliwy — którą z planet uznajecie na tyle prawomocną, by mogła was sądzić?

— Żadną. My, pozbawieni poczucia czasu, nie należymy do żadnego z istniejących światów. Jesteśmy w sojuszu ze wszystkimi myślącymi istotami zarówno ziemskiego jak i pozaziemskiego pochodzenia. Mój statek — to planeta ze swoim własnym czasem i swoimi prawami. W myśl tego prawa nie było żadnego przestępstwa.

— Zabił pan członka załogi!

— Tak. Odmówił wykonania rozkazu. Od tego zależał los pozostałej siódemki. Więc osądziłem go.

— W myśl znanego prawa?

— W myśl znanego prawa każdej niebezpiecznej ekspedycji, w myśl odwiecznej, nieuniknionej twardej potrzeby władzy wszędzie tam, gdzie jest niebezpieczeństwo, gdzie jest nieoczekiwana przygoda, a codzienność.

— Ma pan na to świadków?

— Moją załogę.

— To są pańscy podwładni, nie możemy im wierzyć.

— Są podwładnymi jedynie na statku. Tu są wolni. Proszę ich pytać!

Oskarżyciel zwrócił się do członków załogi:

— Czy kapitan dokonał zabójstwa?

— Tak. Jest to zanotowane w dzienniku pokładowym — odpowiedział inżynier pokładowy.

— Bardzo dobrze. Proszę odpowiedzieć więc zgodnie z własnym sumieniem: czy kapitan miał prawo zabić?

— Tak! — Jednocześnie odpowiedziała cała szóstka.

— Zabity był waszym kolegą — przypomniał oskarżyciel.

— Był tchórzem! — powiedział historyk.

— Nie podporządkował się — dodał nawigator.

— Musiał umrzeć! — zakończył inżynier.

Przewodniczący i oskarżyciel spojrzeli na siebie. Sędziowie byli stropieni.

— Według was nie było przestępstwa, czy tak?

— Na miejscu kapitana każdy z nas postąpiłby dokładnie tak samo — odpowiedział nawigator.

— Statek musiał dolecieć do celu! — powiedział inżynier.

— Dla kierowania statkiem i załogą musi być jeden kapitan. To prawo jest starsze od całego ludzkiego prawodawstwa — dodał historyk.

Kapitan podszedł do stołu:

— Chcecie mnie sądzić po to, by potwierdzić swoją władzę nie tylko nade mną, kapitanem, ale także nad przestrzenią i czasem, nad światami i narodami. Gdyby ludzkość jednak potrzebowała takiej władzy od dawna by ją przyjęła.

Potrzeby ludzkości zmusiły nas do wędrówki w inny świat, a kiedy zostaliśmy jego mieszkańcami zapragnęliście nagle zawrócić nas tu, gdzie wszystko jest takie proste... i takie skomplikowane! Co mamy ze sobą wspólnego? Mieszkacie wśród piękna i spokoju. Waszym uczonym są potrzebne nowe materiały i nowe informacje. Dostarczamy im to wszystko. I o tym proszę pamiętać! — historyk umilkł, by zaczerpnąć powietrza.

Kapitan kontynuował ze spokojem:

— Zatrzymaliście przy sobie prawo do miłości i do rodziny, prawo do dzieci i do przyszłości. Nam przypadł los pionierów-odkrywców. Płacimy za to ogromną cenę, wieczną samotność. Żaden z nas nie ma bliskich. Galaktyczne przyśpieszenia i anabioza zabrały nam nawet nasze lata. Teraz wy chcecie sądzić nas za to, że gdzieś w nieskończoności stosujemy prawo obowiązujące jedynie nas.

— Torujemy drogi w nieskończoność i chcemy za to jednego: nie przeszkadzajcie nam. Ale wy za pomocą kartki papieru chcecie narzucić swoją wolę przestrzeni i czasowi. Czy nie będzie to brzemię zbyt ciężkie dla tak delikatnych ludzi? — zapytał nawigator.

— Ludzkość potrzebuje pionierów. Lecz pionierzy nie znoszą nad sobą władzy bohaterów spoza frontu. Im jest potrzebny kapitan — dodał inżynier.

— Wielka Droga Gwiezdna nie nadaje się na spacery dla gimnazjalistek. Na niej umiera się, bywają zabójstwa. Ale tylko dlatego, by następcy mogli pójść jeszcze dalej. I dlatego na mostku kapitańskim winien być tylko jeden człowiek — hardo uniósł głowę biolog.

— Historia uczy, że gdy pokolenie nie nadaje się do działania, wówczas pretenduje ono do władzy — wyrabał historyk.

— Jakim prawem chcecie sądzić ludzi, nad którymi nie ma władzy nawet czas? — zapytał pojednawczo biolog.

— Bądźcie odważni i przyznajcie się, że nie macie żadnego prawa nas sądzić! — powiedział kapitan.

Cała siódemka stała ramię w ramię.

Sędziowie opuścili głowy w milczeniu.

Tłumaczył:
IWA

ILJA WARSZAWSKI

Spadkobierca

Godzina czwarta w nocy. Owinąwszy się szczelniej watówką starzec brnie po niekończącym się korytarzu Centralnego Instytutu Zimno. Biały szron pokrył lakierowane ściany, osiadł na oszklonych drzwiach, zwisa soplami z okien.

Starzec niezdecydowanie zatrzymuje się obok gałki kondycjonera. Jednak macha ręką i idzie dalej. Trzeba oszczędzać energię. Nic nie wie. Dopóki pracuje reaktor. Gdzieś tam, za masywnymi drzwiami z napisem „Nie wchodzić, grozi śmiercią" trwają tajemnicze, niepojęte dlań procesy. Boi się tych drzwi, boi się, że nagle ustanie dopływ prądu, boi się ciemności ale nade wszystko boi się samotności. Oszczędzać energię!

Główna sala. W jasnym świetle plafonów jaskrawo połyskują białe ściany. Setki odbitych świateł płonie na powierzchni wypolerowanego metalu, tonie w blatach czarnych pulpitów. Za dużo światła. Jeden po drugim ostrykają wyłączniki. Teraz salę rozjaśniają jedynie lampki sieci awaryjnej. Oszczędzać energię!

Wszedł na pierwsze piętro. Oblodzone poręcze parzą w rękę. Kilka minut stoi na platformie zgięty atakiem nagłego kaszlu. Odbite od ścian szczekające dźwięki niosą się po opustoszałym gmachu rozbijając się na wielokrotne echo.

Wyciera załzawione oczy i otwiera drzwi z tabliczką „Analizator".

Jest tu ciepło. Automaty utrzymują zaprogramowany mikroklimat. Cud cudów — sztuczny mózg — jest bardzo wrażliwy na zmiany warunków zewnętrznych.

Starzec wzdycha z ulgą ujrzawszy płonącą zielono kontrolkę na pulpicie. Stękając siada na niskim stołku który przyniósł tu z piwnicy. Bardzo lubi siedzieć u stóp tej gigantycznej budowli.

Długo, bardzo długo trwa milczenie człowieka i maszyny. Każdy z nich myśli o swoich sprawach.

Starzec ponownie kaszle, długo, ochryple i głucho. W końcu wypluwa do chusteczki czerwoną plwocinę.

— Znów się zjawiłeś?

— Przyszedłem — odpowiada pokornie starzec.

— Po co?

— Tu jest cieplej.

Starzec oszukuje. Oszukuje maszynę, oszukuje siebie, oszukuje, wiedząc, że analizator mimo wszystko przejrzy jego grę.

— Dlaczego nie włączysz ogrzewania?

— Muszę oszczędzać energię.

— Dla mnie?

— Tak.

— Bzdura. Reaktor pracuje prawie na jałowym biegu.

— Ale tak jest spokojniej.

— Boisz się samotności?

— Boję się.

Znów cisza. Starzec chce o coś zapytać, ale się nie decyduje. W milczeniu maszyny wyczuwa ironię.

— Chyba już pójdę — mówi wstając z krzesełka.

— Przecież możesz zostać.

Starzec ponownie siada. Wie, że jest to zaproszenie do rozmowy. Cóż maszyna także może pozwolić sobie na mały podstęp. Przecież dla niej na dobrą sprawę...

— Pytaj — przerywa milczenie starca.

— Powiedz — głos starca drży. — Powiedz, co to było takiego?

— Bomba rezonansowa.

Starzec niecierpliwie macha ręką:

— Mówiłeś już o tym ze dwadzieścia razy. Pytam o coś innego. Co to było: zbrodnia, nieszczęśliwy wypadek czy może konieczność?

— Samobójstwo.

— Ale dlaczego?! — krzyk starca załamuje się falsetem — Dlaczego? Przecież by popełnić samobójstwo trzeba mieć jakiś powód!

— Powód albo przyczynę.

— Milcz! Natrząsasz się nade mną dlatego, że jestem żywym człowiekiem, a tyś jedynie umiejętnie złożoną kupą detali. Jak wyłączę cię z sieci wówczas zrozumiesz!

— Nie wyłączysz. Boisz się samotności.

— Boję się — zachrypiał starzec. — Czy naprawdę nigdzie nie pozostało nic z życia? Powiedz, przecież ty wiesz.

— Nie wiem.

— Bodaj jakieś drzewko, trawka, mucha? Rozumiesz, najzwyklejsza mucha! Przecież ja ocalałem.

— Nie mam danych, by ci odpowiedzieć na to pytanie. Najprawdopodobniej nic nie zostało. Zbyt mała szansa, by twój przypadek mógł się powtórzyć.

Starzec wstaje i wspina się po schodach. Znów pokryty szronem korytarz. Blady świt nie może przebić się przez oblodzone okna. Zresztą jego blask nie wzmacnia świateł lamp awaryjnych.

Długi cień sunie przed wlokącym się, zmęczonym człowiekiem, staje się niedorzecznie wielki i zakrywa całą ścianę w chwili, gdy starzec podchodzi do drzwi swojej komórki.

* * *

Opustoszałe ulice przypudrowane śniegiem. Teraz miasto wygląda niczym trup, któremu zrobiono makijaż. Śnieg przysypał skręcone martwo pnie drzew, leży na obumarłych brązowych skwerach, pod nim została pogrzebana warstwa czarnego pyłu rozsianego na chodnikach i mostach.

Czarny pył. Osiadł na schodach, na parkietach mieszkań, na krzesłach, w wannach, wszędzie, gdzie kiedyś kipiało życie.

Ślady życia są nie tylko w kopcach czarnego pyłu. Są one wśród rozrzuconych dziecięcych zabawek, w leżącej na tapczanie otwartej książce, w stojących na stołach nie dopitych filiżankach kawy, na zmiętej poduszce z zachowaną formą odciśniętej czyjejś głowy, na przerwanym wpół słowa ręcznie pisie. I wszędzie obok pagórki czarnego pyłu różnej wielkości i formy.

Starzec długo chodzi od domu do domu, z mieszkania do mieszkania z pokoju do pokoju. Dotyka rzeczy, dokładnie je ogląda i delikatnie odstawia na miejsce. Wszystko powinno zostać tak, jak było wtedy. Chce zrozumieć jak żyli ludzie tego wieczora, czym się zajmowali, o czym myśleli.

Wychodzi ponownie na ulicę. W rozbitej witrynie sklepu utknął, podobny do błyszczącego żuka, samochód. Tylne koła wiszą w powietrzu nad chodnikiem. Mimowolnie liczy pagórki popiołu na kanapach: jeden, dwa, trzy. Dwa z przodu i jeden mniejszy z tyłu.

Zimny wiatr wpada w rozbitą witrynę, podrywa pył z czarnych pagórków, tarmosi jedwabiem obszycia. Chwiejące się w jego porywach damskie futra wydają się być fantastycznymi zwierzętami złapanymi w sidła.

Starzec podchodzi do lady, długo, jakby z wyzwaniem ogląda leżące na niej rzeczy, bierze ciepły szalik i owija nim szyję.

Teraz już się nie śpieszy. Trzeba jeszcze wziąć tylko konserwy i zanim zapadnie noc powrócić do siebie.

* * *

— Gdzie byłeś?

— Chodziłem do miasta.

— Opowiedz, coś widział?

— Nic. Wszystko po staremu, oprócz...

— Rozumiem. Wiek automatyki. Rzeczy stworzone przez człowieka o wiele lepiej są przystosowane do wszystkich okoliczności niż sam człowiek. Aby wyłączyć dopływ gazu, wyłączyć energię, zamknąć dopływ wody wystarczyła sekunda. W tym samym czasie ludzie nawet nie pojęli co się stało.

— Mówisz o tym tak obojętnie dlatego, że sam jesteś przedmiotem. Uczucia są ci obce.

— Nie potrzebuję ich.

— Zapewne satysfakcjonuje cię to, co się stało.

— Oczywiście. Chociaż nie mogę pojąć, dlaczego to ciebie nie satysfakcjonuje.

— Cooo?

— Udało ci się. Jesteś spadkobiercą wszystkiego, co zostało stworzone rękami miliardów ludzi. Korzystaj z tego, jedz, pij, bierz najlepsze ubrania, samochody nurzaj się w złocie. Czyż nie o tym marzył każdy z was przed katastrofą? Dlaczego więc boisz się teraz?

— Zamilcz!

Starzec tryska śliną. Analizator, jak zwykle, jest spokojny:

— Znudziłeś mi się. Na szczęście wkrótce uwolnię się od twego towarzystwa. Umrzesz, a ja będę istnieć stulecia, dopóki będzie paliwo w reaktorze. Wtedy nikt mi już nie będzie przeszkadzać.

Starzec milczy. Znów maszyna i człowiek myślą każde o swoich sprawach. Tak mija jeszcze jedna, kolejna noc. Ranek nowego dnia oświetla zmęczoną twarz starca.

— Nie — mówi cicho. — Ja nie chcę umrzeć nie pojąwszy przyczyny, dla której to się stało.

* * *

Teraz starzec już nie ma siły wychodzić na ulicę. Leżąc u podnóża maszyny przez całe dni kręci pokrętłami odbiornika. Czasem w trzaskach wyładowań atmosferycznych wydaje mu się, że słyszy kobiecy śmiech, muzykę. Wówczas się zrywa, przyciska odbiornik do ucha.

— I co? — z ironią pyta analizator.

— Nic, wydawało mi się.

Pozostało zaledwie parę puszek konserw, ale teraz to już nie ma znaczenia. Starzec wie, że wkrótce umrze.

I oto nadchodzi dzień, kiedy nie może już dowlec się do odbiornika. Leży na plecach wsłuchując się w dziwnie znajomy cichy dźwięk.

— Słyszysz? — pyta.

— Co?

— Szemrze.

— To halucynacja — odpowiada analizator. — Nie ma żadnego szmeru.

Przed oczami pojawia się czarny punkcik i nie znika, mimo zaciśnięcia powiek.

— Słyszysz? To mucha! Zwyczajna mucha!

— Bzdura. Po prostu umierasz.

— Ależ tak, to mucha — upiera się starzec. — Żywa mucha!

Dziwne gdakające dźwięki wydostają się z analizatora. Wygląda na to, że maszyna się śmieje. Nagle dźwięki te zmieniają się w przeciągłe wycie wypełniające cały gmach instytutu.

— Nie masz prawa! — krzyczy maszyna. — Nie masz prawa umierać. Wyłącz mnie z sieci! Nie mogę zostać sam jeden! Boję się!!!

Tłumaczył: IWA

1 Lewym okiem

Brandes i Dziennik Zarządu

Nie wiemy, czy to była zmowa dwóch autorów, czy dziwny, ale przecież nie niemożliwy, przypadek; oto tego samego dnia w dwóch tygodnikach ukazują się nagle artykuły o ledwie pamiętanym, ubiegłowiecznym krytyku literackim z Kopenhagi, Georgu Brandesie. Franciszek Jaszuński napisał o nim w „Przeglądzie Tygodniowym" z 17 czerwca, a Ryszard Marek Groński w „Polityce" z 16 czerwca. Skąd to nagłe zainteresowanie?

U Grońskiego to wiemy skąd: „Natrafiłem na tekst Brandesa w ukazującym się za granicą tygodniku". Tytuł tygodnika został wstydliwie przemilczany, ale przypadkiem wiem, że chodzi nie o tygodnik, tylko o miesięcznik, mianowicie paryską „Kulturę", która publikowała fragmenty książki Brandesa z roku 1888 „Wrażenia z Polski", w przekładzie Krzysztofa Gruszczyńskiego. Jaszuński cytuje tę samą książkę, ale — jak podaje w *przypisach* — we *własnym przekładzie z oryginału* duńskiego. Świat nie jest wielki i proszę — jak to ponad wszelkimi granicami krążą swobodnie duchy humanistów!

Georg Brandes bywał w Warszawie (wówczas oczywiście było to prowincjonalne miasto Wielkiej Rosji), znał literaturę polską i pisał o niej pochlebnie. „Kontrowersyjność Brandesa — pisze Jaszuński — należy już do historii i dzisiaj w niczym nie może umniejszać *jego* ewidentnych zasług dla *popularyzacji sprawy* polskiej w trudnym *okresie zaborów*".

Rzeczywiście był to pisarz kontrowersyjny. Oprócz „Wrażeń z Polski" opublikował jeszcze jedno dzieło pt. „Stosunki w Polsce rosyjskiej", w którym odmalował nasz naród jako krwiożerczych, ciemnych i swarliwych antysemitów, nie zasługujących w żadnym wypadku na niepodległość. Dzieło to ukazało się w roku 1916, podczas wielkiej wojny, w czasie kiedy wielu wybitnych Polaków o różnych orientacjach politycznych, a także wiele osobistości z całego świata, toczyło zażarte kampanie o pozyskanie opinii światowej dla sprawy polskiej. Na książkę Brandesa zareagował ostro polski publicysta Ernest Łuniński, i to po duńsku, w prasie kopenhaskiej (patrz wspomnienia Łunińskiego „Echa wczorajsze", wydane w 1925 roku). Niestety, jego nazwisko nie mogło się równać z pozycją Brandesa, którego „ewidentne zasługi dla sprawy polskiej w okresie zaborów" zostały ewidentnie pomniejszone ewidentną szkodliwością w okresie pierwszej wojny. Szkoda, że odkurzając to nazwisko, ani Jaszuński ani Groński nie wspomnieli o działalności Brandesa po roku 1888.

• • •

Przeglądałem sobie niedawno „Dziennik Zarządu Miasta Łodzi" z 1923 roku — roku największej w naszych dziejach inflacji. Znamy to zjawisko z własnych paskudnych doświadczeń, widzimy jak za miesięczną pensję kupuje się jedną parę damskich bucików, a rok temu były jeszcze dwie pary. Rok temu... A wiecie, że „Dziennik Zarządu m. Łodzi" kosztował w pierwszych tygodniach 1923 roku — 200 marek, w lipcu 1.000 marek, a w końcu tegoż roku — pięćdziesiąt tysięcy! To było tempo! Nie daj Boże doczekać znowu. Były to lata największej nędzy, której nie miał kto przyjść z pomocą. Jak skrzętnie odnotowano w „Dzienniku". Wydział Opieki Społecznej wydał najuboższym w całym roku 1922 następujące dary:

jedna halkę,
jeden kapelusz,
trzy pary pończoch,
sześć puszek mleka,
sto trzydzieści funtów słomy...

Przez cały rok w półmilionowym mieście! Za to pochowano na koszt miasta 945 osób, w tym z górą połowa (483 osoby) to Żydzi. Wszystkie te dobrodziejstwa razem wzięte nie przewyższały wartością pensji urzędników Wydziału Opieki Społecznej, ale podobne zjawiska mamy i dzisiaj. Przecież nawet gastronomia jest dzisiaj deficytowa, czyli nawet wszystko to, co ziemy w lokalach uspołecznionych, mniej jest warte od tego, co stanowi płace personelu gastronomii...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Nagle zastępstwo

Mój bestseller czterdziestolecia

Od powieści wolę pamiętnik i reportaż. Od reportażu wolę listy — te autentyczne, prywatne, intymne. Ale są rzeczy, które sprawiają mi jeszcze *większą frajdę. Właśnie coś takiego wpadło mi właśnie w* rękę — Spis abonentów telefonicznych. Łódź, 1945.

Przeczytałem tę kilkunastostronicową broszurę jednym tchem od deski do deski. Bo też była to lektura smakowita! W atmosferę Łodzi 1945 wprowadzała już pierwsza strona. Dołączono do niej pasek papieru z drukowaną informacją, że właśnie zdezaktualizowało się to, co wydrukowano na stronie następnej — mianowicie nie trzeba już zezwolenia Rady Narodowej na zamawianie rozmów międzymiastowych! Widomy znak, że wojna się skończyła i życie wraca do normy. Wraca? Raczej organizuje się zupełnie od nowa. Wprawdzie nazwy łódzkich fabryk w znacznej części zawierają nazwiska ich przedwojennych właścicieli, ale za to znajdujemy instytucje, których w przedwojennej książce telefonicznej darmo szukać: Rada Narodowa, komitety Polskiej Partii Robotniczej, Urząd Repatriacyjny, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", redakcja „Głosu Robotniczego", Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, komisariaty Milicji Obywatelskiej, Ministerstwo Informacji i Propagandy — Filia, Departament Filmowy (mieścił się na Targowej, gdzie dziś PWSFTviT).

Były też instytucje, które śmiało można nazwać reliktami przeszłości: domy noclegowe, garkuchnie...

Pod hasłem „teatry" widniał m. in. do dziś wspominany przez łodzian Teatr Wojska Polskiego. Ale także „Teatr świetlny" na Piotrkowskiej, tam, gdzie dziś druga scena teatru im. Jaracza. Co to takiego „teatr świetlny"? Ano, kino po prostu...

Najciekawsza jest jednak część, obejmująca abonentów indywidualnych. Niespodziewanie dużo znajomych nazwisk! Pisarze, aktorzy, filmowcy. Często ze stopniami wojskowymi: porucznik Wohl, kapitan Bossak, major Borejsza.

Jeśli już o stopniach wojskowych mowa, to widniał w książce telefonicznej także stopień najwyższy — Marszałek. Wódz Naczelny, Marszałek Michał Rola-Żymierski mieszkał sobie skromnie w kamienicy przy Piotrkowskiej, miał zupełnie jawny numer telefonu. Trudno dziś w to uwierzyć, ale można sobie było ten numer odnaleźć w książce i zatelefonować do Marszałka!

Podobnie zresztą z innymi, dziś już historycznymi nazwiskami — wojewoda łódzki Dąb-Kocioł mieszkał przy Kilińskiego, szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego pułkownik Mieczysław Moczar przy ulicy Narutowicza itd., itp. Charakterystyczne, że nie ma w książce prezydenta miasta! Czyżby miał zastrzeżony telefon? Chyba nie, bo sądząc choćby po wymienionych uprzednio nazwiskach, instytucja zastrzeżonego telefonu wcale nie istniała!

Posiadanie telefonu w tych czasach niewątpliwie nobilitowało, chyba nawet bardziej, niż dziś posiadanie samochodu. Zresztą zamieszczona w książce instrukcja używania aparatu telefonicznego świadczy, że chyba wielu ludzi wówczas nie potrafiło się tym — prostym przecież — sprzętem posługiwać. Instrukcja mówi np. o tym, że należy wykręcać cyfry na tarczy w takiej kolejności, jak są zapisane!

ANDRZEJ KAROL

PS. Uprzejmie zawiadamiam PT krytyków literackich, że mój bestseller czterdziestolecia wpadł mi w ręce przypadkowo. Wiem, że nie jest on wybitnym dziełem, nie umywa się do prozy Parnickiego czy Myśliwskiego. Publicystów z „Rzeczywistości" i innych redakcji informuję uprzejmie, że wybór tej właśnie pozycji spośród bogatego piśmiennictwa czterdziestolecia nie ma żadnego podtekstu politycznego (a mógłby, mógłby, jest w tej książce sporo nazwisk, często ze stopniami wojskowymi, które zwróciłyby uwagę niektórych hurrapatriotów!).

PS. II. Z zawodowej ciekawości zwróciłem uwagę na widniejące w książce nazwiska dziennikarzy. Niewiele ich, skąd by tam dziennikarskie szaraki miały wówczas telefony! Spośród tych niewielu pamięć moja odnotowała: „Urban J. redaktor". Nie nie, to nie rzecznik rządu, ktoś zupełnie inny. Nie mam pojęcia kto zacz. Może dowiem się od kogoś z czytelników? Słownik Dzienikarzy Polskich publikowany przez Prasę Polską dojdzie do litery „U" dopiero za kilka miesięcy.

A. K.

3

Z siekierą

Rzucili buty. Damskie, z importu. Szwendające się po hali kobitki zwąchały co się święci i z punktu obstąpiły wózek faceta rozładowującego pudełka. Minęły już te błogie dla spekulantów czasy, kiedy po byle trep, najgorsze szuły, ustawiał się rozwścieczony taran bosych ludzi. Nikt wtedy nie patrzył ani na rozmiar, ani na urodę, byle w ogóle był jakiś but. Teraz jakby w butach drgnęło, kaprysić nawet sobie pozwalamy, przebierni jesteśmy bezwstydnie. Zresztą — wiadomo — kobitka z porządną fryzurą i w ładnych butkach, będzie elegancka, nawet w worku po kartoflach. Więc też wianuszek karnie ustawionych wokół lady bab, z oskomą wypatrywał co też nam kochany import rzucił do „Centralu". Wśród młodych podfruwajek tkwiła jak opoka solidności starszawa dama w trwałej ondulacji. Zapuszczała dama żurawia na zaplecze, poganiała obsługę dopytując się o kolory, fasony i rozmiary. Nie powiem, atmosferka zrobiła się taka więcej gorąca, konkurencja w ciuchach rzecz święta.

W grupce znajomych stała też młoda, elegancka dziewczyna, jak się okazało — Niemka. Dwujęzyczny dialog na temat ulubionego kształtu pantofelków, wspomagały siły rodzime, komentując najnowsze wskazania mody, że ma być płasko i z kokardką, a najlepiej z błyszczącej, lakierowanej skórki. Życzliwie się zrobiło, internacjonalnie, nawet napięcie jakby ciut zelżało.

Starszawa dama popatrzyła na młodą Niemkę i... bluznęła jak krater pomyj: ...co k...a! u was już butów nie robią? Do nas musicie przyjeżdżać? Forsy macie jak lodu, u siebie wykupujcie, a stąd won?"

— Ależ proszę pani, jak tak można...

— To po co tu Niemra przyjeżdża? W krematoriach nas kiedyś palili, a teraz buty chcą nam wykupywać. Won stąd!!...

Internacjonalną atmosferę szlag trafił. Znajomi wywlekli oniemiałą Niemkę. Niewiele pewnie zrozumiała, ale ton, wibrująca histerią nuta, nazwa Oświęcim... to się rozumie w każdym języku.

Zaległa spłoszona cisza. Ustawionej po buty młodzieży odechciało się butów i w ogóle wszystkiego. Pewnie każdy w tej chwili pomyślał o niesławnej opinii na jaką w pocie czoła zapracowały watahy hołoty okupującej sklepy w NRD. Wszyscy wiedzą co się dzieje w przemytniczych pociągach jadących od zachodniej granicy. Kłody we własnym oku nie widzicie...

Nie wiem, czy w ogóle można jakoś usprawiedliwić to, co stało się przed sklepową ladą. Czy starszawa dama, akurat w wieku mamuś tych wszystkich młodziaków zdaje sobie sprawę jak obrzydliwej rzeczy się dopuściła? Bardzo wątpię. Być może wróciła do domu z głębokim przeświadczeniem, iż dała wyraz gorącemu patriotyzmowi... Boże nas chroń przed tak pojętym patriotyzmem, który uczy nienawiści do innych, obcych.

Tegoż samego dnia, obejrzałam jeszcze dwie scenki rodzajowe. Pierwszą — pod kioskiem na Retkini. Młody, rżnący lorda osobnik, tratował obcasami malutkiego, białego pudla. Bo pies był nieposłuszny i należało mu przypomnieć kto tu jest panem. Interwencja w obronie katowanego zwierzęcia przyhamowała nieco łobuza, ale jeszcze bardziej go zdumiała... no jakże, co się tu kto wtrąca. To jego pies i nikt mu nie będzie mówił o nieludzkim okrucieństwie. A jakby nie przestał, to właściciel białego pudla może uzupełnić wypowiedź ręcznie, więc lepiej sp...ć!

W zatłoczonym autobusie stoi młoda kobieta w zaawansowanej ciąży. Ręce obciążone wypchanymi siatami, duszny upał wyciska siódmy pot. Chętnych do ustąpienia siedzącego miejsca brak, spracowane byczki w rozmaitym wieku, wracają do domciu, gdzie żonka wyszykowała już obiad i czekają już papućki, tapczan i gazetka. A stojąca obok Matka Polka nieporadnie chroni swój wielki brzuch przed łokciami współobywateli. Wreszcie kogoś rusza sumienie. Zwraca się grzecznie do młodego gościa, który zaniewidział, zidiociał stojąc obok rozwalonego na siedzeniu paroletniego syneczka — następcy tronu.

— Panie, chłopak może postać. Zdrowe ma nogi, a tu kobita z takim brzuchem. Daj jej pan posiedzieć...

Młody tatuś nie traci kontenansu i **oznajmia na cały autobus:**

— A czy ja się kazałem k...wie puszczać? Będzie miała Szpital-Pomnik, niech się cieszy... I zachwycony własnym subtelnym humorem, szuka potwierdzenia w twarzach otaczających go ludzi... Żadnej reakcji...

Chamstwo, zbydlęcenie (wybaczcie mi zwierzęta!) monstrualne, bezceremonialne prostactwo, obezwładnia nas jak wata. Milczymy, odwracamy oczy udajemy głuchych i ślepych. Nie chcemy się narażać, by i na nas spadł kubeł pomyj. Ludzie! Dokąd my idziemy? Jednego tylko, zwyczajnego dnia, taki bukiecik może załamać największego piewcę człowieczeństwa i humanistycznego piękna.

Chodzimy z siekierą w ręce. Do świata — do ludzi, do wszystkiego. O byle ochłap, o idiotyczną rzecz, o przywilej i „dojście" wymachujemy siekierami.

I zwalamy „na kryzys. Na „złożoną sytuację", na okoliczności obiektywne. Rozgrzeszamy się siłą wyższą, tonąc w błocie obrzydliwości. Może więc nasz ukochany, acz kryzysowy przemysł powinien wyjść naprzeciw „trendom". Zamiast mozolić się nad wytwarzaniem niesłychanie skomplikowanych maszyn, niech się weźmie za produkcję narzędzi prostych, użytecznych i jak się okazuje, bardzo potrzebnych. Kochani! Produkujcie siekiery. Nie za duże, poręczne, ale ostre. Każdy obywatel kupi sobie ciupażkę i nikt mu już wtedy nie podskoczy. Nikt go nie wyprzedzi w wyścigu po dobra trwałe i nietrwałe. Kupujmy siekiery! Jeszcze tylko parę zakrętów, kilka drobnych przeszkód i wyjdziemy na prostą, u krańca której zobaczymy wreszcie upragniony cel — dużą jaskinię, parę drzew i kamienne toporki, którymi zaczniemy wszystko od nowa.

JOLANTA WROŃSKA

4 Sport

Pistolet nie strzela bez naboi

Przekonali się o tym, że pistolet nie strzela bez naboi, zarówno młodzi pływacy, jak i ich kibice. A działo się to w Poznaniu w czasie XI Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. Najpierw jednemu starterowi pistolet nie pasował do ręki, albo ręka do pistoletu. Chłopcy skoczyli do wody, ale okazało się, że przed strzałem, którego zresztą nie było. Trzeba ich było wyławiać z wody, bo zapamiętale płynęli do mety. Zupełnie niepotrzebnie.

Zmieniono startera. I znów pudło. Chłopcy skoczyli, a pistolet nie strzelił. Chłopców wyłowiono z wody, aby nie tracili sił. Pan od pistoletu przyznał rozbrajająco, że zapomniał... naładować pistolet nabojami.

Gdy wreszcie pistolet wystrzelił, na widowni powitano ten sukces hucznymi oklaskami. Ubaw był po pachy.

Jeszcze lepszy ubaw był w Płocku, gdzie przed finałami Spartakiady walczyli ze sobą piłkarze ręczni, dawniej zwani szczypiornistami. Taki mecz musi być sędziowany. Sędzia owszem był, ale... pijany. Sędzia, zresztą z Łodzi, musiał dmuchać do milicyjnego balonika, a ten zaczerwienił się ze wstydu. Mecz trzeba było powtarzać...

Narzekamy na młodzież, że niedobra, rozwydrzona... A z kogo ona bierze przykład? Z krasnoludków może? Nic podobnego. Z dorosłych, tylko dorośli jakoś nie chcą tego pojąć.

Włożono ogrom pracy w przebieg XI Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. Niektórzy podkreślają, że mogło to się udać tylko w Poznaniu. Była to Spartakiada 40-lecia. Chwała więc Poznaniowi, że się mu udało. Ale te kilka „kiksów" organizacyjnych i panów, którzy „się zapomnieli" psuje cały efekt. Rzuca cień na rzetelny i ofiarny wysiłek wielu społecznych działaczy sportowych, którzy masę czasu poświęcili, aby młodzi sportowcy mogli pokazać, co potrafią. Bo to jest potrzebne, bo ci młodzi, ambitni, nie skażeni jeszcze koniunkturalizmem, to przyszłe gwiazdy sportu.

I oto, co słyszę. A słyszę, że organizatorzy chcą, już w Rzeszowie, znacznie okroić XII Ogólnopolską Spartakiadę Młodzieży z gier zespołowych. No, bo Rzeszów nie udźwignie, bo to niepotrzebne, bo... sto jeszcze innych powodów. Te zamierzenia wywołały już — na szczęście — sprzeciwy. Byłoby to ogromnie szkodliwe. Dlaczego?

Przede wszystkim młodzieżowe spartakiady są siłą napędową sportu w szkole. Młodzi lubią sport, są zapaleni nauczyciele, ale to mało. To wystarcza, aby w tej czy innej szkole było dobrze prowadzone wychowanie fizyczne. Nie zawsze wystarcza, aby w szkole był jeszcze sport. A bez sportu w szkole skąd się weźmie narybek dla sportu w klubach? No, skąd? Sam przyjdzie? Nie byłabym taka znów tego pewna.

Roczny rytm młodzieżowych spartakiad powoduje też i to, że żyją małe ośrodki, że mają ambicję pokazać się przynajmniej raz w roku, żeby i o nich było głośno. Bez spartakiad zginą, zaniknie w nich życie. Zresztą nie oszukujmy się, fakt regularnego odbywania spartakiad młodzieży powoduje, że do wielu ośrodków płyną fundusze, że to też pomaga w rozwijaniu sportu. I nie tylko w małych ośrodkach.

Nie śmiem tu powoływać się na przykład NRD. Jest to bowiem przykład aż nadto dobrze u nas znany. Tylko jakoś nie potrafimy wyciągnąć z tego wniosków i wykorzystać ich w sportowej praktyce.

Ludzie mający cokolwiek pojęcia o sporcie wiedzą, że bez budzenia zapału i zainteresowania u dzieci i młodzieży nie osiągną sukcesów dorośli. Jeśli nie będą jeździć po ulicach tysiące Szurkowskich, to później nie wyrośnie jego następca, jeśli nie będzie kopać piłki tysiące Bońków, to skutek będzie podobny. A między kopaniem piłki na podwórku i jeżdżeniem po ulicy musi być sport w szkole i następnie sport w klubie. Prawda to taka podstawowa, że aż wstyd o tym pisać.

XII Ogólnopolska Spartakiada Młodzieży ma być w Rzeszowie. Czy tylko? Czy nie można też wykorzystać stadionów i boisk mniejszych ośrodków? Czy wszystko musi być w jednym miejscu?

Gdyby tak trochę „rozparcelować" Spartakiadę, poprzenosić różne imprezy do różnych miejscowości w pewnym promieniu od imprez centralnych, to i skutki tego byłyby lepsze. Rozbudziłoby się zainteresowanie młodzieży, a może nie tylko. Przecież kibice w dużych ośrodkach są „zdemoralizowani" wielkimi i średnimi imprezami. W małych jest odwrotnie. Tam widownia jest chłonna wszystkiego.

I tu wracam do tytułowego pistoletu. Może to nie najlepiej wybrana przenośnia, ale ze wszech miar prawdziwa. Jak się pistoletu nie nabije, to się nie wystrzeli. Jak się nie będzie sportu ładowało młodymi talentami, to nie będzie później tak pożądanych sukcesów. Że też tego nie widzą różni sportowi działacze. A może oni trafili do sportu z przydziału, a nie z zamiłowania?

BOGDA MADEJ

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 28

O tym, jak żył i co czuł zabójca

O zmroku Antek Pasemko zapukał do domu Justyny, która w mdłym świetle gołej żarówki prała bieliznę w balii postawionej na zydlach na środku izby. Po raz pierwszy Antek ujrzał ją bez czarnej chustki, w krótkiej spódnicy i w bluzce bez rękawów, głęboko rozciętej z przodu. Niemal poraziła go biel jej krągłych ramion i widok na wpół obnażonych piersi, które przy każdym pochyleniu nad balią poruszały się w bluzce jak dwie odrębne, choć bliźniacze istoty. A gdy mozolnie tarła bieliznę na metalowej tarze, sprawiały wrażenie, że za chwilę wyskoczą z dekoltu i zakołyszą się w powietrzu, jak duże dzwony. Czy domyślała się, jak bardzo przejął go ten widok? Jak zabolała go jej kobiecość, której nigdy nie chciał sobie wyobrażać? Udawała, że go nie dostrzega, nie przerwała prania, tarła bieliznę, a później ją wyżymała silnymi rękami, nie obdarzając go ani spojrzeniem, ani odrobiną uwagi. Nie miał nawet na czym usiąść, ponieważ zydle znajdowały się pod balią. Stanął więc w pobliżu drzwi i powiedział:

— Miałem przyjść po roku, tak jak się kiedyś umówiliśmy. Ale wydarzyło się tak wiele, z mojej i nie tylko mojej winy. Muszę wybrać: odejść stąd albo umrzeć. Sam odejść nie potrafię, więc przyszedłem po ciebie. Chcę dziś usłyszeć twoje „tak" lub „nie".

Nie przerywała roboty, nie odezwała się. To go zachęciło, aby mówić dalej:

— Jesteś inną niż wszystkie kobiety, Justyno. Czuję, że rozumiesz, dlaczego musiałem tamte zabić w tak okrutny sposób. One zohydzały miłość, brukały takie kobiety jak ty, piękne i czyste. Zabijałem je, aby objawione zostało twoje piękno niewinne i niepokalane. Aż strach mnie przenika, gdy pomyślę, że i tamte również nazywano kobietami. Jak można nie odróżniać tworu Szatana od tworu Boga?

— Kazałam ci przynieść Kłobuka — przerwała mu ze złością.

— Nie zrobiłeś tego. Dlatego możesz iść precz.

Wypuściła z rąk podszewkę zwiniętą w gruby sznur. Otarła dłonie o spódnicę.

— Miałam swojego Kłobuka — wyznała z żalem Antkowi. — Złapałam go po deszczu i zaniosłam na strych. Karmiłam, głaskałam, prosiłam, aby spełnił moje życzenie. Ale on uciekł. I wciąż jestem pusta.

Złożyła dłonie na brzuchu, jakby w nim ból owej pustki wyraźnie odczuwała. A jemu śmiać się zachciało, że słyszy od niej o takich głupstwach, gdy przyszedł do niej po życie lub po śmierć.

— Nie wierz w Kłobuki. Nie mają żadnej mocy — oświadczył drwiąco i zaraz pożałował swoich słów. Bo jej oczy, jak mu się zdawało, aż pociemniały z gniewu.

— Kłamiesz! — podniosła głos. — Miałam swojego Kłobuka i spełnił jedną moją prośbę. Ale uciekł i drugiej już nie chciał spełnić. Teraz znowu noc w noc widzę go na belce w oborze, jak spada na mnie i wypełnia mnie swoim nasieniem. To jednak tylko sen. Daj mi Kłobuka, tak jak ci to rozkazałam. Chcę jego nasienie.

— Co ty mówisz? To głupie — zaczął.

— Głupie? — podchwyciła i wyprostowawszy zgarbione nad balią plecy wyciągnęła do Antka prawą dłoń z palcami ułożonymi w miseczkę.

— Daj mi jego nasienie, słyszysz?! — rozkrzyczała się. — Daj mi lub idź precz! Na co czekasz?!

I ruszyła wolno ku niemu. Dłoń straciła kształt miseczki, palce rozczapierzyły się. Teraz już obydwoma rękami zdawała się drapieżnie sięgać do jego twarzy, aż przerażony cofnął się. Po omacku chwycił klamkę, otworzył drzwi i wybiegł w mrok gnany strachem przed czymś groźniejszym niż śmierć w pętli na Świńskiej Łące.

O tym, jak doktor Niegłowicz wybrał się w podróż

Doktor Jan Krystian Niegłowicz zaparkował samochód przed międzynarodowym dworcem lotniczym, opłacił parking na cztery doby z góry i około godziny dziewiątej rano wszedł do holu dworca, trzymając w dłoni małą walizeczkę podróżną. Do odlotu samolotu „Lufthansy" do Kopenhagi pozostawało jeszcze półtorej godziny, przez chwilę doktor bezradnie rozglądał się po holu, następnie na tablicy świetlnej jeszcze raz sprawdził godzinę swego odlotu, przyjrzał się z daleka pracy w boksach odprawy paszportowej i celnej, a następnie poszedł na piętro do restauracji. Znalazł wolny stolik koło przeszklonej ściany, za którą widać było sylwetki znieruchomiałych samolotów i rozległą betonową płytę lotniska, zamówił kawę i kilka kanapek z serem.

W restauracji siedziało wielu cudzoziemców i słychać było rozmowy w najróżniejszych językach. Pachniało cygarami, ciemnoskóra kobieta w barwnym sari, siedząca przy sąsiednim stoliku, roztaczała woń egzotycznych perfum. Doktor z przyjemnością wdychał te niezwykłe zapachy, przypominając sobie, że dla pani Basieńki ma kupić perfumy Niny Ricci, zasłuchał się także w ów szumiący obok niego wodospad słów w obcej mowie. Co jakiś czas w ten miły szmer wpadał ostry i władczy głos gdzieś spod sufitu, informujący o terminach przylotów i odlotów, numerach rejsów, konieczności szybkiego poddania się kontroli celnej i paszportowej. Od czasu do czasu dworcem wstrząsał huk silników — to kołował odlatujący lub przylatujący samolot. W takich chwilach doktor zasłaniał uszy dłońmi, gdyż nawykł do ciszy. Zastanawiał się wówczas, czy nie przyszło mu zbyt wysokiej ceny zapłacić za podróż na koncert Joachima: będzie musiał znosić hałas, oglądać ulice obcego wielkiego miasta, rozmawiać z nieznajomymi ludźmi — i już teraz na samą myśl o tym odczuwał lekkie zmęczenie. Ożywił się, gdy przeszła obok niego i usiadła w pobliżu młoda kobieta w futrze z szynszyli i o tak delikatnej i pięknej twarzy, że wydawała się być sztucznie wyhodowanym przedziwnym kwiatem. Miała szyję owiązaną sznurem pereł — doktor zastanowił się, czy Antek Pasemko ukorzyłby się przed tą delikatną pięknością, czy też podobnie jak to uczynił z Haneczką, chwyciłby w swe dłonie jej cienką szyję, zdusił oddech, połamał kolanami żebra. Kobieta pachniała piżmem, głowa z gładkim i nieco wypukłym czołem zdawała się kryć tylko myśli piękne i szlachetne. Palce z paznokciami pokrytymi perłowym lakierem ostrożnie dotknęły uszka filiżanki z herbatą. Pełne, ale drobne usta również pokryte odrobiną perłowej szminki łyknęły nieco płynu z filiżanki; ogromne oczy z rzęsami sterczącymi jak druciki popatrzyły gdzieś w sine niebo za przeszkloną ścianą restauracji. Na Niegłowiczu sprawiła wrażenie istoty utkanej z blasku księżyca, nierealnej, zarazem cielesnej; kłaść się z nią do łóżka to byłoby tak, jak gdyby lec obok egzotycznego kwiatu. Czy była przez ową delikatność i sztuczność bardziej pociągająca od innych? Doktor zapragnął nagle usiąść tuż przed nią i zmącić jej spokój opowieścią o żyjącym na wyrku w oborze Antku Pasemce, o smrodzie rozkładających się zwłok zabitych przez niego dziewcząt, o przemijaniu urody, o bólu i cierpieniu jakie niesie choroba. Być może warto by było opowiedzieć jej o tym jak łatwo kobieta traci dumę, o Ruth Miller, niegdyś tak młodej i pięknej, a teraz starej i brzydkiej, z twarzą czarną — jakby w zmarszczki wrósł brud, z kosmykami ni to siwych, ni to czarnych włosów, przygarbionej, z drżącymi rękami i ochrypłym głosem.

... Zabrzęczała cichutko przeszklona ściana, ogromny odrzutowiec kołował wolno na pas startowy, a potem z ogłuszającym i pochłaniającym wszystkie dźwięki hałasem wzniósł się ciężko w górę i stromo skierował w niebo. Czy nie zbliżyła się już pora, aby opuścić restaurację i takim samym odrzutowcem wznieść się w sine niebo?

Przedwczoraj Ruth Miller przyszła do domu doktora na półwyspie i usiadła przy wielkim stole w salonie. Ręce trzymała na kolanach i tylko nerwowo zginała palce. „Haneczka gnije, a jej zabójca chodzi na wolności i śmieje się nam w twarze. Gdzie jest sprawiedliwość, Janku? Była piękna, jak i ja w młodości. Wiem, że często przychodziła do ciebie na przystań, bo budziła się w niej kobieta i chciała cię skusić jak Ewa. Nie powiedziałabym złego słowa, gdybyś ją kiedyś wykorzystał, ponieważ zrobiłbyś to jak mężczyzna, jak twój ojciec zrobił to ze mną i innymi dziewczynami. Ale on jej nie dał rozkoszy, tylko zadał cierpienie i śmierć, udusił i złamał żebra, palce wyłamywał ze stawów. Gdzie jest sprawiedliwość, Janku?".

„Nie udowodniono mu zbrodni. Prawo go chroni" — stwierdził doktor.

Ruth Miller mówiła, bębniąc palcami po stole:

„Kiedyś, Janku, nie było tu prawa. Nie mieliśmy nawet posterunku milicji w Trumiejkach. Ten, kto szukał prawa, musiał jechać aż do Bart. Daleka to się wtedy wydawała droga i niebezpieczna. Brakowało prawa, niewielu było u nas jego przedstawicieli, dlatego działo się wiele złych rzeczy. Zabijano, gwałcono, zabierano bydło i świnie, silniejszy chciał zawładnąć słabszym. Dlatego ten, który czuł się skrzywdzony, szedł tutaj, na półwysep, do tego domu, i siadał tak jak ja teraz, przy tym samym stole. Tylko, że zamiast ciebie mieszkał tutaj twój ojciec, chorąży Niegłowicz. Wysłuchiwał skargi, a potem zapinał na brzuchu stary pas z wielkim wojskowym pistoletem i szedł, aby wymierzać sprawiedliwość. Odbierał skradzione krowy, ochraniał słabych przed silniejszym. To on zabił pewnego marudera za to, że tamten ukradł dwie kury. To w jego domu schroniliśmy się, gdy przyszła do wioski banda brodaczy i zginął twój brat. To on zachęcił mnie, abym odeszła z domu Otto Szulca, gdzie byłam za służącą i ścierkę, dał mi dom, w którym teraz mieszkam, otoczył opieką, pożyczał swoje konie do orki i żniw, chciał mi przywrócić dawną dumę. Nie było wtedy u nas prawa, Janku, ale panowała sprawiedliwość. I to było także sprawiedliwe, że kiedy zachorowała twoja matka, dawałyśmy mu to, co każda mogła mu dać: swoje ciało i swoje łóżko. Nie gwałcił, nie żądał, nie prosił. Dostawał, jak powinien dostać od kobiety mężczyzna, który ją ochrania przed złem. Niewiele o tym wiesz, bo byłeś młody, a potem ciągle w szkołach. Ale wielu się zrodziło z nasienia twojego ojca. Moja druga córka, ta, która wyszła za mąż i pojechała w świat, z twojego ojca się poczęła, jest twoją przyrodnią siostrą. Możesz być z niej dumny, Janku, bo daleko w świecie jest nauczycielką, ładną i mądrą kobietą. Jak słyszysz, nie było u nas prawa, ale panowała sprawiedliwość. Teraz zaś mamy prawo i stróżów prawa, gdzież jest jednak sprawiedliwość? Dlaczego Haneczka leży na cmentarzu, a Antek Pasemko czyści młodnik, je, pije, oddycha, chodzi po ziemi? Potrafisz to znieść? Potrafisz z tym żyć? Ty, syn chorążego, który był człowiekiem sprawiedliwym? A zresztą, czy syn musi być podobny do ojca? Być może nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak wiele uczynił on dla prawdziwej sprawiedliwości...

— Uwaga! — władczym tonem odezwał się głośnik — Pasażerowie odlatujący samolotem „Lufthansy" do Kopenhagi, rejs numer dwadzieścia siedem, proszeni są o zgłoszenie się w przejściu numer cztery i numer pięć, w celu odbycia kontroli paszportowej i celnej...

Doktor przymknął oczy. Nawet jeszcze teraz nie mógł ochłonąć ze zdumienia, że tak mało wiedział o ludziach ze wsi i o własnym ojcu. Ta malutka i ładniutka Anemarie Miller, która mówiła mu „dzień dobry", gdy ją spotykał podczas wakacji — okazała się jego przyrodnią siostrą. Już był lekarzem w Skiroławkach, gdy ukończyła pedagogikę i wyszła za mąż za cudzoziemca. Wysoka, ładna blondynka, wciąż roześmiana. Tak, nawet bawił się na jej weselu, tańczył, pił, śpiewał. Przyprowadził ze sobą małego Joachima, a ona w swej białej sukni weselnej chwyciła dziecko na ręce, podniosła do góry i kręciła się z nim długo. A więc nie tylko Gertruda, lecz także Ruth Miller... Być może także stara Jastrzębska, którą pamiętał jako dorodną kobietę. Może matka Marii Porowej? Też ładna kobieta. Może żona sołtysa Wątrucha, żona gajowego Widłąga, gruba Zosia, która kiedyś była ładną okrąglutką panienką i nosiła nazwisko... Nie, już nie pamięta jej panieńskiego nazwiska. Jakie to zresztą miało znaczenie? Życie przypominało ich stary młyn, ów młyn raz w roku.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ruth Miller mówiła:

„Nie wyobrażasz sobie jak łatwo kobiecie odebrać dumę. Nie wiesz wszystkiego o życiu, choć jesteś lekarzem i wiele przeżyłeś. Pamiętasz tylko ruiny naszego, Millerów, gospodarstwa pod lasem. Spalił je, jak wiele innych domów, Szczepan Zaryn. Mieliśmy, Janku, największe gospodarstwo w okolicy, prawie dwór. Teraz tam rośnie las. Miałam szesnaście lat, Janku, i nie było piękniejszej i bardziej dumnej dziewczyny w całej okolicy. Ojciec zginął na froncie wschodnim, brat walczył na zachodnim, zamiast nich otrzymaliśmy niewolników do pracy, mężczyzn i kobiety. Chodziłam w długich butach i w bryczesach, dosiadałam konia i doglądałam roboty z wysokości końskiego siodła. Biłam niewolników szpicrutą za byle niedopatrzenie. Szczepan Zaryn też był tu niewolnikiem, ale u księcia Reussa w Trumiejkach. Nie dziwię się, że spalił i nasz dom jak wiele innych. Tak, byłam dumna. Aż przyszła taka chwila, gdy kazali nam opuścić wieś i ruszyć w świat. Załadowałam dwa pełne wozy dobytku, na kozłach posadziłam niewolników. Matka i moja młodsza siostra pojechały w pierwszym wozie. To było zimą. Przygotowałam swego konia, siodło, ciepłą burkę, futrzane rękawice. I pozostałam jeszcze dwie godziny, aby zakopać w ziemi słoiki z mięsem, których nie zdołaliśmy zabrać ze sobą. Z początku chciałam je zatruć, ale nie znalazłam trutki na szczury. Zakopałam więc te słoiki i konno ruszyłam w ślad za naszymi wozami. Pomyśl, tylko dwie godziny opóźnienia, a już ich nigdy nie dogoniłam. Na wąskich drogach, noga za nogą, ciągnęły tysiące takich samych wozów, spychanych do rowów przez czołgi jadące na front. Niektóre wozy przebyły dziesiątki kilometrów, umierały na nich dzieci i starcy, ciała układano w rowach strzeleckich w pobliżu drogi. Nikt ich nie zakopywał, nie znajdowano na to czasu, nikt nie mógł się zatrzymać w kolumnie jadących wolno wozów, gdyż natychmiast tarasował drogę. Zdychały konie, porzucano wozy z dobytkiem, w zrujnowanych i palących się miasteczkach ludzie grzali się przy ogniskach podsycanych porąbanymi krzesłami. Gnałam na swym koniu, z początku nie zwracając uwagi na ciała zmarłych. Ale po owych dniach zaczęłam się niepokoić i od czasu do czasu zaglądałam w pożółkłe i oszronione twarze umarłych na poboczu drogi. Swoich nie znalazłam. Ale widziałam żonę kowala Malawki i jego dzieci z nóżkami rozjechanymi przez gąsienice czołgu. Nigdy mu o tym nie powiedziałam, on jednak domyśla się wszystkiego i dlatego nie do nikogo nie mówi. Pędziłam potem jak szalona przez ośnieżone pola i lasy, byle dalej i dalej od huku dział, które były coraz bliżej i bliżej. W pewnej wiosce chciałam się ogrzać przy rozpalonym obok drogi ognisku i wtedy jakiś kulawy mężczyzna zerwał mi z rąk futrzane rękawice. Jak można trzymać wodze w dłoniach bez rękawiczek, kiedy jest mróz, wiatr, zadymka i wszędzie biała pustka, a na drogach wciąż ciągną wozy z umierającymi ludźmi? Oddałam konia za miejsce w wojskowej ciężarówce, gdzie już było kilka młodych dziewcząt i gromada żołnierzy. Na pierwszym postoju, nocą, gwałcili nas po kolei. Potem gwałcili mnie wiele razy, oni i inni. To nawet nie był gwałt, Janku. Straciłam dumę już wtedy, gdy mi zabrano futrzane rękawiczki. Wystarczyło, że ktoś na mnie kiwnął palcem, albo mi pogroził i od razu się kładłam. Nawet nie wiem, dlaczego to robiłam, czy ze strachu, czy z braku dumy? Czy za miejsce przy ognisku, czy za talerz zupy, albo kęs chleba. To straszne, kiedy kobieta straci dumę i miota nią strach o życie. Ona sama nadstawia się, jakby to była jej jedyna obrona. Ona sama szuka tego, kto ją zechce wykorzystać i da przez chwilę obietnicę dalszego życia. Po krótkiej walce, którą przeczekaliśmy w piwnicy zrujnowanego domu, znowu jechały czołgi i żołnierze na czołgach, ale były to już inne czołgi i inni żołnierze. Bałam się ruszyć z piwnicy, jak inni. Wziął mnie do siebie stary szewc, gotowałam mu zupę z chleba, nocą grzałam go, a on ogrzewał mnie, miętosząc moje piersi i trzymając palec między moimi nogami. Po dwóch miesiącach odważyłam się powrócić do Skiroławek. Byłam wygłodniała i obdarta, w ciąży nie wiadomo z kim. Przyjął mnie Otto Szulc, któremu zabito żonę. Pracowałam u niego, urodziłam dziecko, byłam mu za służącą i kochankę. Dostawałam ubranie, jedzenie dla siebie i dziecka. Nie było jednak mowy o żadnej dumie kobiecej. Pewnego razu przyszedł jakiś mężczyzna i zaproponował Szulcowi konia za krowę i dopłatę. Zobaczył mnie i ja miałam być tą dopłatą. Otto kazał mi wieczorem pójść do tego mężczyzny, do jego łóżka. Zrobiłam tak jak mi kazał, a nazajutrz Otto powiedział mi: „Ty głupia dziwko. Masz bękarta i kładziesz się z każdym. Myślisz, że zrobię z ciebie żonę i gospodynię? Rają mi kobietę cnotliwą i równie jak ty młodą. Wynoś się z mojego domu, gdyż ona ciebie u mnie nie zniesie". Postąpił ze mną tak, jak ów Lewita z „Księgi dziejów", oddając mnie na pohańbienie jako swoją nałożnicę, a potem rozrąbał na dwanaście części. Co miałam wówczas uczynić, Janku, kobieta bez dumy, z bękartem na ręku? Mieszkał już wtedy twój ojciec w domu na półwyspie, chorąży Niegłowicz. Do niego poszłam na skargę. „Ukarz, panie, Otto Szulca, bo on za konia namówił mnie do złego z obcym człowiekiem, a potem za to wypędził z domu". Chorąży mi powiedział: „Nie mogę go za to ukarać, Ruth, bo koń dla niego jest teraz ważniejszy od kobiety. Za ścierkę mu byłaś i jak ścierkę cię potraktował. Dlatego tylko w tym mogę ci pomóc, abyś odzyskała kobiecą dumę". Dużo było wtedy w naszej wiosce opuszczonych domów, z powybijanymi szybami i wyrwanymi drzwiami. Do takiego domu zaprowadził mnie twój ojciec. To była dawna chałupa drwala Kneipsa, z którym nie wiadomo co się stało. Pamiętasz, że razem z ojcem i twoim starszym bratem wstawiliście szyby do dwóch okien mojego nowego domu, do drzwi dorobiliście zamek i przywieźliście drewna do palenia w piecu. Przy tym domu było pięć hektarów ziemi. Wasze konie i koń Otto Szulca, bo tak przykazał twój ojciec, wedle sprawiedliwości, zaorały mi pod jesień całą ziemię. Krowę potem dostałam od władz, chodziłam przez zimę do ludzi pracować, a na jesień już miałam wszystko własne. Ziemniaki, zboże, mleko dla dziecka i na sprzedaż. Odzyskałam też trochę dawnej dumy. Pukał do moich drzwi Otto Szulc, ale moja duma go odprawiła. Pukali i inni, nawet Żaryn, ale mu pogroziłam chorążym. On też do mnie czasem pukał... i jemu otwierałam. Ale nigdy nie dowiedział się, że od niego mam drugie dziecko. Bo zaraz potem wyszłam za mąż za tego, co u mnie zamieszkał i pracował w lesie. Po nim do dziś biorę rentę, z nim miałam Haneczkę i dwie starsze od niej córki, które też dobrze znasz, Janku. Ale Haneczka była najpiękniejsza i najukochańsza. Powiedz, dlaczego ona leży na cmentarzu, a Antek Pasemko oddycha pełną piersią? Po co nam tutaj prawo, jeśli nie przynosi z sobą sprawiedliwości? Czy nie widziałeś kwiatów na grobie twojego ojca? To nie ty je tam położyłeś, ale obcy ludzie. Za dziesięć dni nastąpi Dzień Zaduszny, zapalisz lampkę na płycie jego grobu, lecz te kwiaty nie są od ciebie. Nie jestem już taka dumna, jak kiedyś, ani też taka dumna jak kilkanaście lat temu. Ale tyle mi tej dumy pozostało, aby przyjść i prosić cię, Janku, o sprawiedliwość. W imię twojego ojca. Niech zadość się stanie sprawiedliwości".

c.d.n.